tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 41 (1344)
6-12.10.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Jacek Żakowski
Nie mamy mediów publicznych

Andrzej Jakubowicz
Jaka przyszłość polskiej gospodarki?

Gen. Władysław Anders
o powstaniu warszawskim

Dorsz
wizytówką Portugalii

35 LAT RELIGII W SZKOLE i CORAZ SZYBSZA LAICYZACJA



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl 233aac792f

WSPIERAJ DZIECIŃSTWO MOCY BEZ PRZEMOCY



DZIECIŃSTWO BEZ PRZEMOCY

dzieciństwobezprzemocy.pl

FUNDACJA DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

WSPÓŁORGANIZACJA: Krajowa Koalicja na Rzecz Ochrony Dzieci

PARTNER GŁÓWNY: Rzecznik Praw Dziecka

FINANSOWANIE: Fundusz Sprawiedliwości

Ministerstwo Sprawiedliwości

Sfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

PATRONAT HONOROWY: Marszałek Sejmu RP Szymon Hołownia, Marszałkini Senatu RP Małgorzata Kidawa-Błońska, Sekretarz Stanu w KPRM Katarzyna Kotula

PARTNERZY:

PATRONAT MEDIALNY:

eprasa.pl 233aac792f



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Powstanie zakończyło się straszliwą klęską

2 października 1944 r., po 63 dniach heroicznych zmagań, Warszawa skapitulowała. O tej rocznicy nie pamiętają apologeci powstania. Nie pamiętają, bo musieliby pokazać skutki decyzji polityków i wojskowych, którzy poprowadzili ideową, ale bezbronną młodzież do beznadziejnej walki z uzbrojonymi po zęby oddziałami niemieckimi.

Gen. Anders chciał postawić przed sądem Bora-Komorowskiego, Okulickiego i Chruściela za wywołanie powstania, gdyż uważał je za kardynalny błąd – z politycznego i wojskowego punktu widzenia, a z moralnego – za zbrodnię. Prof. Jan M. Ciechanowski, który jako 14-latek walczył do ostatniego dnia powstania, pisał, że zakończyło się ono „straszliwą klęską, katastrofą i ruiną, która nie dotknęła żadnej innej stolicy w Europie od czasu najazdu Hunów na Rzym".

1 sierpnia i 2 października to dni narodowej żałoby. Nazwiska ofiar – a niestety znane są tylko w przypadku ok. 60 tys. osób – powinny być czytane w tę rocznicę. Ku pamięci. Ale też ku przestrodze. By kolejne pokolenia młodych nie dały się nabrać cynicznym politykom. Młodzież oszukano wówczas i oszukuje się dzisiaj. Ten cynizm z pewnością ciągle łączy prawicowe obozy. Decyzji o wybuchu powstania nic nie usprawiedliwia.

Zbudowano, niestety skutecznie, fałszywy obraz powstania. Jak to z piosenką na ustach nastolatki i dzieci szły z visami na niemieckie czołgi Tygrysy.

A jaki jest prawdziwy obraz potwornej klęski, głupoty i bezmyślności? Rezultat wyrachowania politycznego tych, którzy wydali wyrok śmierci na ludność cywilną miasta? Szacuje się, że w ciągu dwóch miesięcy 1944 r. zamordowano od 120 do 140 tys. osób, w tym kobiety i dzieci. Tysiące kobiet zgwałcono. Po Warszawie zostało morze ruin. Sprawcy tych nieszczęść zamiast surowego osądu mają miejsce w panteonie bohaterów narodowych. Stawia się im pomniki, funduje tablice, medale. A o prawdę trzeba będzie dalej walczyć.



BĄKOWSKI



FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 233aac792f

W NUMERZE

KRAJ

8 **Zabija nas logika polaryzacji**
– rozmowa z Jackiem Żakowskim

12 **35 lat religii w szkole i coraz szybsza laicyzacja**
Kościół na to zapracował

17 **Mocny w gębie**
Popisy Dominika Tarczyńskiego

20 **Pożyczamy i pomagamy**
Polska też ma dłużników

22 **Jaka przyszłość polskiej gospodarki?**
Trzeba mieć politykę przemysłową

26 **Burza nad polskim rynkiem mieszkaniowym**
Eksmiterzy w natarciu

41 **Glogery 2025**
Kontynuatorzy dzieła Glogera nagrodzeni

HISTORIA

30 **Tu był bastion polskości**
Dwugłos: Bór-Komorowski i Anders

33 **Bitwa o bitwę pod Gruszką**
Rocznica bez asysty honorowej

ZAGRANICA

34 **To nie samoobrona, to eksterminacja**
Hiszpania ostro przeciw Izraelowi

38 **Taki zaszczyt by mi nie odpowiadał**
Tajemnice Nagrody Nobla

SPORT

44 **Wojownicy i rezerwiści**
Legia to stan umysłu

KULTURA

46 **Przyjemne oswajanie czasu**
– rozmowa z Danutą Stenką

50 **Qulturalia**

66 **Rafał Gadowski. Zwierz i Przedmiot**

ZDROWIE

52 **Nie tylko jedna choroba**
– rozmowa z prof. Arturem Mamcarzem

PSYCHOLOGIA

54 **Nie musisz się zgadzać na przemoc**
Terapia daje ofiarom siłę

OBSERWACJE

57 **Słodki smak zdrowia**
Figi to kulinarny skarb

60 **O co chodzi z tym dorszem?**
Dobro narodowe Portugalii

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Powstanie zakończyło się straszliwą klęską

37 **Roman Kurkiewicz**
Szymon z wozu, Polsce lżej

43 **Tomasz Jastrun**
Wieje grozą

51 **Wojciech Kuczok**
Chodzę spać z Kurami



17 KRAJ

MOCNY W GĘBIE
Popisy Dominika Tarczyńskiego

46 KULTURA

PRZYJEMNE OSWAJANIE CZASU
– rozmowa z Danutą Stenką





66 GALERIA

RAFAŁ GADOWSKI
Zwierz i Przedmiot



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. TRIP/EAST NEWS

eprasa.pl 233aac792f

Wędrując przez Polskę

Nie tylko „wyklęci” na rondach i ulicach. Co druga szkoła, szpital, lotnisko i co tylko się nawinie nosi imiona Jana Pawła II, prymasa Wyszyńskiego albo rozmaitych świętych. Takie to niby świeckie państwo.


Andrzej Romanowski
Wędrując przez Polskę

Włodzimierz Mytnik

•

To jest ohyda, gdy powiat sokólski celebruje tych „wyklętych” na naszej ziemi. Ludzie jeszcze pamiętają, kim oni byli. Moja rodzina przez takiego pijanego bandytę straciła dom, świeżo wybudowany. Tutaj skrajna prawica tak odlatuje, że na obchodach świąt tych bandytów pojawiają się jakieś typy w kapeluszach kowbojskich.

Wojtek Sańko

•

W Chęcinach mają ulicę Brygady Świętokrzyskiej. Dla niezorientowanych – to ta sama kolaboracyjna banda, która wiała przed Armią Czerwoną pod opieką Hauptsturmführera SS Paula Fuchsa, szefa gestapo dystryktu Radom, zbrodniarza skąpanego we krwi tysięcy Polaków. Chęcinianom to, jak widać, nie przeszkadza.

Krzysztof Grabczak

Kolej jest dobra dla Polski


Kolej jest dobra dla Polski

Likwidacja PRL poszła w parze z likwidacją odpowiedzialności za państwo i jego usługi. Po 35 latach zaczyna coś tam świtać w głowach, że nie tędy droga. Brawo za refleks. Dlaczego, skoro był to tak wielki i wspaniały skok w kapitalizm, nie powtórzymy go dzisiaj? Zlikwidujmy kolej, zróbmy dwumilionowe bezrobocie i znowu będzie można otrąbić sukces.

Łukaszko Walczuk

•

Tadeusz Syryjczyk jako minister transportu już na pierwszej konferencji dał do zrozumienia, że dla niego kolej najlepiej to by była tylko z Krakowa do Warszawy i paru innych większych miast, a resztę najchętniej by zlikwidował. Nie dość, że sam był dyletantem w tej kwestii, to jeszcze doradcą od kolei zrobił wtedy 22-letniego studenta politologii Adriana Furgalskiego, co świadczy, że nie traktował kolei poważnie. Winę ponoszą też związki zawodowe, a szczególnie w tamtym okresie Solidarność, którą w latach 1997-2001 bardziej interesowało obsadzanie stanowisk swoimi działaczami niż dobro firmy.

Mariusz Ćwik

•

Teraz prezydent złożył w Sejmie swój projekt Centralnego Portu Komunikacyjnego – podobno największego portu lotniczego w Europie i jednego z największych na świecie – który został przyjęty dzięki głosom posłów Polski 2050. Projekt przewiduje, jak dawny projekt PiS, budowę sieci kolei prowadzących do CPK na planie szprych. I nieważne, że powstały już nowe, bardziej racjonalne plany budowy linii kolejowych w układzie Y. Jeśli ten projekt zostanie przyjęty i ruszy realizacja, to już na pewno nie będzie się rozwijać sieci lokalnych połączeń, czyli dojeżdżający do szkoły czy pracy zapłacą za dojazd do CPK, nawet jeśli tam się nie wybierają.

Beata Krawczyk

ZDJĘCIE TYGODNIA



Pojedynek na rogi. W Bushy Park w południowo-zachodnim Londynie trwa rykowisko jeleni. 3 października 2025 r.

FOT. MARCIN NOWAK/REPORTER

eprasa.pl 233aac792f

Zbigniew Ziobro został doprowadzony przez policję na sejmową komisję śledczą ds. Pegasusa, oprogramowania szpiegującego polityków i działaczy opozycji w czasie rządów PiS. Ziobro zeznał, że był inicjatorem kupna tego systemu za 25 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości.

•

Film „Ministranci" Piotra Domalewskiego dostał na 50. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych **Złote Lwy i Nagrodę Publiczności**. **Srebrne Lwy** odebrała **Agnieszka Holland** za film **„Franz Kafka"**. Nagrody otrzymali **Emi Buchwald** za reżyserię filmu **„Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej"**, **Matylda Giegżno** za główną rolę kobiecą w filmie **„Światłoczuła"**, **Idan Weiss** za główną rolę męską w filmie **„Franz Kafka"**. **Ewa Braun** odebrała **Platynowe Lwy** za całokształt twórczości.

•

Antoni Macierewicz został skazany za pomówienie Macieja Laska, przewodniczącego Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych. Ma go przeprosić i wpłacić 20 tys. zł na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Wyrok sądu jest nieprawomocny.

•

Kibole Legii Warszawa fetowali Janusza Walusia, który za zamordowanie w RPA znanego polityka Chrisa Haniego przesiedział w więzieniu 29 lat. To już haniebny standard na trybunach Legii. Stadionem rządzą prawicowi ultrasi, a właściciel Legii i wiceprezes PZPN Dariusz Mioduski potulnie znosi ich ekscesy. O warszawskiej policji to nawet szkoda mówić.

•

Sędzia Przemysław Radzik, odwołany przez ministra Bodnara z funkcji zastępcy rzecznika dyscyplinarnego sędziów, tak się przywiązał do apanaży i gabinetu, że chce go okupować do czerwca 2026 r. Jaki może być wizerunek wymiaru sprawiedliwości z takimi sędziami jak Radzik?

•

Najwyższa emerytura jest wypłacana w województwie śląskim i wynosi **51 350 zł za 67 lat pracy**, a kolejne są w województwach: mazowieckim – 43 045 zł, kujawsko-pomorskim – 39 957 zł i wielkopolskim – 37 527 zł.

•

Dania planuje zniesienie stawki VAT na książki, która wynosi tam 25% i jest najwyższa na świecie. W ten sposób reaguje na kryzys czytelnictwa. Warto to przemyśleć. I naśladować. Czytający Polacy mniej będą wierzyć w rozmaite brednie.

•

Państwowa Komisja Wyborcza odrzuciła sprawozdanie finansowe Konfederacji za 2024 r. Partia straciła prawo do subwencji budżetowej za trzy lata.

•

Rekordowymi beneficjentami rządów PiS były w latach 2017-2023 firmy medialne powiązane z Tomaszem Sakiewiczem, które dostały ponad 150 mln zł. W tym czasie do Telewizji Republika trafiło ok. 35 mln zł. Po stracie władzy strumyk jest mniejszy. Z centrali PiS Republika dostała ponad 600 tys. zł, a kilka milionów od samorządów, w których rządzi PiS.

PRZEBŁYSKI



Duda, książka i milioner

Eksprezydent bardzo chce mieć jakiś sukces. Choć niewiele mu się udało przez 10 lat prezydentury, krakowski prawnik nie rezygnuje. Tym razem szuka sukcesu jako pisarz. Ba, autor autobiografii „To ja". Nobla za nią z pewnością nie dostanie. Nie będzie nawet książki miesiąca w jakiejś gminie. Za to pomocnik w pisaniu wspomnień Dudy, Maciej Zdziarski, to taki gość, który ma dryg do wielkich zarobków. Tylko od marca 2020 r. do maja 2021 r. potrafił zarobić 1 mln 53 tys. i 667 zł. Gdzie tak płacą? W PZU SA oraz PZU Życie SA. Zdziarski przez 14 miesięcy robił tam za doradcę. Duda ze Zdziarskim znają się od 20 lat. Mają prawicowe poglądy. Różni ich tylko stan majątkowy. Zdziarski jest milionerem, a Duda płacze, że mu brakuje na życie.

Warszawa sparaliżowana (przez policję)

Studenci ruszyli na uczelnie, a policja z garnizonu stołecznego na ulice Warszawy. Tak wyglądał poranek 1 października. Od świtu do godz. 10 trwała akcja „Trzeźwy poranek". Policja chciała oczywiście dobrze, ale wyszło tak: w masowej kontroli sprawdzono niemal 18 tys. kierowców; złapano 41, którzy byli po kielichu, dwóch po narkotykach i sześciu bez prawa jazdy. Efekty bardziej niż mizerne.



Co gorsza, akcji towarzyszył całkowity paraliż na ulicach. Na amen zakorkowano wlotówkę w Łomiankach. Skargi samorządowców, spóźnienia do pracy, szkół i na uczelnie. Nie trzeba terrorystów i zamachowców. Miasto może sparaliżować nasza dzielna policja. Pozdrowienia dla mł. insp. Roberta Szumiaty, rzecznika prasowego Komendy Stołecznej Policji. I asp. Kamila Sobótki. Wasze milczenie po tej aferze nie jest złotem.

Biedroń, oszczędź wstydu

O tym miglancu wyborcy chcieliby zapomnieć. Ale od czasu do czasu Robert Biedroń opuszcza siedlisko w Brukseli i wędruje po telewizjach. Litościwe dziennikarki nie zadają mu trudnych pytań. Na przykład o to, co napisała Beata Maciejewska. Była wiceprzewodnicząca Klubu Parlamentarnego Lewicy ma sporą wiedzę o krętych ścieżkach Biedronia. To przecież szefowa jego gabinetu w czasach, gdy był prezydentem Słupska. A działo się tam wiele dziwnych rzeczy. Maciejewska mówi o nepotyzmie: „Wiosna Biedronia była moim zdaniem projektem obliczonym na zdobycie dochodowych mandatów Biedroniowi i Śmiszkowi. Pozostali działacze byli jedynie trampoliną dla lidera. I jego przybocznych".



Dla lewicy obydwaj są tylko balastem. I wstydem.

Z receptą do paki

Jak mogą dorobić lekarze i aptekarze? Jeśli myślicie, że dłuższą pracą, mylicie się bardzo. Są pomysły prostsze, za to dające wielką kasę. Trzy grupy przestępcze połączyły swoje wysiłki w wystawianiu recept na leki, które nie trafiły do pacjentów. Nazwiska brane były np. z listy mieszkańców domów opieki społecznej. Trzy lata (2022-2024) działalności i prawie 40 tys. recept to zarobek w wysokości co najmniej 82 mln zł. 21 osób, w tym lekarzy, właścicieli i pracowników aptek oraz ludzi z branży medycznej, zatrzymano w akcji służb i NFZ.

Teraz to im będą potrzebne recepty. A jeszcze bardziej cwani adwokaci.

FOT. KSP, PLATFORMA X, WIKIPEDIA DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 233aac792f

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jakie podziały w Polsce są najtrudniejsze do zasypania?

DR PAWEŁ SĘKOWSKI,
historyk, Uniwersytet Jagielloński, Stowarzyszenie „Kuźnica"

Od co najmniej 20 lat podział na „post-Solidarność" i „post-komunistów" nie jest zbyt istotny, a emocje budzi raczej u nielicznych, głównie w wieku 70+. Dziś linia podziału biegnie raczej między „modernizatorami" a „konserwatystami"/„tradycjonalistami". Politycznie rzecz ujmując, mamy wciąż silny podział na Polskę Tuska i Polskę Kaczyńskiego. Nawet jeśli znaczna część społeczeństwa nie odnajduje się w tym sporze, to jest w niego wciągana przez pretorianów jednego z tych dwóch obozów. Coraz istotniejszym podziałem społecznym staje się też ten na zwolenników i przeciwników uprzywilejowanej roli Kościoła katolickiego w życiu publicznym. Natomiast, choć serce mam po lewej stronie, muszę stwierdzić, że istotne podziały w społeczeństwie raczej nie wiążą się z rozwarstwieniem dochodów. Paradygmat kapitalistyczny sprawia bowiem, że nawet osoby biedniejsze w „trybie aspiracyjnym" starają się zbliżać do uprzywilejowanej elity, niejednokrotnie także chcą sprawiać wrażenie, że żyją dostatniej, niż jest w rzeczywistości.

DR ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA,
politolożka, Uniwersytet Warszawski

Myślę, że najtrudniejsze do przezwyciężenia są podziały, które tkwią głęboko w nas i mają charakter dziedziczny. Wynikają z poczucia przynależności i utrwalonych postaw. To taki sposób myślenia, w którym zamiast podziwiać czy aspirować do dołączenia do tych lepiej wykształconych, władających językami, wolimy ich wyśmiewać i umniejszać ich osiągnięcia. To echo starego podejścia, że komuś „nie może być lepiej niż mi, skoro ja mam gorzej, to i inni powinni mieć podobnie". Wydaje mi się, że właśnie te podziały społeczne, oparte na zazdrości i niechęci wobec innych grup, a nie podziały polityczne, są najtrudniejsze do zasypania.

DR MATEUSZ ZAREMBA,
politolog, socjolog, Uniwersytet SWPS

Moim zdaniem najtrudniejsze do zasypania są podziały wewnętrzne. To, jak my patrzymy na wyborców z elektoratów nam przeciwnych. Bo to, co się dzieje w parlamencie, to jedno, a prawdziwy problem zaczyna się przy świątecznym stole itd. Jeszcze niedawno politycy, mimo sporów, potrafili usiąść razem, gdy gasły kamery. Pili kawę, jedli obiad i rozmawiali. Dziś role polityczne się redefiniują, a w badaniach widać, że wskaźniki populizmu zawsze są wysokie w elektoratach partii opozycyjnych. Pojawia się wiara, że wystarczy zmienić ludzi u władzy. To znaczy, że gdyby przyszli właściwi ludzie, ten kraj byłby mlekiem i miodem płynący. Tymczasem to my decydujemy, czy w przeciwniku widzimy wroga, czy tylko oponenta. Jeśli spór traktujemy jako starcie dobra ze złem, trudno o dialog. Lepiej widzieć w nim zderzenie różnych wizji Polski.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl 233aac792f

ZABIJA NAS LOGIKA POLARYZACJI

Nie ma w Polsce mediów publicznych. Za PiS były media partyjne, a teraz są rządowe

Rozmawia Robert Walenciak

Co widzisz, oglądając telewizję w obecnych czasach?

– Straszne pytanie…

…

– Widzę sporo fajnych kolegów – kompetentnych, zdolnych, inteligentnych – uwięzionych w polaryzacyjnym podziale. To oznacza jakieś ograniczenia zewnętrzne i wewnętrzne oraz poczucie obowiązku, przed którym zawsze przestrzegaliśmy – także siebie samych – żeby przysłużyć się dobrej sprawie.

Warto się przysłużyć dobrej sprawie.

– W moim odczuciu, gdy się jest dziennikarzem, warto przysłużyć się raczej odbiorcom: słuchaczom, widzom, czytelnikom, niż jakiejkolwiek sprawie. A w dzisiejszych czasach sprawa jest zdecydowanie górą! Kolega redaktor parę lat temu zapytał mnie, czy się nie boję, że zaszkodzę.

Po pisowsku zapytał.

– Szczerze, ale nie po pisowsku. Po stronie pisowskiej to podejście jest oczywiste, prostackie. To są wulgarne kłamstwa. Kłamiemy w dobrej sprawie – to według nich rozgrzesza. Po naszej stronie jest inaczej. Tu jest raczej zasada: nie szkodzimy dobrej sprawie. My nie musimy kłamać.

Daliśmy się wmanewrować jako środowisko w grę, że albo oni, albo my?



JACEK ŻAKOWSKI

– (ur. w 1957 r.) kierownik Katedry Dziennikarstwa Uniwersytetu Civitas, wieloletni komentator „Polityki" i „Gazety Wyborczej", szef Ambasady Concilium Civitas i redaktor jej „Almanachu", autor piątkowych „Poranków Radia Tok FM", a wcześniej kilkunastu formatów radiowych i telewizyjnych. Wydał kilkanaście książek, ostatnio rozmowy „Wirus 2020". Dziennikarz Roku 1997, laureat m.in. Superwiktora, dwóch Wiktorów, nagrody PEN Clubu, Nagrody im. Eugeniusza Kwiatkowskiego, Neonu Festiwalu Malta. Członek Towarzystwa Dziennikarskiego.

– Krótki horyzont zwyciężył z długim horyzontem. Świadomość wojny światów, którą mamy wygrać w tym sezonie. Co sprawia, że przegrywamy ją strategicznie.

Z drugiej strony, gdy Jacek Kurski wziął telewizję, kilkaset osób wyrzucił na bruk. Wiele z nich nie miało za co żyć. W takiej sytuacji cóż po strategii?

– To było straszne. Ale pamiętasz, jak ogłosiłem apel, żeby ci z nas, którzy mają jeszcze pracę, oddali po 10% zarobków na pomoc tym potrzebującym? Nie było wielu chętnych. To też pokazuje ograniczenia empatii czy zaangażowania.

Tak było.

– Były setki kolegów, często wybitnych albo przynajmniej sprawnych zawodowo, którzy zostali skrzywdzeni przez pisowską władzę w sposób brutalny. Złamane kariery! Stracone talenty. Przecież wiele osób nie wróciło już do zawodu. To jedno. A drugie – upadła wiara, że ten zawód dobrze wykonywany może dawać nie tylko poczucie satysfakcji, ale też bezpieczne źródło utrzymania. Dziś nie ma takiego poczucia, więc trudniej przyciągać talenty.

Weszli w walonkach do salonu

To dlaczego się nie udało? PiS nagle dla jednych stało się katem, a dla drugich Bogiem, bo dało im pieniądze i stanowiska?

eprasa.pl 233aac792f

– Zapytaj, dlaczego teraz się nie udało. Dlaczego z PiS się nie udało – to jasne, oni chcieli robić rewolucję. Uważam, że to był wyjątkowo prymitywny i głupi sposób robienia rewolucji. Takiej rewolucji nikomu nie potrzeba. Ale ubrali się w te buty rewolucjonistów, którzy zbawią świat.

A przynajmniej Polskę.

– Teraz już świat! Z Trumpem wszystko zbawiają. I jak większość rewolucjonistów chcieli mieć pełnię władzy. Także nad umysłami. To się nie udaje, co wiemy z historii. Chcieli też wziąć rewanż, zemścić się na nas. Mówili o nas: salon, beneficjenci, różne takie epitety. Chcieli wejść do tego salonu w walonkach i nanieść gnoju. To im się udało. Zgnoili coś, co, owszem, było kiepskie, ale było jakimś zaczynem. Mieliśmy jednak jakiś system medialny, który trzymał się kupy.

Miał wady, ale był do naprawienia.

– Można było go poprawiać, uszlachetniać. A oni to wszystko zdewastowali. Potem, jak stracili władzę, po naszej stronie górę wzięła żądza rewanżu. Nie wizja czy idea budowania. Chodziło bardziej o to, żeby przestali kłamać i miotać pomówienia, niż o to, żeby zbudować coś fajnego. Wiem, że to trudne! Nie mam złudzeń, że cokolwiek łatwo można odbudować po rządach dzikich populistów. W każdej dziedzinie jest trudno. Patrząc wstecz, to samo było przecież z populizmem neoliberalnym. Że jak się zniszczy zasób kulturowy, gdziekolwiek...

...to niewiele zostaje.

– W służbie zdrowia lekarze mniej myślą o pacjentach, a więcej o wycenach. W nauce ludzie mniej myślą o poszerzaniu wiedzy, a więcej o zdobywaniu punktów. Jak się zniszczy zasób kulturowy, trzeba długich lat, żeby go odbudować. To spotkało media. Pisowcy zdewastowali tkankę kulturową, coś, co było etosem służby – my, dziennikarze, służymy naszym odbiorcom. Nie reklamodawcom, właścicielom, szefom ani nie partii politycznej, tylko odbiorcom. To najpierw zostało nadgryzione przez neoliberalizm. Że ekonomia, pieniądze, z czegoś ta redakcja musi żyć. Z czegoś ci płacimy te twoje honoraria – ciągle było słychać. A potem przyszła ta straszna polaryzacja.

I jej logika.

– Najpierw trzeba odsunąć PiS! To było po naszej stronie. A po ich stronie wołano: najpierw trzeba odsunąć Platformę, tych liberałów z rogami itd. Co zostało? Już bardzo rzadko słyszy się w mediach odruch lojalności wobec odbiorców. A odbiorcy… Może nie wszyscy sobie to uświadamiają i werbalizują, ale to czują.

Oczekują, żebyśmy byli żołnierzami

Co czują?

– Czują, że media nie są szczere. Według badania CBOS z 2023 r. tylko 14% widzów TVP wierzyło, że jest ona bezstronna. Ludzie oglądali pisowską telewizję, wiedząc, że ona kłamie. Oglądali, bo kłamała na rzecz ich opcji politycznej. Uważali, że „może Tusk nie jest Niemcem, ale dobrze jest mówić, że nim jest".

Media są coraz bardziej żołnierzami różnych grup politycznych. Wielu dziennikarzy tak zaczęło rozumieć swoją rolę.

Bo to służy naszej sprawie, więc jest słuszne.

– Ich zdaniem jak złodziej kradnie dla nich, to dobrze, że kradnie. Tak to sobie wyjaśniano. Po stronie demokratycznej to nie jest aż tak radykalne. Ale wśród odbiorców też rządzi pogląd, że obraz przedstawiany w „naszych" mediach przegina w naszą stronę. To jest katastrofa! Jeżeli mówisz prawdę, odbiorca się zastanawia, czy to jest prawda. I duża część jej od mediów nie oczekuje.

Oczekuje, żebyś był żołnierzem jego sprawy.

– Z punktu widzenia demokracji to groźna tendencja tworząca realne zagrożenie. Media są coraz bardziej żołnierzami różnych grup politycznych. Duża część dziennikarzy tak zaczęła rozumieć swoją rolę. Na szczęście nie wszyscy. Ale wystarczająco wyraźnie, żeby liczni odbiorcy tak nas postrzegali.

Jako żołnierzy?

– Jako żołnierzy albo jako zdrajców. Pod podcastami w Radiu Tok FM widzę często komentarze do moich programów w stylu: „Róbcie tak dalej, a PiS wróci do władzy". Czyli nie ma oczekiwania, że będziemy opisywali rzeczywistość szczerze. Wielu słuchaczy chce tylko, żebyśmy walczyli z PiS. Zgadzam się, że walka z PiS jest ważna, ale to nie jest praca dla dziennikarzy. Dziennikarz ma pokazywać rzeczywistość, jaka ona jest. W tym potworność logiki polaryzacji.

Mamy inną dewiację

A media publiczne? Jak w tej logice wyglądają?

– Nie ma w Polsce mediów publicznych. Za PiS były media partyjne, a od półtora roku są media rządowe. Czyli mamy inną dewiację. Z pewnością nie tak potworną, ale dla demokracji też groźną. To trwa półtora roku! Szokujące jest, że nie było żadnej poważnej próby uporządkowania tego. Rozumiem, że prezydent był, jaki był, i jest, jaki jest. W obu przypadkach słowo katastrofa oddaje stan rzeczy. Ale nic nie stało na przeszkodzie, żeby przez te półtora roku ministrowie kultury rozpisali konkursy na likwidatorów spółek i redaktorów naczelnych kanałów telewizyjnych. To mogło się stać transparentnie i demokratycznie. Ale rząd nie chciał się dzielić mediami.

Dominika Wielowieyska mówiła w swoim podcaście, że szefowie telewizji publicznej są na telefon.

– Nie wiem, czy są na telefon. Może starczy „wicie, rozumicie". Tischner mówił, że ludzie się porozumiewają krząkaniem. Nikt nie musi dzwonić.

Kłopot polega na tym, że w TVP pracuje wielu świetnych dziennikarzy, ale zostali zaszufladkowani jako dziennikarze władzy. To podcina im skrzydła, nakleja etykietki i nie jest ważne, że dziennikarzami władzy się nie czują.

– A mają papiery na dobre dziennikarstwo. Ale to część ważniejszego problemu: kultura polaryzacji jest

eprasa.pl 233aac792f

potężna. Myślę, że nie doceniamy tego, jak bardzo zafałszowane obrazy rzeczywistości mamy w sobie, przez nasze zaangażowanie w toczący się wielki spór o przyszłość świata. Bo mówimy o wielkim sporze o przyszłość świata, a nie o jakichś tam gierkach Kaczyńskiego z Tuskiem. Gdyby oni znikli, ten spór wcale nie zniknie. Jak Trump zniknie, problem również nie zniknie. Nie zniknie, nawet gdyby Putin poleciał w kosmos na wieki. A wszyscy mamy bardzo silne poglądy w sprawie tego wielkiego sporu. To powoduje, że widzimy rzeczy, które potwierdzają nasze tezy, a nie potrafimy zobaczyć tych, które im przeczą. To są mechanizmy psychologiczne. I nawet najlepsi z nas temu ulegają. Za tym idą różne uproszczenia. Nie chcę gadać o pisowcach, bo oni uprawiają prostą propagandę partyjną. Nie kryją się z tym. Ale po naszej stronie też rządzą uproszczenia i schematy. Rządzi przekonanie, że cokolwiek powie druga strona, my musimy być przeciw.

Czyli rządzi nami anty-PiS, a nie nasza własna agenda.

– A gdy po naszej stronie dominuje anty-PiS, to jesteśmy niezdolni do budowania własnej narracji. Do rozważania sytuacji, analizowania. Debata stała się jałowa lub rachityczna. Praktycznie jej nie ma.

Widać to w TVP. Dziennikarz albo milczy, pozwala na wszystko, albo się wykłóca z politykiem PiS. Nie potrafi spojrzeć ani na niego, ani na sprawę, którą omawiają, obiektywnie. Kłótnia jest dominująca. Kto kogo.

– Albo plotkarstwo. To druga rzecz: dziennikarstwo stało się plotkarstwem. Ten powiedział to, a tamten powiedział tamto, a dlaczego prezydent powiedział tak, a premier inaczej. Na to nakłada się jeszcze takie polskie nieustanne szukanie ojca. Że jak ojciec Tusk coś powie, to znaczy, że tak jest. Nawet w sprawie bobrów.

Trzeba zmian

Teraz sobie wyobraź pisowców, jak muszą Trumpa bronić, bo oni bronią Trumpa, a on co tydzień mówi coś innego.

– Tylko że oni już w ogóle nie udają dziennikarstwa. A my żyjemy, mając przed oczami obraz ich odrażającej szczujni. Więc po naszej stronie nawet najbardziej zapalczywi koledzy pewnych granic raczej nie przekraczają. Ale i tak są nieskuteczni, ponieważ to, co mówią, jest odbierane jako propaganda. Tak Polska wygląda. Dlaczego Trzaskowski, który byłby dobrym prezydentem, przegrał z tak katastrofalnym kandydatem jak Nawrocki? Nie wiem, jakim prezydentem będzie Nawrocki, bo to enigma. Ale był beznadziejnym kandydatem – to pewna rzecz. Dlaczego zatem Trzaskowski z nim przegrał? Ponieważ fakty dotyczące Nawrockiego nie przebijały się na drugą stronę. Przebiły się tylko te, które Konfa zaczęła podpierać. To pokazuje cenę polaryzacji. Okropne skutki błędu, który został popełniony na początku sprzątania po PiS, kiedy zdecydowano, że telewizja będzie teraz nasza.

I wtedy skończą się kłopoty.

– Ona stała się nasza, czyli od nas dla nas, i to dla nielicznych z nas – jak wiadomo po wynikach oglądalności. Czyli nawet gdy jedna z naszych fantastycznych koleżanek zrobi megaprogram w TVP, to on w najlepszym razie przekona przekonanych, ale do drugiej strony nie dotrze. Dziennikarska misja dostarczania ludziom faktów, inspiracji do budowania w miarę możliwości prawdziwego obrazu świata jest niespełnialna w formule mediów rządowych, które zostały stworzone półtora roku temu.

Jak z tego wyjść? Odpuszczamy? Mówimy, że się nie da, czy próbujemy coś zrobić?

– Nadzieją są symetryści. Komponowanie takiej podaży medialnej, która nie jest jednoznacznie identyfikowana z jakąś siłą polityczną. Wtedy można zacząć łączyć te dwie wielkie rzeki płynące w różnych kierunkach. Powoli budować między nimi kanaliki komunikacyjne. Tak, żeby jakaś część tych superprogramów, które są też w mediach rządowych, zaczęła docierać do tej drugiej rzeki i jakoś ją infekować prawdą.

Media publiczne powinny porzucić rolę żołnierzy jednej ze stron, stanąć ponad tym sporem.

– Myślę, że to wymaga zmian personalnych. Gdybyśmy dziś chcieli budować media publiczne, które będą służyły ogółowi i wspólnym interesom, czyli przyciągną również wyborców PiS i Konfy, trzeba by było spektakularnego nowego otwarcia. To by musiało polegać na zmianie szefów w otwartych konkursach, które byłyby procesem społecznym. A nie tak, że znowu w gabinecie ktoś ustali, że teraz weźmiemy tego lub tamtego.

Jak wymusić te konkursy? Media publiczne stały się łupem polityków. Oni chcą być w TVP Info i są.

A przecież media publiczne mają większe obowiązki wobec społeczeństwa i narodu.

– Ale co z tego, że oni są w TVP Info, skoro tam nie ma widzów? Nawet jeżeli Donald Tusk powie w TVP Info strasznie mądre rzeczy, to do kogo on z nimi dotrze? Do tych, którzy i tak uważają, że on jest bardzo mądry. Nie chcę powiedzieć, że to strata czasu, bo tym ludziom, którzy są po naszej stronie, też coś się należy. Ale przecież w dużym stopniu jest to mówienie do lustra.

To może wytłumaczmy politykom, żeby się odczepili od mediów publicznych? Bo jak nie będą czyjeś, to na pewno nie będą ich przeciwników. I każdy będzie miał w nich trochę.

> My, dziennikarze, służymy odbiorcom. Nie reklamodawcom, właścicielom, szefom ani partii politycznej.

> Setki kolegów, często wybitnych, pisowska władza skrzywdziła w sposób brutalny. Złamane kariery!

eprasa.pl 233aac792f



Jacek Żakowski z autorem rozmowy Robertem Walenciakiem.

– Jestem już nieco zmęczony tym tłumaczeniem, bo robimy to od niemal 20 lat. W 2011 r. Donald Tusk podpisał Pakt dla Kultury. W roku 2016 r. liderzy dzisiejszego obozu władzy uroczyście podpisali Pakt dla Mediów Publicznych. Nie jest tak, że oni nie mieli skąd się dowiedzieć, jak powinny wyglądać media publiczne. Tego się dowiedzieli od ludzi kultury i mediów. Obiecali i nie dotrzymali słowa, bo nie potrafią uwierzyć, że wolne media są solą demokracji, tak jak wolne sądy. Myślę, że to główny problem. Klasa polityczna nie wyobraża sobie dziennikarstwa jako służby odbiorcom. Wyobraża sobie dziennikarstwo jako narzędzie polityczne.

Silni Razem i Tusk

Jako narzędzie swojej gry.

– Coraz mniej to rozumiem. Bo za dwa lata wybory parlamentarne. PiS ani Platforma nie wiedzą dziś, kto te wybory wygra. Raczej wygra PiS, ale różnie może być. Jest więc taki moment, kiedy można by zaprosić pana premiera Tuska, zaprosić pana prezydenta Nawrockiego i powiedzieć: poszukajmy dla mediów państwowych takiego modelu, żeby były publiczne. Nie partyjne i nie rządowe. Bo nie wiecie, czy za dwa lata będą za wami, czy przeciw wam, jeśli status quo się utrzyma lub wróci do stanu sprzed 2015 r. Przez te dwa lata zbudujmy takie media, żeby nie miało dla nich znaczenia, kto rządzi. Dla Karola Nawrockiego to może być nie mniej atrakcyjne niż dla Donalda Tuska, bo dałoby szansę, że pod rządami PiS media państwowe nie będą przeciw prezydentowi, jak za czasów Kurskiego. Czyli główne siły mają prosty interes w tym, żeby uwolnić media. Może to jest ten moment?

A co stoi na przeszkodzie?

– Są Silni Razem. Jak w PiS są radykałowie, którzy się rzucili na Dudę, gdy miał inne zdanie niż Ziobro i Macierewicz, tak radykałowie są i po naszej stronie. Lęk przed X i Silnymi Razem jest po demokratycznej stronie paraliżujący.

Częścią demokracji są media publiczne, które wciąż można zbudować.

Przecież to grupa, która nie ma większości i nigdy nie będzie jej miała.

– Ale dla Donalda Tuska to ważny punkt odniesienia. Bo oni mają sporo głosów na X. A choroba twitterowa jest bardzo poważnym czynnikiem dzisiejszej polityki.

Jest jeszcze jeden wątek. Naprawdę media publiczne, choćby na głowie stawały, i tak mają coraz mniejszą przestrzeń rynku. Wchodzą nowe telewizje, są media społecznościowe.

– Tu się nie zgadzamy. BBC ma pozycję dominującą w Wielkiej Brytanii nie tylko w tradycyjnych mediach, ale też w portalach i w nowych mediach. Nawet nasz społeczny projekt ustawy o mediach sprzed 15 lat – który zaakceptowali premier Tusk i prezydent Kaczyński – przewidywał media publiczne w logice konwergencji. Bo już wtedy było oczywiste, że są różne kanały komunikacji, i chodzi o to, żeby we wszystkich mieć pozycję pozwalającą na wyznaczanie standardów. BBC to się udało. W Niemczech też się udało.

Są więc jakieś podpowiedzi.

– Tak powinniśmy myśleć o mediach publicznych. One wciąż są szansą, z której możemy skorzystać, jeżeli chcemy mieć dobrą i trwałą demokrację. Chyba że wolimy narastającą wrogość oraz czekanie – jak w II RP – kto i kiedy zrobi zamach stanu. Ludzie się o to spierają. Niedługo bukmacherzy zaczną przyjmować zakłady. Jeżeli chcemy mieć w miarę bezpieczną demokrację, to jest może ostatnia szansa. Jej częścią są media publiczne, które wciąż można zbudować. To jest narzędzie, z którego demokraci wciąż nie próbują skorzystać.

Ale muszą one mieć niezależność i autorytet.

– Czyli być takie jak w tym naszym projekcie ustawy: zostają wyłonieni liderzy ze środowisk kultury, ruchów społecznych, mediów. Ale też różnorodni. Trzeba by się więc pogodzić z tym, że w mediach publicznych pracownicy TV Republika też będą mieli swoje miejsce, podobnie jak Silni Razem. Ale wszyscy będą musieli się podporządkować standardom profesjonalnym. Czyli możesz myśleć, co chcesz, ale nie możesz kłamać. Możesz oceniać, jak chcesz, ale nie możesz krzywdzić. Możesz wyrażać swój pogląd, ale nie możesz dopuścić do tego, żeby on był jedynym poglądem uprawnionym. I wtedy można z czasem po obu stronach ucywilizować debatę, a wraz z nią demokrację. To trudne zadanie, ale demokracja z natury nie jest łatwa.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 233aac792f

35 LAT RELIGII W SZKOLE *i* CORAZ SZYBSZA LAICYZACJA



Odpływ uczniów z lekcji religii jest bardzo widoczny szczególnie w większych miastach. Nz. lekcja religii w warszawskiej szkole, 2002 r.

Kornel Wawrzyniak

Seria kilkunastu skandali w diecezji sosnowieckiej, w tym orgia w Dąbrowie Górniczej, trup w mieszkaniu księdza rezydenta będącego pod wpływem mefedronu czy wreszcie zatrzymanie dwóch księży pod zarzutem molestowania jedenaściorga dzieci, tak wstrząsnęła wiernymi, że w 2024 r. uczniowie masowo zaczęli tam wypisywać się z lekcji religii. Czasem były to całe klasy. To doskonały przykład tego, że żadna dawka obowiązkowych lekcji religii nie odwróci postępującej nad Wisłą laicyzacji. Działania przedstawicieli Kościoła, m.in. bierność wobec skandali pedofilskich, konsekwentnie zniechęcają wiernych do tej instytucji. Mamy na to twarde dane. Powolne odchodzenie od lekcji religii w szkołach nie jest wymysłem ministry Barbary Nowackiej, tylko potwierdzeniem zmian społecznych.

Strzał do własnej bramki

Jesteśmy właśnie w środku boju o lekcje religii w szkołach. Zacznijmy jednak od początku. Na podstawie rozporządzenia z 17 stycznia 2025 r. Ministerstwo Edukacji Narodowej ustaliło, że nauka religii lub etyki w szkołach będzie się odbywać w wymiarze jednej godziny tygodniowo. W przedszkolach pozostawiono dotychczasową liczbę dwóch zajęć na tydzień. Dodatkowo minister Nowacka zarządziła, że lekcje religii bądź etyki mogą być umieszczane w planie wyłącznie bezpośrednio przed zajęciami obowiązkowymi lub po nich. Wyjątek przewidziano jedynie w przypadku, gdy wszyscy uczniowie danego oddziału zadeklarują udział w zajęciach.

Rozwiązania te obowiązują od 1 września 2025 r., ale szefowa resortu edukacji ogranicza przywileje kleru w szkole od zeszłego roku kalendarzowego. Oceny z religii lub etyki nie są już wliczane do średniej. Sporo osób, którym bliska jest idea świeckiego państwa, było rozczarowanych, kiedy się okazało, że Nowacka wycofała się z pomysłu całkowitego wyprowadzenia lekcji religii poza szkolne mury. Wbrew pozorom był to rozsądny ruch, nawet jeśli miałby być wynikiem przypadku.

eprasa.pl 233aac792f

Ograniczanie klerowi dostępu do uczniów w szkole nie spodobało się jednak ani Kościołowi, ani części posłów, którzy zaskarżyli zmiany MEN do Trybunału Konstytucyjnego. Ten w maju 2025 r. orzekł, że wyłączenie oceny z religii ze średniej ocen narusza konstytucję i konkordat, gdyż nie uzyskano wymaganego porozumienia z Kościołami i związkami wyznaniowymi. Nowacka wyroku nie uznała, twierdząc, że obecny skład TK nie ma legitymacji do orzekania. Podobne stanowisko co do legalności polskiego Trybunału Konstytucyjnego ma Komisja Europejska. Do akcji ruszyła więc fundamentalistyczna organizacja Ordo Iuris ze swoim projektem, który ma nas cofnąć o 100 lat, do dwóch obowiązkowych godzin religii w szkołach. Tyle że działania te przyniosą skutek odwrotny do zamierzonego.

– Jako jezuita pamiętam doskonale pierwsze przymiarki do wprowadzenia wtedy jeszcze nieobowiązkowej lekcji religii. Byłem młodym, otwartym, tolerancyjnym księdzem, bardzo zaangażowanym na różnych frontach i nie krytem się z moim sceptycyzmem, w czym nie byłem odosobniony. W samym Kościele była wówczas dość duża grupa ludzi, którzy mieli wątpliwości, czy to jest dobry pomysł. I okazało się, że nie. Dodatkowy kontekst dają badania socjologa religii prof. Józefa Baniaka, który zauważył, przyglądając się



Henryk Samsonowicz (z lewej), Jacek Kuroń i Leszek Balcerowicz na posiedzeniu Rady Ministrów, 9 listopada 1989 r. Religię wprowadzono do szkół w 1990 r.

są przede wszystkim działania samego Kościoła katolickiego i postawy polskich biskupów. Z sondażu pracowni IBRiS, przeprowadzonego na zlecenie Polskiej Agencji Prasowej, wynika, że zaufanie do Kościoła katolickiego w Polsce maleje. Łączny odsetek osób, które deklarują zaufanie do Kościoła, spadł z 58% we wrześniu 2016 r. do 35,1% we wrześniu 2025 r. To 22,9 pkt proc. w ciągu niecałych 10 lat.

Tymczasem katoliccy fundamentaliści żyją w swojej bańce: „Zmniejszenie liczby godzin religii, łączenie klas i spychanie lekcji na margines

Religię wprowadzono do szkół instrukcją ministra Samsonowicza w 1990 r. z wdzięczności za popieranie przez Kościół opozycji w czasach PRL.

postawom młodych, że lekcje religii katolickiej, które miały wymiar indoktrynacji, stały się jednym z najważniejszych elementów sekularyzacji polskiej młodzieży. To oznacza, że dla Kościoła, który wykorzystał swoje wpływy tuż po zmianie systemu, lekcje religii były strzałem w kolano – tłumaczy prof. Stanisław Obirek, teolog i były jezuita.

Wszystkie dane wskazują, że Polska powoli, lecz konsekwentnie się laicyzuje. W ostatnich latach proces ten nawet przyśpieszył. Powodem planu zajęć to kolejne uderzenie w edukację religijną. Najwyższy czas, aby społeczeństwo jasno wsparło Kościół", podkreśla Ordo Iuris w komunikacie prasowym dotyczącym swojego projektu „Tak dla Religii w Szkole!". Dane pokazują zaś, że znacząco wzrósł poziom nieufności wobec instytucji Kościoła. Wskaźnik skoczył w ciągu 10 lat prawie dwukrotnie – z 24,2% do 47,1%. Ten trend obserwujemy od dłuższego czasu, pokazują to choćby raporty Centrum Badania Opinii Społecznej. Prof. Mirosława Grabowska, która przez 15 lat kierowała CBOS, a od 2023 r. przewodniczy Polskiemu Towarzystwu Socjologicznemu, wskazuje, że między 1992 r. a 2022 r. liczba dorosłych Polaków deklarujących wiarę spadła z 94% do 84%. Liczba osób regularnie uczestniczących w praktykach religijnych również spadła, z niemal 70% do 42%. Jednocześnie odsetek osób niepraktykujących prawie się podwoił – z 9% do 19%.

Z badań Jörga Stolza z Uniwersytetu w Lozannie, opublikowanych na stronie Nature Communications, wynika, że od 2016 r. Polska doświadcza jednego z najszybszych procesów sekularyzacji na świecie. Zmiany te obserwuje się zwłaszcza wśród młodzieży. Polska wyróżnia się znacznymi rozbieżnościami międzypokoleniowymi w kwestii religijności. Młodsze pokolenia rzadziej uczestniczą w praktykach religijnych, co wskazuje na stopniowe zmiany w podejściu do religii w społeczeństwie.

– Coraz częstsze wypisywanie się uczniów z religii jest wypadkową szerszego zjawiska laicyzacji, które w większym stopniu dotyczy najmłodszych pokoleń. Ze wszystkich badań wynika, że w Polsce jest pokoleniowa przepaść, jeśli chodzi o zaangażowanie religijne i miejsce religii w życiu osobistym. Badania Pew Research Center na temat religijności

eprasa.pl 233aac792f

na świecie dowodzą, że w Polsce mamy wręcz wyrwę w kwestii religijności między osobami powyżej i poniżej 40. roku życia. I chociaż dynamika będzie różna, czy ze względów geograficznych, czy pokoleniowych, zjawisko laicyzacji jest powszechne. To oznacza, że uczniów i uczennic na lekcjach religii ubywa i będzie ubywać wszędzie – mówi Ignacy Dudkiewicz, filozof, publicysta „Magazynu Kontakt", autor książki „Pastwisko" o władzy w Kościele w Polsce.

Nie tylko duże miasta

Odpływ uczniów z lekcji religii jest bardzo widoczny w większych miastach. Tegoroczne statystyki z Łodzi pokazują jego masowość. W szkołach ponadpodstawowych na katechezę uczęszcza niespełna 11% uczniów. Jeszcze pięć lat temu w Łodzi na lekcje religii chodziło 36 tys. dzieci. Dzisiaj ta liczba zmalała o 25%. Konsekwentny spadek liczby uczniów chodzących na religię odnotowuje Warszawa.

W zeszłym roku pod koniec października przeprowadzono ankietę w 429 miejskich szkołach. Spośród prawie 221 tys. uczniów na religię chodziło 44%. Rok wcześniej, czyli w 2023 r., było to 48%. Im dzieci są starsze, tym więcej rezygnuje z chodzenia na religię.

Ciekawostką jest, że niezależnie od miasta większość dzieci z podstawówek rezygnuje z lekcji religii po pierwszej komunii. W Warszawie na religię chodzi 73% pierwszaków i 74% drugoklasistów, a po komunii zaczyna się odwrót. Czwartoklasistów jest 66%, piątoklasistów 58% i 53% szóstoklasistów. W klasach siódmych i ósmych na religię chodzi odpowiednio 45% i 43%. Być może gdyby wprowadzić świecką tradycję kwietniowego rozdawania rowerów dziewięciolatkom, przekonalibyśmy się, że dzieci nie są aż tak bardzo zainteresowane lekcjami religii w pierwszej i drugiej klasie.

W uczestniczeniu w lekcjach religii nie widzą sensu przede wszystkim sami uczniowie. „Te lekcje to totalne odklejenie. Przestałam na nie chodzić w pierwszej klasie, bo to po prostu strata czasu", mówi „Gazecie Wyborczej" łódzka maturzystka Karolina. „Wiara, jeśli ma mieć sens, powinna być wolna i osobista. Nie chcę, żeby ocena z religii była obok matematyki czy polskiego. To po prostu do siebie nie pasuje", komentuje dla „GW" Mikołaj z II LO w Łodzi.

Podobne tendencje obserwuje się w podstawówkach. „Mój syn nie chodzi na zajęcia, bo po co, skoro nie jesteśmy wierzący. (…) Ten czas można by poświęcić na drugą godzinę edukacji zdrowotnej", wskazała na łamach „GW" Paulina Staniszewska, mama 10-letniego Franka.

Oczywiście czytelnicy mogą teraz podnieść argument, że mówimy wyłącznie o dużych miastach. W podobnym tonie w 2022 r. wyrażał się abp Wiktor Skworc, który twierdził w wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej, że sytuacja w szkołach

To Kościół miał ponosić całkowitą odpowiedzialność finansową za lekcje religii, na dodatek miały one być nieobowiązkowe.

różni się zależnie od tego, czy bierzemy pod uwagę duże miasta, mniejsze miejscowości, czy tereny wiejskie. Duchowny podkreślał również w rozmowie z KAI, że nieuprawnione jest mówienie o masowej rezygnacji z lekcji religii. Dodawał jednak, że nawet na podstawie danych zebranych przez wydziały katechetyczne we wszystkich diecezjach widać wyraźnie tendencję spadkową.

Z tymi mniejszymi miastami sprawa nie jest wcale oczywista. Portal Interia opisywał szkołę średnią w Puławach (46 tys. mieszkańców), w której na religię zapisywały się np. cztery z 32 osób w klasie. Absolutne rekordy bije zaś diecezja sosnowiecka. Jeszcze w roku szkolnym 2008/2009 na religię w Sosnowcu uczęszczało ok. 95% uczniów. W 2020 r. odsetek spadł do 75,2%. Według mediów z lekcji religii wypisywały się w tym mieście całe klasy.

Podobną sytuację odnotowywano przez ostatnie trzy lata w Częstochowie. Co ciekawe, rada miasta w połowie grudnia 2022 r. skierowała do ówczesnego premiera Mateusza Morawieckiego i ministra edukacji Przemysława Czarnka apel o zlikwidowanie finansowania lekcji religii z budżetu miasta. Rada informowała, że w częstochowskich szkołach jest ponad 131 etatów nauczycieli religii, których roczne koszty utrzymania przekraczają 9,5 mln zł. 30% musi pokrywać miasto z własnej kieszeni. A Częstochowy nie stać na takie rozwiązanie. Tym bardziej że uczniów na religii ubywa, podczas gdy koszty pozostają takie same.

Oczywiście zdarzają się też takie przypadki jak w Czarnym Dunajcu na Podhalu. To matecznik PiS, przez jednych nazywany ciemnogrodem, przez drugich zaś moralną stolicą Polski. Gmina postanowiła obejść decyzję MEN i przeznaczyła 700 tys. zł na sfinansowanie drugiej katechezy w tygodniu. Frekwencja? Dziennikarka portalu NaTemat ustaliła, że wynosi prawie 100% uczniów.

– Zróżnicowanie geograficzne odpływu uczniów i uczennic z lekcji religii nie jest niczym zaskakującym. Od zawsze polska religijność była pod tym względem zróżnicowana. I nawet w czasach, kiedy wszędzie dużo osób uczęszczało na religię czy niedzielne msze, poszczególne regiony różniły się między sobą. Od zawsze odnotowywano mniej praktykujących w województwach zachodnich i więcej na wschodzie kraju, np. na Podlasiu czy Podkarpaciu. Drugą różnicą jest częstotliwość wypisywania się z religii w mniejszych miejscowościach i na terenach wiejskich oraz w dużych miastach. Największa dynamika jest w dużych ośrodkach miejskich i tradycyjnie najmniej religijnych miejscach Polski, ale zjawisko wypisywania się uczniów z lekcji religii widać wszędzie – wyjaśnia Ignacy Dudkiewicz.

Dane dotyczące niechęci do lekcji religii są też różne w zależności od bańki, którą pytamy. W sondażu OKO.press z grudnia 2020 r., w którym zadano pytanie, czy miejsce religii jest w szkole, czy w salkach katechetycznych na parafiach, zaledwie

eprasa.pl 233aac792f



Marsz ateistów przeciw religii w szkołach. Warszawa, Krakowskie Przedmieście, 2 kwietnia 2016 r.

27% respondentów odpowiedziało, że nauka religii powinna zostać w szkołach, natomiast aż 68% chciało odesłać religię na parafię.

Religia musi być, bo tak stanowi prawo?

Przypomnijmy, że religia została wprowadzona do szkół instrukcją ministra edukacji, prof. Henryka Samsonowicza, w 1990 r. Był to niejako gest wdzięczności strony demokratycznej za popieranie przez Kościół opozycji w czasach PRL i pomoc w wyborach oraz w porozumieniach Okrągłego Stołu. Decyzję rządu Tadeusza Mazowieckiego w sprawie nauki religii próbowała zablokować ówczesna rzeczniczka praw obywatelskich, prof. Ewa Łętowska. Trybunał Konstytucyjny oddalił jednak jej skargę, stwierdzając, że religia w szkołach nie będzie miała wpływu na świeckość państwa. Warto dodać, że trzech sędziów TK zgłosiło wtedy zdania odrębne.

– Lekcje religii zostały wprowadzone w sposób skandaliczny jak na standardy demokratyczne, bo prymas wymusił tę decyzję na premierze Mazowieckim, który następnie wymógł wprowadzenie katechezy na ministrze Samsonowiczu. Ważnym kontekstem jest to, że w tamtym czasie, kiedy Glemp naciskał na Mazowieckiego, mowa była o tym, że to Kościół będzie ponosił całkowitą odpowiedzialność finansową za lekcje religii, a na dodatek będą one nieobowiązkowe. Dzisiejszy projekt Ordo Iuris z dwiema obowiązkowymi lekcjami religii cofa nas w czasie nie do 1993 r., ale do roku 1925, gdzie lekcje religii były ujęte w konkordacie jako obowiązkowe. Mamy więc regres z pogwałceniem wszystkich demokratycznych reguł. Fundamentalistyczna organizacja Ordo Iuris z błogosławieństwem episkopatu i aplauzem prawej strony sceny politycznej chce nam zafundować „szarijat katolicki". To ma być teokracja w najgorszym tego słowa znaczeniu, bo przecież Polska lat 20. to była Polska – jak mówił słusznie Tadeusz Boy-Żeleński – opanowana przez „naszych okupantów", czyli przez kler – komentuje prof. Obirek.

Wbrew twierdzeniom niektórych przedstawicieli Kościoła w konstytucji nigdzie nie stwierdzono, że nauczanie religii ma się odbywać w jakimś konkretnym wymiarze godzin.

– Konstytucja nie nakazuje, by religia była uczona w wymiarze dwóch godzin tygodniowo. Gwarantuje natomiast rodzicom możliwość wychowania dziecka w zgodzie ze swoimi przekonaniami (art. 48 ust. 1), a także wolność sumienia i religii (art. 53 ust. 1) czy w końcu możliwość nauczania religii w szkole (art. 53 ust. 4). O nauczaniu religii katolickiej w szkołach przesądza konkordat. Sam wymiar godzin reguluje rozporządzenie Ministra Edukacji, które może być oczywiście zmienione. Jednak z delegacją ustawową może to nastąpić „w porozumieniu" z Kościołami i związkami wyznaniowymi. Problem z decyzją Barbary Nowackiej polegał więc nie na tym, że zaproponowała zmniejszenie wymiaru godzin religii w szkołach, ale na tym, że zrobiła to z naruszeniem wymogów formalnych – bez wymaganego porozumienia z Kościołami – mówi dr Kamil Stępniak, prawnik konstytucjonalista.

Warto przypomnieć jeszcze rzeczywistość osób niechodzących na religię przed reformami Nowackiej. Dzieci nieuczęszczające na religię, umieszczaną w środku planu zajęć, spędzały czas na korytarzu albo w świetlicy. W dodatku uczniowie musieli czekać na lekcje etyki, które odbywały się na końcu. Dorzućmy do tego, że w wielu szkołach na niefakultatywne zajęcia z katechezy byli z automatu zapisani wszyscy. Z religii trzeba było się wypisać. Ordo Iuris chce teraz powrotu do podobnego modelu, mówiąc, że dwie lekcje religii są konieczne. Nie można jednak nawet odnieść się do takiego argumentu merytorycznie, ponieważ za program nauczania religii odpowiada wyłącznie Kościół. Ministerstwo Edukacji Narodowej nie ma żadnego wpływu na treści prezentowane na lekcjach. Na dodatek Ordo Iuris chce nieskrępowanej możliwości wizytacji księży na lekcjach religii. A to nie koniec problemów merytorycznych w kontekście forsowanego pomysłu

Od 2016 r. Polska doświadcza jednego z najszybszych procesów sekularyzacji na świecie.

eprasa.pl 233aac792f

dwóch obowiązkowych katechez lub lekcji etyki.

– Obowiązkowość dwóch lekcji religii jest postulatem zupełnie nieżyciowym. Po pierwsze, wypisani już uczniowie nie wrócą na religię. Po drugie, system oświaty nie ma dostatecznych możliwości kadrowych. Szczególnie brakuje nauczycieli i nauczycielek etyki, którzy mogliby zaoferować alternatywę. A alternatywa musi być, bo inaczej mielibyśmy do czynienia z naruszeniem zasad neutralności wyznaniowej państwa. Co więcej, zaczyna też brakować nauczycieli i nauczycielek religii rzymskokatolickiej. Ci, którzy porzucili pracę jako katecheci, już nie wrócą. Szczególnie że liczba uczniów zmniejszała się w ostatnich latach, przewaga nad Rafałem Trzaskowskim wynosiła ok. 370 tys. głosów. Liczby nie przeszkadzają jednak inicjatorom „Tak dla Religii w Szkołach!" twierdzić, że wespół z zasiadającą w Sejmie prawicą są głosem ludu.

– Reforma obecnego Ministerstwa Edukacji Narodowej została, w mojej ocenie, wprowadzona zbyt szybko, bo reformy w edukacji powinny mieć czas na okrzepnięcie i pewne przygotowanie systemu. Jednocześnie zmiana dokonana przez ministrę Nowacką była potwierdzeniem pewnego zjawiska społecznego. Faktem jest, że jeszcze zanim wprowadzono reformę w sprawie lekcji religii, w niektórych diecezjach biskupi od jakiegoś czasu wydawali zgodę na ograniczenie liczby lekcji religii do

Łączny odsetek osób, które deklarują zaufanie do Kościoła, spadł z 58% do 35,1%.

łączono grupy, a to wszystko skutkowało mniejszą ilością pracy. W związku z tym wiele osób zrezygnowało z zawodu. Praktyka pokazuje, że osoby, które rzucają pracę w szkole, nie wracają już do zawodu nauczyciela – wyjaśnia Ignacy Dudkiewicz.

Czy pół miliona to dużo?

Autorzy inicjatywy Ordo Iuris „Tak dla Religii w Szkołach!", która dzięki głosom PSL i posłów Trzeciej Drogi przeszła przez Sejm, chwalą się, że zebrali pół miliona podpisów pod swoim projektem. Jest to działanie czysto propagandowe, mające zmanipulować opinię publiczną. Po pierwsze, już 100 tys. podpisów pozwala wnieść do Sejmu obywatelski projekt ustawy. Przedstawiciele „Tak dla Religii w Szkołach!" mogli więc dużo szybciej złożyć wniosek, zamiast nadal zbierać podpisy. Po drugie, pokazanie, że „jest nas aż pół miliona", ma sugerować, że inicjatywa ma mnóstwo zwolenników. Sęk w tym, że pół miliona to jakieś 1,7% uprawnionych w Polsce do głosowania. Przypomnijmy, że niektórzy po dziś dzień mają wątpliwości co do wygranej Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich, gdzie jego jednej na prośbę np. dyrektorów miejscowych szkół, którzy zgłaszali, że nie mają wystarczająco dużo chętnych. Odwrócenie tego trendu nie jest możliwe ze względu na dynamikę zmian społecznych związanych z laicyzacją – mówi Ignacy Dudkiewicz.

– Propozycja ministry Nowackiej jest w moim przekonaniu bardzo rozsądna. Pytanie, na ile zadziała komunikacja MEN i język używany do dialogu ze społeczeństwem. Czy media, rodzice i dzieci dostają przekaz tak rozsądny jak wprowadzone rozwiązania. Jedną z gorszych sytuacji jest kolejna odsłona wojny kulturowej, czyli polsko-polskiej, tym razem toczącej się o religię. Cierpią na tym szkoła, nauczyciele, a przede wszystkim uczniowie. Podstawą w takich sytuacjach powinna być rozmowa. Niestety, dla polskiego kleru nie ma to znaczenia. Nawet najlepsza merytorycznie propozycja alternatywnego przedmiotu z zakresu religioznawstwa zostanie nazwana deprawacją i wdrażaniem lewackiej ideologii. Dla biskupów rzeczywistość nie ma bowiem żadnego znaczenia – podkreśla prof. Obirek.

Nawet jeśli ocena samej reformy jest pozytywna, strategia Nowackiej wyprowadzenia religii ze szkół okazała się nieprzemyślana od strony prawnej, co szeroko opisywał konstytucjonalista dr Kamil Stępniak. Prawnik wskazuje, że pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska ma rację, mówiąc, że rozporządzenie Nowackiej zostało wydane w sposób nielegalny, niespełniający wymogów nie tylko konstytucyjnych, ale i legislacyjnych.

Barbara Nowacka zorganizowała spotkanie z przedstawicielami Kościołów i związków wyznaniowych. Problem polega na tym, że ministra edukacji nie doszła z nimi do porozumienia, a mimo to postanowiła zmienić rozporządzenie. To stoi zaś w sprzeczności z art. 12 ust. 2 Ustawy o systemie oświaty, który mówi, że wydanie rozporządzenia jest legalne, dopiero kiedy jest wydane „w porozumieniu z władzami Kościoła katolickiego i Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego oraz innych Kościołów i związków wyznaniowych". Wiedzą o tym wszyscy zainteresowani sprawą. Pewnie dlatego Stowarzyszenie Katechetów Świeckich poinformowało, że złożyło skargę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że ETPC przyzna stowarzyszeniu rację.

To zaś oznacza, że lekcje religii prędzej czy później mogą wrócić do szkół co najmniej w kształcie sprzed reformy Nowackiej. Niestety, MEN zadziałało efektownie, ale nie zadziałało efektywnie. Ekipa z ministerstwa mogła lepiej się zabezpieczyć od strony prawnej. Szczególnie że można było się spodziewać, iż obrońcy nauczania religii w szkole ruszą z pełną siłą. Samo Stowarzyszenie Katechetów Świeckich to ok. 10,5 tys. osób. Po raz kolejny Nowacka działa na trójkę z plusem. Dobra wiadomość jest taka, że nawet jeśli Ordo Iuris do spółki z Szymonem Hołownią, Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem i polską prawicą przywrócą obowiązkowe lekcje religii, to tylko dołożą swoją cegiełkę do procesu laicyzacji polskiego społeczeństwa. Nic tak nie zniechęca do jakiegoś przedmiotu jak szkolny kierat.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 233aac792f

Mocny w gębie

Dominik Tarczyński – wierny uczeń i naśladowca Donalda Trumpa

Andrzej Sikorski

Plotkarskie media obiegły zdjęcia polityka PiS w towarzystwie gwiazdy TVN Joanny Krupy. Czułe objęcia i gesty w modnej warszawskiej restauracji wywołały niedowierzanie i wiele spekulacji. Krupa znana jest bowiem z tolerancji i wspierania środowisk LGBT, a także walki o prawa zwierząt. Zwalcza przemysł futrzarski i publicznie krytykuje celebrytów, którzy noszą futra. Tarczyński zaś to zaciekły rasista, homofob i mizogin. Wulgarnie odnosił się do kobiet walczących o swoje prawa, a w mediach społecznościowych zamieścił zdjęcie w czerwonym płaszczu z kołnierzem z futra jenota. Fotografia wywołała oburzenie wśród obrońców praw zwierząt, a Tarczyńskiemu nadano złośliwy przydomek „jenot".

Jeszcze kilka dni przed randką z eksmodelką Tarczyński występował w całkiem innej scenerii. W Londynie wziął udział w rasistowskim, antyimigranckim wiecu skrajnej prawicy.



Dominik Tarczyński podczas Marszu Niepodległości. Warszawa, 11 listopada 2019 r.

Krzyżowiec PiS

„Odeślijmy ich z powrotem! (…) Musimy być bardzo radykalni. Zero oznacza zero. Dość znaczy dość. Mamy dość! (…) Niech świat wie, że nasza cywilizacja chrześcijańska zbudowała ten piękny kontynent. (…) Czas teraz na odważnych mężczyzn. Czas przestać nosić sukienki. Musimy założyć zbroję! (…) Bądźcie mężczyznami, chrońcie swoją rodzinę, chrońcie swoje dzieci!", wykrzykiwał ze sceny do podekscytowanego tłumu europoseł PiS.

Organizatorem wiecu był Tommy Robinson, przyjaciel Tarczyńskiego i skrajnie prawicowy aktywista znany ze szczucia na wyznawców islamu. Robinson wspiera Władimira Putina, szerzył też rosyjską dezinformację dotyczącą wojny w Ukrainie. Innym gościem marszu był Petr Bystron, eurodeputowany niemieckiej populistycznej AfD. Polityk ten oskarżany jest przez prokuraturę o promowanie hitleryzmu, łapówkarstwo i pranie pieniędzy otrzymywanych od Rosji. Bystron i Tarczyński są w doskonałej komitywie. W 2018 r. panowie odebrali nagrodę im. Phyllis Schlafly, przyznawaną przez amerykańskie środowiska prawicowe za „pracę poświęconą Bogu, Rodzinie i Ojczyźnie". Wśród zaproszonych na imprezę byli m.in. Mike Cernovich i Stefan Molyneux, prawicowi ekstremiści, twórcy fake newsów i wyznawcy spiskowej rasistowskiej teorii „ludobójstwa białych farmerów" w RPA.

Obecność Tarczyńskiego na zagranicznych wiecach i imprezach skrajnej prawicy nie jest przypadkowa. Jego politycznym idolem jest Donald Trump, a dzięki perfekcyjnej znajomości angielskiego polityk PiS ma szerokie kontakty w środowiskach ekstremistycznych na całym świecie. Koleguje się z wpływowymi przedstawicielami amerykańskiego ruchu MAGA i z Álvarem Uribe, byłym prezydentem Kolumbii, którego nazwał „wspaniałym człowiekiem" i „przyjacielem Polski".

O tym „wspaniałym człowieku" Tarczyński nakręcił film „Kolumbia – świadectwo dla świata". Dokument w 2011 r. zdobył pierwsze miejsce na XVI Międzynarodowym Katolickim Festiwalu Filmów i Multimediów w Niepokalanowie.

Tarczyński przedstawił prezydenta jako katolickiego męża stanu i zbawcę narodu, rozprawiającego się z marksistowskimi mafiami narkotykowymi. Prawda jednak była inna. Uribe to skorumpowany morderca, twórca owianych złą sławą grup paramilitarnych powiązanych z przemysłem narkotykowym. Bojówki torturowały i zamordowały tysiące ludzi, w tym kobiety i dzieci.

„Szkoda, że reżyser filmu nie sprawdził żadnych rzetelnych danych na temat prezydenta, przyjmując bezkrytycznie propagandową wersję samego bohatera dokumentu i jego zwolenników. (…) Autor filmu gorąco zachęca do jego obejrzenia. Owszem, można, tym bardziej że w jednej piątej film przedstawia szczere świadectwa zwykłych ludzi. Cała reszta to

eprasa.pl 233aac792f

farsa, stworzona dzięki wyjątkowej naiwności i beztrosce nieprzygotowania do rozmowy z politykami. Jest to również kompromitacja jury Festiwalu. Czyż można bardziej się pomylić, niż podziwiając Piłata jako skutecznego urzędnika państwowego, chwaląc Szawła z Tarsu za gorliwość w promowaniu judaizmu lub lansując Nerona jako artystę tragicznego?", pisał na katolickim portalu DEON.pl jezuita ks. Andrzej Sarnacki.

Z ziemi brytyjskiej do Polski

Kariera polityczna Tarczyńskiego (rocznik 1979) jest nietypowa jak na polskie warunki. Europoseł PiS nie zaczynał w młodzieżówce partyjnej, nie nosił teczki za starymi politykami, nie działał w organizacjach pozarządowych czy w samorządzie. Pochodzi z Bełżyc pod Lublinem, ukończył studia prawnicze na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a w latach 2003-2008 był animatorem wspólnoty w katedrze Westminsterskiej w Londynie, działaczem polonijnym, krupierem w kasynie, a nawet asystentem brytyjskiego egzorcysty.

W Anglii skumał się ze środowiskiem Ligi Polskich Rodzin – partia ta chciała go w 2007 r. ulokować na stołku wicedyrektora szczecińskiego oddziału TVP. Nic z tego nie wyszło, ale w 2009 r. (prezesem TVP był Piotr Farfał z LPR) Tarczyński dostał posadę dyrektora oddziału TVP w Kielcach. Jakie miał do tego kompetencje, trudno dociec. Dziennikarze pamiętają jednak, że regionalna telewizja stała się tubą propagandową partii Libertas, z list której do Parlamentu Europejskiego kandydowali politycy LPR. Nic to nie pomogło, Libertas zdobyła niewiele ponad 1% poparcia.

Tarczyński szybko wyczuł, skąd wiatr wieje, i zapałał miłością do PiS, a szczególnie do świętokrzyskiego lidera partii Przemysława Gosiewskiego, który stał się głównym bohaterem serwisów. W 2010 r. Tarczyński stracił dyrektorski stołek w Kielcach, ale krzywda mu się nie stała i odnalazł się w centrali TVP w Warszawie. Został przyłapany, gdy będąc na wielomiesięcznym zwolnieniu lekarskim, pilnował namiotu propisowskiego stowarzyszenia Solidarni 2010 na Krakowskim Przedmieściu. Tarczyński twierdził, że nie ma o co kopii kruszyć, bo „lekarz prowadzący wyraził zgodę na chodzenie", a „nie każda choroba wyłącza człowieka z aktywności społecznej". „Osamotnienie i wykluczenie społeczne na pewno nie pomogłoby mi w tym trudnym okresie życia", dodawał.



Tarczyński lubi przepych: w mediach społecznościowych zamieścił zdjęcie w płaszczu z kołnierzem z futra jenota.

Jak już ozdrowiał, podziękowano mu za pracę w TVP. Zajął się biznesem kościelnym. Sprowadził do Polski m.in. Myrnę Nazzour, mistyczkę z Syrii, której mieli się objawić Matka Boska i Jezus, oraz Johna Baptista Bashoborę, egzorcystę z Ugandy wskrzeszającego umarłych. Tysiące ludzi chorych, niedołężnych i zdesperowanych płaciło grube pieniądze za wejściówki, licząc na uzdrowienie.

Tarczyński organizował też pielgrzymki, a media przytaczały wypowiedzi niezadowolonych uczestników. Czuli się oszukani, bo zmuszano ich do dodatkowych, niezapowiedzianych opłat, po kilkadziesiąt euro, np. za bilety wstępu czy „dobrowolne ofiary". Zmieniano też bez uzgodnienia program pielgrzymek. Pątnicy spali „w odrapanych hotelach z widokiem na nic", a gdy próbowali cokolwiek załatwić z Tarczyńskim, ten był nieuchwytny, bo siedział „w kawiarni, pod palmą, z palemką relaksował się".

Prowadząc biznes kościelny, Tarczyński nie porzucił politycznych ambicji. Kręcił się koło Mariusza Błaszczaka, Beaty Kempy, Zbigniewa Ziobry, Ryszarda Czarneckiego, pisał felietony do „Gazety Polskiej". Bezskutecznie kandydował z listy PiS do Sejmiku Województwa Świętokrzyskiego. W 2015 r. dostał się do Sejmu, a w 2019 i 2024 r. został wybrany do Parlamentu Europejskiego.

Zamiłowanie do luksusu i sponsorka

Choć Tarczyński eksponuje publicznie swoją wiarę, przywiązanie do wartości chrześcijańskich i nauk Kościoła katolickiego, trudno go nazwać przykładnym katolikiem. „Ceni dobrą zabawę i luksusowy wypoczynek. W portalach społecznościowych co jakiś czas publikuje zdjęcia z Tajlandii, Meksyku, Portugalii czy Hawajów. Wszystkie w podobnym klimacie: kolorowy drink z parasolką, kąpiel w oceanie, domki na palach, bilet lotniczy biznes klasy", pisał o nim „Newsweek".

Tarczyński lubi również otaczać się atrakcyjnymi i wpływowymi kobietami. W Kielcach związał się z lokalną bizneswoman Agnieszką Migoń, powszechnie szanowaną filantropką i zamożną właścicielką kilku butików modowych. Polityk zamieszkał u swojej wybranki, jeździł jej sportowym bmw w kolorze miedzi, a ta opłacała mu drogie zagraniczne wyjazdy, a nawet kampanię wyborczą. Plotkarski portal Pudelek.pl napisał potem, że Migoń „to nie tylko partnerka parlamentarzysty PiS, lecz także jego sponsorka".

Rozstanie Tarczyńskiego i Migoń musiało być burzliwe. Podobno wierność i uczciwość wobec kobiet nie jest najmocniejszą stroną chrześcijańskiego polityka. Gdy w 2021 r. dziennikarze zarzucili bizneswoman, że ta dzięki Tarczyńskiemu dostała posady

eprasa.pl 233aac792f

w radzie nadzorczej państwowej spółki Prema i radzie programowej Polskiego Radia w Kielcach, ta opublikowała oświadczenie, „że nie jest partnerką Dominika Tarczyńskiego", „nigdy nie była i nie jest jego żoną", a zarzucanie nepotyzmu i podważanie jej kompetencji i dorobku zawodowego jest bezprawnym działaniem na szkodę jej, współpracowników oraz partnerów biznesowych.

Pan cham

Z etyką chrześcijańską nie mają wiele wspólnego także inne zachowania Tarczyńskiego. W 2016 r. polityk PiS nazwał Lecha Wałęsę „bydlakiem" i „zaprosił go na solo". Odpowiedział mu Dariusz Michalczewski, były zawodowy mistrz świata w boksie: „Ten bydlak nie zna granic. Jak jest w takiej dobrej formie, to niech skoczy nie do pana Wałęsy, ale do mnie, faceta w sile wieku. Chętnie dam mu lekcję szacunku. Nie będę boksował go delikatnie, tylko tak mu wjebię jak kozie za obiery. Ten goguś z PiS nie ma prawa obrażać pana prezydenta i lepiej, żeby mnie nie spotkał na swojej drodze". Chamstwo Tarczyńskiego nie spodobało się nawet w PiS, a wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki nazwał takie zachowanie „skandalicznym", tłumacząc je „chwilowym zaburzeniem umysłowym".

W tym roku Tarczyński wulgarnie zaatakował na portalu X piosenkarkę Madonnę, której nie podobała się grafika przedstawiająca prezydenta Donalda Trumpa z szerokim uśmiechem i w koronie, z podpisem: „Niech żyje król". Madonna napisała: „Myślałam, że ten kraj został zbudowany przez Europejczyków, którzy uciekali przed rządami królów, by założyć Nowy Świat, rządzony przez lud. Obecnie mamy prezydenta, który ogłosił się Naszym Królem. Jeśli to żart, to nie jest mi do śmiechu". Tarczyński odpisał artystce: „Chuj nas obchodzą twoje brednie. To Amerykański lud znowu przemówił. Pierdol się tak, jak to robisz za kasę na scenie. Poza tym: jak ci się nie podoba, przeprowadź się do Kanady albo do Meksyku".

W 2020 r. Tarczyński dopadł w zatłoczonym pociągu Adama Michnika. Widząc naczelnego „Gazety Wyborczej", wyciągnął telefon komórkowy i przystawił mu go do twarzy, zaczepiając prowokacyjnymi pytaniami: „Pan pozdrowi brata, panie redaktorze. Zabrakło panu języka tym razem? Do posła się pan boi odezwać?". Nagranie zamieścił na swoich profilach w mediach społecznościowych, urządzając nagonkę na Michnika za to, że jego przyrodni brat w czasach stalinowskich był sędzią i skazywał działaczy antykomunistycznych.

Ojca Włodzimierza Cimoszewicza Tarczyński nazwał „sadystą" i „komunistycznym bydlakiem" tylko dlatego, że ten, podobnie jak tysiące Polaków, służył w Armii Czerwonej, a potem w Wojsku Polskim. Jako przeciwwagę przedstawiał swojego dziadka, Józefa Albińskiego, partyzanta podziemia niepodległościowego. „Jestem gotowy na debatę, z jednym bądź drugim Cimoszewiczem (Tomaszem Cimoszewiczem – przyp. A.S.). Na debatę o historii mojego dziadka oraz na debatę o historii ojca Włodzimierza Cimoszewicza. Spotkajmy się w studiu i opowiedzmy życiorysy naszych przodków, którzy bezpośrednio w czasie II wojny światowej i zaraz po niej odegrali bardzo ważne role w Polsce. Pytanie, czy to była rola dla Polski dobra, czy zła, czy to było bohaterstwo, czy zdrada", prawił Tarczyński.

Dziennikarze Wirtualnej Polski i „Gazety Wyborczej" na podstawie akt IPN prześledzili życiorys Józefa Albińskiego. Walczył w szeregach Narodowych Sił Zbrojnych – w partyjnym wojsku przedwojennych polskich faszystów – ale nie wykazał się żadnymi chwalebnymi dokonaniami. Jak twierdził podczas przesłuchania przez bezpiekę, jako komendant NSZ w Bełżycach „żadnych akcji nie podejmował, ponieważ placówka ta nie posiadała uzbrojenia". W 1947 r. ujawnił się przed Powiatowym Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie i wrócił do normalnego życia. Był inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa, ale represje takie jak więzienie czy oskarżenie o działalność w powojennej partyzantce go nie dotknęły. Z zachowanych dokumentów wynika, że dziadek Tarczyńskiego współpracował z Niemcami i pomagał hitlerowcom w wyszukiwaniu Żydów ukrywających się przed zagładą. Okradał też zamożnych Żydów, być może – takie zachowały się niepotwierdzone relacje – uczestniczył w ich mordowaniu.

Po wojnie Albiński wsypał bezpiece towarzyszy konspiracji, ujawniając ich nazwiska i adresy. Co ciekawe, SB interesowała się dziadkiem Tarczyńskiego nie dlatego, że działał w antykomunistycznej partyzantce, ale ponieważ był wrogo nastawiony do władzy ludowej i zgromadził ogromny majątek niewiadomego pochodzenia. Szewc, po kilku klasach podstawówki, posiadał nieruchomości, samochody i gotówkę w dużych ilościach.



Dziadek Tarczyńskiego, Józef Albiński „Lis", współpracował z Niemcami i pomagał hitlerowcom w wyszukiwaniu ukrywających się Żydów.

Ci, którzy znają Dominika Tarczyńskiego, mówią, że to nałogowy kłamca, arogant, cynik, manipulator i hipokryta, gardzący ludźmi nawet z własnego obozu politycznego. Tak naprawdę zależy mu jedynie na pieniądzach, wygodnym życiu i poklasku. Z takimi ambicjami będzie idealnym kandydatem na przywódcę polskiej prawicy reprezentującej interesy biednych i wykluczonych obywateli.

Andrzej Sikorski

FOT. GRZEGORZ BANASZAK/ REPORTER, INSTAGRAM, X.

eprasa.pl 233aac792f

Pożyczamy i pomagamy

Nasze zadłużenie zbliża się do 2 bln zł, mimo to wciąż hojnie pożyczamy

Marek Czarkowski

27 marca 2001 r. Bogdan Lewandowski, poseł SLD, skierował na ręce ówczesnego premiera Jerzego Buzka zapytanie w sprawie zobowiązań finansowych obcych państw wobec Polski. Odpowiedzi udzielił mu wiceminister finansów. Wynikało z niej, że zobowiązania 19 państw wobec Warszawy wynoszą ok. 1,2 mld dol.

Największymi dłużnikami naszego kraju były:

Irak – 564 mln dol.,
Syria – 245 mln dol.,
Angola – 141 mln dol.,
Sudan – 54 mln dol.

Poza tym: Nikaragua, Algieria, Etiopia, Mozambik, Jugosławia, Mongolia, Kuba, Korea Północna, Kambodża, Albania, Rumunia, Bułgaria, Tunezja oraz Jemen i Wietnam.

W latach 1996-1999 udało się rozliczyć w pełni zaległe zadłużenie Chińskiej Republiki Ludowej. W 2000 r. rozliczono także zaległe zobowiązania Argentyny i Rosji, odzyskując łącznie 22,8 mln dol. Państwa te dokonywały spłat częściowo w formie gotówkowej, częściowo dostarczając towary.

Zobowiązania Etiopii w wyniku negocjacji zostały częściowo uregulowane poprzez nabycie praw własności do znajdującej się w Addis Abebie nieruchomości przeznaczonej na potrzeby polskiej misji dyplomatycznej.

W 2001 r. szacowano, że ponad 95% zobowiązań kredytowych wobec Polski stanowiły należności przeterminowane, czyli niespłacalne. Sądzę, że w ostatnich latach sytuacja się poprawiła.

Według najnowszych danych w 2025 r. 19 państw jest Polsce dłużnych ok. 7,7-8,6 mld zł, czyli od 2,13 do 2,38 mld dol., licząc po obecnym kursie NBP. Wśród największych dłużników są: Irak, Syria, Sudan, Mozambik i Chiny.

Ukraina – bardziej pomagamy, mniej pożyczamy

Nie brakuje opinii, że dziś największe zobowiązania wobec Warszawy ma Ukraina. Nasze wsparcie dla tego państwa sięgnęło w ostatnich latach, według niektórych wyliczeń, 4,5 mld euro, czyli ok. 19,4 mld zł. Według innych informacji może być wyższe.

Zgodnie z danymi Kiel Institute for the World Economy Polska zajmuje trzecie miejsce na świecie pod względem łącznego wsparcia dla Ukrainy, o wartości 34,44 mld euro, co stanowi prawie 5% polskiego PKB.

W 2001 r. szacowano, że ponad 95% zobowiązań kredytowych wobec Polski stanowiły należności przeterminowane, czyli niespłacalne.

Po agresji Rosji udzieliliśmy Kijowowi bezprecedensowej pomocy wojskowej. Dosłownie ogołociliśmy swoje magazyny, przekazując Ukraińcom ok. 350 czołgów różnych typów: od T-72, przez PT-91 Twardy, po Leopardy 2A4. Do tego doszło 250 bojowych wozów piechoty BWP-1, 100 transporterów Rosomak, 54 armatohaubice Krab, od 10 do 14 myśliwców MiG-29, do tego tysiące zestawów przeciwlotniczych Piorun i Grom oraz ponad 100 mln sztuk amunicji różnych kalibrów. Szacuje się, że wartość tej pomocy przekroczyła 13 mld zł. To nie było symboliczne wsparcie. Przekazaliśmy naszym sąsiadom tyle sprzętu, ile składa się na wyposażenie jednej dywizji Wojska Polskiego. Dane te potwierdził w maju br. ambasador Polski w Ukrainie Piotr Łukasiewicz.

Poza tym według danych Ministerstwa Finansów Polska dotychczas udzieliła Kijowowi kredytów na kwotę 434,46 mln zł. W 2015 r. udzieliliśmy kredytu w kwocie 100 mln euro (choć są też informacje, że było to 160 mln euro) na modernizację przejść granicznych i rozbudowę towarzyszącej im infrastruktury drogowej. Warunkiem wykorzystania kredytu był udział polskich firm w realizacji tych przedsięwzięć. Kredyt ten został wykorzystany i spłacony. W sierpniu 2025 r. między Polską a Ukrainą została podpisana umowa kredytowa na kwotę 120 mln euro, na mocy której sprzedamy sąsiadom armatohaubice Krab oraz zestawy przeciwlotnicze Piorun. Spłata nastąpi w 50 równych, półrocznych ratach, płatnych w euro, po upływie pięcioletniego okresu karencji od daty wykorzystania kredytu. Oprocentowanie można określić jako wybitnie preferencyjne: 0,15% rocznie!

Poseł Konfederacji Grzegorz Płaczek wywołał w tym roku wzburzenie w Sejmie, przekonując posłów, że Polska będzie spłacała dług Ukrainy wobec Komisji Europejskiej. Ostatecznie wyjaśniło się, że Polska wspólnie z innymi państwami UE na wniosek Kijowa zobowiązana jest do spłaty odsetek od kredytu zaciągniętego w Brukseli przez naszych sąsiadów. W ubiegłym roku była to kwota ponad 102 mln zł. O ile na antenie Polsatu były premier Leszek Miller

eprasa.pl 233aac792f



Sudan dawno zapomniał o swoich zobowiązaniach. Długi Chartumu wobec Warszawy urosły do ponad 300 mln dol.

skrytykował ten fakt, o tyle inny były premier, Waldemar Pawlak, stwierdził, że „na sprawę trzeba patrzeć w kontekście szeroko rozumianego bezpieczeństwa Polski, i to bezpieczeństwa strategicznego. To niezbyt duże kwoty z tego punktu widzenia".

Jednak najwięcej emocji wzbudzają informacje dotyczące wsparcia, jakiego udzieliliśmy ukraińskim uchodźcom. Szacunki mówią, że w latach 2022-2025 koszt ich utrzymania wyniósł ok. 125 mld zł, czyli ok. 29,3 mld euro. O nadzwyczajnej hojności wobec ukraińskich uchodźców, którzy znaleźli nad Wisłą schronienie, najczęściej gardłują media „patriotyczne i narodowe" oraz politycy Konfederacji i PiS.

Odrębną kwestią jest pytanie, czy w przyszłości, po zakończeniu działań wojennych, Ukraina będzie zdolna uregulować zobowiązania wobec kredytodawców. W zachodnich mediach dominuje wyrażany przez ekspertów pogląd, że jeśli Kijów będzie w stanie, i to w długim okresie, spłacić chociaż 20% swoich długów, będziemy mogli mówić o dużym sukcesie.

Nie mamy waszych pieniędzy. I co nam zrobicie?

Wśród krajów Trzeciego Świata są takie, którym w latach 70. i 80. XX w. udzieliliśmy kredytów, a które dziś, delikatnie mówiąc, nie chcą o tym pamiętać. Na ich czele jest Irak. W XX w. Polska eksportowała do tego kraju wyroby przemysłu elektromaszynowego, które stanowiły średnio 69,68% całości naszego eksportu. Były to maszyny przemysłowe, urządzenia techniczne oraz środki transportu. W tamtym czasie wybudowaliśmy w Iraku dwie stalownie, cukrownię, cementownię, znaczną część autostrady pomiędzy Kuwejtem a Jordanią, która w latach 80. XX w. była największą tego rodzaju inwestycją budowlaną na świecie.

W realizacji irackich kontraktów uczestniczyły takie polskie firmy jak Elektromontaż, Mostostal, Budostal, Hydropol, Naftobudowa oraz Budimex. W samym Iraku pracowało ponad 2,5 tys. polskich techników i inżynierów.

W latach 80. Irak toczył brutalną wojnę z Iranem. Straty Bagdadu przekroczyły 400 mld dol., a zadłużenie zagraniczne wzrosło do ponad 100 mld dol. Gdy w 1990 r. Saddam Husajn zaatakował Kuwejt, Irak został objęty międzynarodowymi sankcjami. I przestał spłacać swoje zobowiązania. Także wobec Polski.

21 listopada 2004 r. państwa wierzyciele Iraku skupione w Klubie Paryskim osiągnęły porozumienie z rządem w Bagdadzie o umorzeniu 80% długu. Łączne zadłużenie Iraku wynosiło wówczas 38,9 mld dol. W roku 2005 podczas wizyty w tym kraju premier Marek Belka zadeklarował, że Polska gotowa jest umorzyć znaczną część irackich zobowiązań na podstawie mechanizmu Klubu Paryskiego, w zamian za spodziewane kontrakty przy rozbudowie pól naftowych w Kurdystanie i na południu kraju. Skończyło się na niczym. Irak dalej jest nam winny ponad pół miliarda dolarów.

O spłacie kredytów przez Syrię nie ma co nawet marzyć. Kraj po brutalnej wojnie domowej leży w ruinie i spłata czegokolwiek jest ostatnią rzeczą, o jakiej myślą jego obecni liderzy.

Możemy też zapomnieć o spłacie kredytów przez rząd Sudanu. Z powodu chronicznej niestabilności politycznej i toczącej się w tym kraju wojny domowej Sudan dawno zapomniał o swoich zobowiązaniach. Długi Chartumu wobec Warszawy urosły do ponad 300 mln dol.

Na szczęście są kraje, które regularnie obsługują swoje zobowiązania wobec Polski. Na przykład Chiny, którym w 2000 r. pożyczyliśmy 276,5 mln dol. Nie mamy także problemów z Tanzanią, która w 2015 r. wzięła kredyt na kwotę 110 mln dol. Dobrze radzi sobie Etiopia, która jest nam winna 100 mln dol., oraz Kenia, której pożyczyliśmy identyczną kwotę. Ostatnim krajem, który zaciągnął u nas względnie dużą pożyczkę, jest Mjanma (dawniej Birma). Chodzi o 50 mln dol. Ten rządzony przez wojskową dyktaturę kraj na razie swoje zobowiązania reguluje.

Rządowe kredyty i pomoc bezzwrotna są elementem polityki zagranicznej każdego państwa. Jednak Polska nie może sobie pozwolić na wiele. Zagraniczne wierzytelności stanowią marginalną część w porównaniu z naszym zadłużeniem, które na koniec I kwartału 2025 r. dobiło do 454,87 mld euro, czyli wynosi prawie 2 bln zł. ■

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 233aac792f

Jaka przyszłość polskiej gospodarki?

Słynne hasło „brak polityki przemysłowej jest najlepszą polityką” okazało się dla Polski zgubne



Przekop Mierzei Wiślanej był decyzją świadczącą o megalomanii partyjnej lub osobistej. Nz. minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Marek Gróbarczyk, Jarosław Kaczyński i poseł PiS Jerzy Wilk, 16 października 2018 r.

Andrzej Jakubowicz

Stan polskiej gospodarki i jej przyszłość są determinowane wynikami transformacji po 1989 r. Cechą charakterystyczną tego procesu było przeprowadzenie go pod przemożnym wpływem neoliberalizmu gospodarczego, który królował w gospodarce światowej od lat 80. minionego wieku. Główne założenia tego kierunku, w największym skrócie, to: jak najmniej państwa w gospodarce, ochrona środowiska hamuje rozwój, postawa „chciwości” jest słuszna, podatki progresywne są szkodliwe, bo hamują rozwój. Te założenia w silnych gospodarkach krajów Zachodu na pewnym etapie przyczyniły się do ich rozwoju. U nas niestety nie zdały egzaminu.

W wyniku zastosowania tych błędnych dla naszej gospodarki założeń nastąpiła jej głęboka dezindustrializacja. Niemal całkowicie zniknęły całe gałęzie przemysłu, np. włókiennictwo – słynne na cały świat ze względu na wysoką jakość wyrobów. Byliśmy również znanym eksporterem kompletnych obiektów przemysłowych, mieliśmy takie perełki jak elbląski Zamech czy kombinat papierniczy w Kwidzynie dysponujący najnowocześniejszym wyposażeniem; produkowaliśmy nawet tak deficytowe w świecie półprzewodniki. To tylko najbardziej rażące przykłady.

W stronę świadomej reindustrializacji

W okresie transformacji nie udało się zdynamizować rozwoju przemysłów wysokiej techniki. W wyniku błędnej polityki ówczesnych władz te najbardziej nowoczesne gałęzie przemysłu zostały sprywatyzowane w pierwszej kolejności, w zdecydowanej większości przejęte i w dużej części zlikwidowane przez kapitał zagraniczny. Struktura naszego przemysłu nigdy nie była nowoczesna, a w wyniku transformacji nastąpił jej dalszy regres. W 1989 r. udział tych przemysłów w gospodarce wynosił 6%, a w 2019 r. obniżył się do 5,1%. Nie od rzeczy będzie

eprasa.pl 233aac792f

wspomnieć, że udział tych przemysłów w UE wynosi przeciętnie 14-17%, a w najwyżej rozwiniętych krajach UE – 20-25%. Przodujące pod tym względem kraje to USA, Japonia, Korea Południowa, Tajwan – tam udział przekracza 30%. Rekordzistą jest zaś Izrael, z udziałem przemysłów wysokiej techniki przekraczającym 40% wartości produkcji całego przemysłu i 55% eksportu. Zadaniem dla naszej gospodarki jest chociaż częściowe zmniejszenie dystansu do czołowych krajów.

Ostatnie światowe tendencje są takie, że rola przemysłu rośnie. Wobec tego zadaniem dla polskiej gospodarki jest reindustrializacja, która powinna polegać na świadomie prowadzonej polityce przemysłowej. Brak takiej polityki w trakcie procesu transformacji gospodarczej oraz niekontrolowany i niesterowany proces prywatyzacji – w tym brak polityki wobec kapitału zagranicznego – doprowadziły polską gospodarkę do głębokiej dezindustrializacji i chaosu, a w rezultacie do masowej emigracji zarobkowej. Słynne hasło „brak polityki przemysłowej jest najlepszą polityką" okazało się zgubne.

Najwyższy czas, aby został wytyczony jej świadomy kierunek. Opieranie się na żywiołowej kreatywności przedsiębiorców – zasługującej zresztą na najwyższe uznanie – to jednak za mało. W tym kontekście warto się zastanowić, czy dążyć do odbudowy tego, co było przed transformacją, czy postąpić w jakimś sensie rewolucyjnie i przebudować strukturę polskiego przemysłu, biorąc pod uwagę nowoczesne trendy. Zdecydowanie należałoby się opowiedzieć za tym drugim kierunkiem.

Kierunki rozwoju polityki przemysłowej

Jak to zrobić? I przede wszystkim kto ma to zrobić? Oczywiście adresatem jest rząd. Poprzedni wsławił się tym, że zmienił nazwę resortu zajmującego się gospodarką z Ministerstwa Gospodarki na Ministerstwo Rozwoju. Sama zmiana szyldu nie zapewniła jednak zmiany jakościowej. Rząd Donalda Tuska ma poważne zadanie: naprawić zepsute instytucjonalnie przez poprzedników państwo. Rząd ten reaktywował Ministerstwo Przemysłu, lokując je na Śląsku – w najbardziej uprzemysłowionym regionie kraju. Ministerstwo przetrwało zaledwie półtora roku – w ramach rekonstrukcji rządu w lipcu 2025 r. zostało zlikwidowane. Zlikwidowano również samodzielny resort gospodarki funkcjonujący dotychczas pod dziwaczną nazwą Ministerstwo Rozwoju i Technologii (rozwoju czego?). W zamian powołany został gigant – Ministerstwo Finansów i Gospodarki.

Czas pokaże, czy te zmiany organizacyjne przełożą się na lepszą jakość funkcjonowania. Nadzieje są wielkie. Obecny rząd – po rekonstrukcji – ma przed sobą co najmniej dwuletnią perspektywę. W aktualnej sytuacji należy zwrócić uwagę na dwa elementy.

1. Dotychczas brakowało w strukturze rządowej silnej merytorycznie i prestiżowo osoby z wykształceniem ekonomicznym, która pełniłaby funkcję wicepremiera koordynującego sprawy gospodarcze. Na takiego lidera w sferze gospodarki w obecnym rządzie wykreowany został minister finansów i gospodarki, jednak bez formalnej rangi wicepremiera. Czas pokaże, czym ta zmiana pokoleniowa zaowocuje. Rządy z pierwszego okresu transformacji miały w składzie znaczące osobowości – jednym tchem można wymienić takie nazwiska jak Balcerowicz, Kołodko, Hausner, Belka. Ekonomiczne kompetencje tych osób są niepodważalne. Ogólnie trzeba stwierdzić, że w naszym kraju wśród wąsko pojętych elit sterujących nawą państwową od lat jest za mało ekonomistów. Dzieje się to ze szkodą dla naszej gospodarki.

2. Mimo rekonstrukcji rządu w dalszym ciągu brakuje organu sztabowego, który spełniałby funkcje doradcze dla premiera i resortów gospodarczych. Istniejąca niegdyś Rada Strategii Społeczno-Gospodarczej została zlikwidowana w pierwszym okresie rządów PiS (2006). Istniejące od 1 stycznia 1997 r. Rządowe Centrum Studiów Strategicznych rząd PiS również zlikwidował z dniem 31 marca 2006 r. Wygląda to na wielkie zadufanie rządzących i brak strategicznej wizji niezbędnej do konsekwentnej realizacji dalekosiężnych celów gospodarczych. Wspomniane centrum powinno funkcjonować niezależnie od „przeklętego" czteroletniego cyklu wyborczego. Powinien zatem być ów organ merytoryczny, funkcjonujący długofalowo, niezależnie od tego, jaka opcja polityczna jest aktualnie u władzy. Cztery lata to okres zbyt krótki, aby można było opracować, a zwłaszcza zrealizować, jakiekolwiek cele strategiczne. Nawet najgenialniejszy polityk na czele rządu nie zapanuje nad wszystkimi problemami, a na takim kompetentnym organie mógłby polegać.

Zaprezentowane poniżej problemy powinny być objęte polityką przemysłową w nadchodzących latach.

W wyniku zastosowania błędnych dla naszej gospodarki założeń nastąpiła jej głęboka dezindustrializacja.

Kierunkowo powinniśmy się skupić na rozwoju „przemysłów wysokiej techniki" czy też „przemysłów wysokiej szansy". Prof. Andrzej Karpiński zalicza do nich następujące branże: lotniczą, sprzętu oświetleniowego, farmaceutyczną, aparatury medycznej, aparatury rozdzielczej i zabezpieczeniowej, maszyn energetycznych, sprzętu telekomunikacyjnego, aparatury pomiarowej, komputerową, sprzętu fotograficznego i optycznego, elektroniki profesjonalnej, kosmetyczną i wyrobów toaletowych, celulozy i papieru, farb i lakierów, samochodową.

Nie zaniedbując oczywiście tych gałęzi, które tradycyjnie są silne, np. przetwórstwa spożywczego, cała gospodarka, a szczególnie przemysł, powinna być nastawiona bardziej na unowocześnienie struktury niż na tradycyjnie rozumiany wzrost gospodarczy (wzrost PKB). Zwracał na to uwagę w przeszłości nasz wybitny ekonomista Michał Kalecki.

eprasa.pl 233aac792f

Energetyka powinna być nastawiona na źródła odnawialne i kontynuowanie wysiłków w budowaniu elektrowni jądrowych. Kierunkowo to dekarbonizacja gospodarki – zmniejszenie wydobycia węgla kamiennego.

Mimo wielu trudnych wyborów/priorytetów, jeśli chcemy mieć nowoczesną gospodarkę, należy zdecydowanie zwiększyć nakłady na naukę. Od wielu lat jest ona u nas niedofinansowana. Trzeba wreszcie wyznaczyć priorytety ważne dla przyszłości kraju, dość już zajmowania się przeszłością.

Chodzi o maksymalizację

Pora zająć się przyszłością. Dla młodego pokolenia, które normalnym, dziejowym trybem zaczyna współrządzić, priorytetem jest przyszłość. Wysiłek mentalny i finansowy powinien więc być skierowany na rozwój gospodarczy i ekologię, a nie na „politykę historyczną". Gospodarka oparta na wiedzy – to jest kierunek godny realizacji. A to wymaga wysiłku naukowego i finansowego.

A na to wszystko – przywołam wystąpienie w naszym Sejmie pewnego ministra finansów z początkowych lat transformacji – „potrzeba nam pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy". Pieniędzy, czyli kapitału. Teraz też go potrzebujemy. Nawet bardzo. A jeśli nam brakuje, to może inni mają? Tak, kapitał zagraniczny nas ratował. Oczywiście nie z powodów altruistycznych. Wręcz opanował naszą gospodarkę, mając na względzie olbrzymi, jeden z największych w Europie, rynek zbytu. Kapitał zagraniczny jest prawdziwym beneficjentem naszych przemian. Można stwierdzić, że zbyt wielkim. W pierwszej setce największych przedsiębiorstw ok. 60 to wyłącznie kapitał zagraniczny. Jak stwierdził francuski ekonomista Thomas Piketty, „Polska jest krajem własności zagranicznej".

Kapitał zagraniczny odegrał w naszej transformacji zarówno pozytywną, jak i negatywną rolę. Ta negatywna była rezultatem także zaniedbania lub bierności ekip rządzących wówczas naszą gospodarką,



Zakłady Zamech w Elblągu były perełką polskiej gospodarki – jedynym wówczas producentem turbin w kraju. 1969 r.

niedopilnowania interesu narodowego. Niejednokrotnie to firmy zagraniczne decydowały o przebiegu procesu prywatyzacji, wybierając co bardziej łakome kąski, a już monstrualnym niedociągnięciem ze strony polskich ekip rządzących było przyzwolenie, by zagraniczne firmy zarządzające NFI same ustalały zasady zarządzania i wysokość swojego wynagrodzenia za zarządzanie. Efektem okazało się wykończenie 512 najlepszych polskich przedsiębiorstw. Ten nieudany program narodowych funduszy inwestycyjnych autorstwa Janusza Lewandowskiego był jednym z głównych czynników dezindustrializacji naszej gospodarki.

Kapitał zagraniczny może odegrać istotną rolę w unowocześnieniu naszego przemysłu. Potrzebne jest jednak odpowiednie oddziaływanie państwa – sterowanie tym procesem. Niestety, nie jesteśmy pierwszą ligą finansową w Europie; jak stwierdza w swojej książce Edwin Bendyk, „Polska jest krajem półperyferyjnym". Oznacza to, że w jakimś sensie jesteśmy zależni od „krajów centrum" (w tym przypadku są to kraje zachodnie, skąd pochodzi kapitał zagraniczny). Czy tego chcemy, czy nie, konfitury – mówiąc językiem prof. Witolda Orłowskiego – i tak będą dla zagranicy. Chodzi o to, żeby część tych konfitur była dla nas. Bo, jak stwierdza Bendyk, „kraj peryferyjny jakieś korzyści też ma". Chodzi o ich maksymalizację.

A propozycje prof. Andrzeja Karpińskiego są warte przemyśleń. Autor wraz z zespołem proponuje, by zbudować COP 2 kosztem ograniczenia zakresu realizacji CPK. Ograniczenie to polegałoby na finalnym przeznaczeniu CPK tylko do transportu towarowego/wojskowego. Dla potrzeb pasażerskich należy rozbudować port lotniczy w Modlinie. Propozycja ta jest zgodna z opiniami wielu ekspertów.

Kolejna propozycja również wiąże się z zagospodarowaniem przestrzennym kraju i dotyczy lokalizacji centrów badawczych przemysłu. Najbardziej właściwe lokalizacje to Rzeszów i Wrocław. Śląsk odegrał swoją rolę w czasach rozbudowy przemysłu ciężkiego. To już przeżytek.

Potrzeba nam pieniędzy

Skąd wziąć środki na realizację wyżej zarysowanej polityki przemysłowej, zwłaszcza jeśli stoi przed nami konieczność zwiększenia

FOT. HUBERT HARDY/REPORTER, PAP/JANUSZ UKLEJEWSKI

eprasa.pl 233aac792f

wydatków zbrojeniowych? Oprócz nadziei na wsparcie przez kapitał zagraniczny niezbędne jest racjonalne gospodarowanie posiadanymi zasobami finansowymi; są też pewne rezerwy. Poprzednia ekipa rządząca zasłynęła tym, że miała dość niefrasobliwe podejście do wydawania pieniędzy. Pierwotne, nagłośnione na początku rządów hasło „wystarczy nie kraść" nie znalazło zbyt wielu entuzjastów.

finansowo część społeczeństwa powinna być chroniona. Ale nie ma uzasadnienia obdarzanie takim przywilejem wszystkich. Mądre naświetlenie tego problemu w szerokiej przestrzeni publicznej powinno dać w efekcie aprobatę społeczeństwa.

Wiele z przedstawionych wyżej propozycji musi być finansowanych przez budżet państwa, który niestety nie jest z gumy. Trzeba także ostrożnie podchodzić do zwiększania

W 1989 r. udział przemysłów wysokiej techniki w gospodarce wynosił 6%, a w 2019 r. obniżył się do 5,1%.

Powszechnie krytykowane były decyzje świadczące o megalomanii partyjnej lub osobistej ludzi z kręgu władzy. Fuzja Orlenu z Lotosem, wydatki na spółkę CPK (bez efektów), przekop Mierzei Wiślanej (wątpliwa przydatność gospodarcza i straty dla środowiska przyrodniczego, co zostało nagłośnione na kongresie klimatycznym), lotnisko w Radomiu (kosztowna modernizacja nie zwiększyła frekwencji pasażerskiej), wybory kopertowe, elektrownia w Ostrołęce, zerwanie kontraktu na caracale – to tylko przykłady.

Jeżeli chodzi o rezerwy, to należałoby zrobić przegląd przydatności dla państwa i społeczeństwa wielu funkcjonujących obecnie instytucji finansowanych ze środków publicznych oraz zastanowić się nad rozmiarami ich finansowania. Przykładowo zdziwienie, a nawet oburzenie może wywoływać fakt, że budżet IPN na 2025 r. jest przeszło czterokrotnie wyższy niż Polskiej Akademii Nauk. Fakty te świadczą, że również obecny rząd preferuje „politykę historyczną", zamiast przyszłość kraju opierać na nauce.

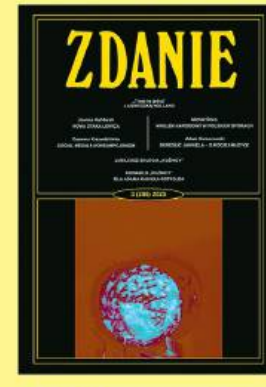
Należałoby też przyjrzeć się skali wydatków socjalnych – 13. i 14. emerytura, 800+ to w sumie 30 mld zł. Nie chodzi o likwidację tych świadczeń, ale o zastosowanie kryterium dochodowego. Poprzednie rządy miały w tym zakresie zbyt szeroki gest. Chodziło o jak najszersze pozyskanie głosów wyborczych. Każda ekipa sprawująca władzę ma ten sam problem. Oczywiście najsłabsza

długu publicznego – ze względu na koszty jego obsługi. Obecnemu rządowi należy rekomendować zajęcie się rewizją systemu podatkowego. Skala podatkowa PIT w aktualnej postaci to czysty neoliberalizm! Wielu ekonomistów z prof. Kołodką na czele zaciekle krytykuje ten kierunek. Praktyka – jak się okazuje – jest w naszym kraju inna. W szerszym zakresie powinny być wprowadzone podatki progresywne. W wielu krajach Europy maksymalne stawki podatku dochodowego to obecnie 50-57%, u nas – tylko 32% (w latach 1994-1996 maksymalna stawka wynosiła 45%). A dlaczego „geniusze zarządzania" zarabiający po kilka milionów złotych rocznie nie mieliby płacić od pewnego progu 90% podatku? W latach 1953-1961 najwyższa stopa podatkowa w USA wynosiła 91%, a w Wielkiej Brytanii pod rządami Margaret Thatcher nawet 98%. Aktualnie obowiązujący u nas progres 4% powyżej 1 mln zł to rozwiązanie, które urąga powszechnemu odczuciu sprawiedliwości społecznej. Dane te jasno pokazują, że im wyższe jest wynagrodzenie powyżej 1 mln zł, tym niższy procentowo staje się podatek od dochodów osobistych. Może to budzić uzasadniony sprzeciw, a nawet poczucie upokorzenia u tych członków naszej społeczności, którzy, wykonując odpowiedzialną i trudną pracę, zarabiają 5-6 tys. zł miesięcznie. A przecież to olbrzymia rzesza głosujących. Mimo to obecny rząd hołubił w dalszym ciągu milionerów, których jest garstka. Między innymi z tego powodu dostał czerwoną kartkę w wyborach prezydenckich. Milionerzy na ogół są tak wysoko na drabinie społecznej dlatego, że nie odpowiadają za zdrowie i życie innych; jedynym ich zmartwieniem jest troska o swoje apanaże, powinni więc podzielić się zarobkami z innymi członkami społeczności.

Mądre, rozważne i odważne (!) działania rządu i prezydenta powinny prowadzić nas przez te trudne, coraz mniej przewidywalne lata, które są przed nami.

Należy przywrócić powagę i znaczenie słowu patriotyzm. Elity sterujące nawą państwową powinny kierować się w działaniach właściwie rozumianym patriotyzmem. Działania te powinny być wolne od interesów osobistych i partyjnych.

Dr Andrzej Jakubowicz jest doktorem nauk ekonomicznych SGH, członkiem Rady Naukowej Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego

Ukazał się nowy numer
Zdania (3/2025)


9 zł
Troje na jedną
z Agnieszką Holland
„Jestem po stronie tych, których się krzywdzi"
W wersji elektronicznej dostępny
na sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 233aac792f

Burza nad polskim rynkiem mieszkaniowym

Kryzys mieszkaniowy stał się okazją do niekontrolowanej działalności firm eksmiterskich

Maciej Ostrowski

Reklamy podsuwają wizję świata, w którym nie ma miejsca na starość, niepowodzenie czy zmartwienia. Polska polityka mieszkaniowa to bardziej wytwór sprzedawców marzeń niż przemyślany plan mający zapewnić przeciętnie zarabiającym ludziom bezpieczny dach nad głową. Bilbordy firm deweloperskich reklamują szczęście na kredyt, zielone osiedla i sąsiedzkie arkadie w samym środku miejskiego zgiełku.

Tymczasem niejednego Polaka od bezdomności dzielą dwa miesiące zalegania z czynszem. Oszczędności zgromadzone przez wielu ludzi pracujących na pełnym etacie nie wystarczyłyby nawet na zakup pralki. Większość rodaków uświadamia sobie, że codzienne balansowanie na linie może się skończyć upadkiem, a problemy ze spłatą czynszu pozbawią ich podmiotowości. Policja przestaje odpowiadać na wezwania dotyczące najścia, a dobytek życia – spakowany jak odpady w worki na śmieci – ląduje za oknem lub progiem mieszkania.

Rozbój na telefon

Taka sytuacja zresztą się zdarzyła. Gdańsk-Żabianka, ulica Gospody. To dzielnica bloków mieszkalnych usytuowana między Gdańskiem a Sopotem. W lutym ub.r. w pewien piątek późnym wieczorem niepełnosprawna, starsza kobieta zastaje przed drzwiami swojego mieszkania dwóch postawnych mężczyzn. Osiłkom z działającej w całym kraju firmy Biuro Bezpieczeństwa Nieruchomości towarzyszą dwie kobiety przedstawiające się jako nowe lokatorki. Utrzymują, że wynajęły mieszkanie, bez uprzedniego oglądania nieruchomości, i to wraz z rzeczami osobistymi poprzedniej mieszkanki. Pracownicy BBN pod nieobecność lokatorki rozwiercili zamki i dostali się do lokalu, przekazując jej jedynie pozostającego w nim psa. „Pani już tu nie mieszka, zamki zostały wymienione i pani nie wejdzie już do lokalu", oznajmili 60-latce.

– Jak się okazało, niespodziewane najście to efekt zadawnionego, niewielkiego długu mojego brata, kiedyś formalnego właściciela mieszkania. Moja matka zgodnie z umową miała prawo dożywotniego użytkowania nieruchomości. Zadłużenie wynosiło 6 tys. zł i gdybyśmy o nim wiedzieli, bez trudu pokrylibyśmy tę należność. W tarapatach znaleźliśmy się, gdy ktoś kupił mieszkanie matki na licytacji komorniczej wraz z lokatorką. Nie mamy wiedzy, na jaki procent udzielono bratu tej pożyczki. Nabywca nie próbował się kontaktować z moją matką, nie zgłosił nawet zamiaru kupna mieszkania. Nie interesowała go sytuacja życiowa mamy. Czteropokojowe mieszkanie kupił po bardzo okazyjnej cenie – opowiada Teresa D., córka pokrzywdzonej.

Podstawiony chwilowy „lokator" to jedno z ulubionych zagrań czyścicieli.

Ochroniarze mieli aparycję wartowników wojskowych, a rozmowa z nimi przypominała nakłanianie do opuszczenia posterunku wbrew rozkazom. Kilkakrotnie wzywani funkcjonariusze policji wzruszali ramionami, podkreślając bezsilność wobec zaistniałej sytuacji. Ograniczyli się do poinformowania lokatorki, że powinna udać się do sądu. Policjant z następnego patrolu nawet nie ukrywał niechętnego stosunku do lokatorów. Starsza kobieta poinformowała go, że w mieszkaniu pozostawiła dobytek całego życia, łącznie z lekarstwami i ubraniami. – Jeśli nie ma pani gdzie spać, to proszę iść do najbliższej noclegowni dla bezdomnych – odpowiedział.

Pierwszą noc kobieta spędziła na klatce schodowej własnego bloku u boku córki. Agresorzy złożyli jej ofertę przyjęcia 5 tys. zł w zamian za zrzeczenie się dochodzenia praw do przebywania w mieszkaniu. Nazajutrz jednak propozycję wycofali. Gdańszczanka była załamana perspektywą raptownej bezdomności.

Ale sprawa znalazła nieoczekiwany finał. Tam, gdzie zawiodło prawo, zadziałały proste mechanizmy ekonomii. Człowiek, który na licytacji komorniczej nabył nieruchomość starszej kobiety, postanowił zaoszczędzić kilkanaście tysięcy złotych, nie wypłacając czyścicielom umówionego wynagrodzenia. Ci uznali umowę za nieobowiązującą i odstąpili od okupacji lokalu, narzekając na nieodpowiedzialność byłego pracodawcy. „Teraz to wy, dziewczyny, będziecie tego pilnować, tylko od tej pory nikogo już nie wpuszczajcie", powiedział matce z córką jeden z eksmiterów.

Koszmar trwał ponad dobę. Po tym incydencie poszkodowana wezwała ślusarza, by zmienił zamki, przywracając stan posiadania nieruchomości.

eprasa.pl 233aac792f



Wejście na posesję przy ulicy Orląt Lwowskich w Gdańsku opieczętowane przez firmę eXmiter.



Na posesji przy Orląt Lwowskich zablokowano też drzwi garażowe. Pracownicy eXmitera zakleili je pianką budowlaną.

– Obecnie mama żyje na tykającej bombie. Złożyła wniosek o przydział lokalu socjalnego, jednak podanie zostało odrzucone. Mamy związane ręce. Na nic się zdają tłumaczenia, że przecież mieszkanie nie należy już do mojej matki i w każdej chwili może zostać z niego wyrzucona na bruk – zamartwia się Teresa D.

Dialog pięści z nosem

Wszystkie historie przytaczane przez lokatorów bądź interweniujących w ich sprawie aktywistów łączy jedno: kapitulanctwo służb mundurowych, połączone z przesuwaniem przez sprawców granic dozwolonych działań. To stawianie lokatorów przed faktem dokonanym, ustanawianie za każdym razem nowych, korzystnych dla właścicieli interpretacji prawa za pomocą najstarszego argumentu – siły.

– Gdy przyjechałem na gdańską Żabiankę, zastałem pracowników firmy czyścicielskiej w czarnych uniformach i wysokich buta. Nie mieli postury ochroniarzy pracujących w nocnych klubach czy dyskotekach, ale ich ubiór i postawa sugerowały, że specjalizują się w tzw. brudnej robocie. Nie mieli żadnego wcześniejszego związku z mieszkaniem, chyba że na poważnie wziąć uwagę właściciela nieruchomości o nowych lokatorach, którzy zamieszkają tam „od zaraz". Podstawiony chwilowy „lokator" to jedno z ulubionych zagrań czyścicieli – mówi Adam Szczepański, polityk partii Razem.

– Na nic się zdawały nasze tłumaczenia, że patrol nie został wezwany, by rozstrzygać naturę sporu (bo to jest kompetencją sądu), tylko by zainterweniować w sprawie wtargnięcia oraz by zagwarantować lokatorom prawo do korzystania z mieszkania. Nie pozwolili nawet dokumentować najścia oraz policyjnej interwencji, co samo w sobie stanowiło naruszenie prawa – dodaje Szczepański.

Funkcjonariusze policji byli obecni w każdym przypadku, gdy czyściciele z BBN jawnie łamali prawo lokatorskie. Ani razu nie wyprosili ludzi blokujących lokatorom wejście do mieszkania. Przedstawiciele służb mundurowych pokornie przyjmowali wersję pracowników BBN, niemal przepraszając za to, że zgodnie z prawem mieli obowiązek przyjechać na interwencję.

– Policja sugerowała nawet, by gdańszczanka skorzystała z gościny u córki mieszkającej w pobliżu. Jednak wiedziony doświadczeniem zdobytym podczas interwencji lokatorskiej w innej części miasta stanowczo odradzałem kobiecie takie rozwiązanie. Byłem świadkiem, jak człowiek podający się za prywatnego detektywa spakował rzeczy lokatorki do plastikowych worków na śmieci i wystawił za drzwi, obciążając kobietę kosztami sprzątania – wspomina polityk Razem.

„Prywatny detektyw" śledził poszkodowaną przez kilka tygodni. Pod nieobecność lokatorki włamał się do mieszkania. Aktywistom broniącym praw lokatorów przedstawił się jako „Miś Yogi". W przeciwieństwie do bohatera kreskówki nie był jednak przyjacielski. Jego działania nie miały też wiele wspólnego z warsztatem pracy detektywa, którego zadanie polega w głównej mierze na ustaleniu stanu faktycznego, a nie na zastraszaniu czy niszczeniu dobytku. „Miś" nie pokazał nawet licencji detektywistycznej. Lokatorce próbującej odzyskać dokumenty oraz

FOT. Z.Z.

eprasa.pl 233aac792f

swoje przerażone zwierzęta domowe zamknięte w mieszkaniu spryskał twarz gazem pieprzowym.

– Niestety, tego typu metody, chociaż nielegalne, są bardzo skuteczne. O większości przypadków dzikich eksmisji dowiadujemy się już po fakcie. W przeciwieństwie do oficjalnie działających komorników sądowych ludzie z eXmitera i podobnych firm nie działają z wyprzedzeniem, na podstawie dokumentów potwierdzających stan faktyczny i w ramach procedur przewidzianych prawnie. Nie są skrępowani praworządnością i nie zostawiają miejsca na negocjacje. Jedyną motywacją jest tu zapłata za wykonane zlecenie – tłumaczy Adam Szczepański.

We wszystkich opisanych przypadkach koniec najść nie zamknął sprawy konfrontacji z firmami eksmitującymi. Lokatorzy utrzymują stały kontakt z prawnikami i organizacjami lokatorskimi, w każdej chwili spodziewając się kolejnej odsłony dramatu. W województwie pomorskim systematycznie nękani byli np. mieszkańcy jednej z posesji na gdańskich Łostowicach. Jeszcze we wrześniu br. eXmiter groził lokatorom ponownym „zabezpieczeniem" domu. Powodem sporu jest w tym wypadku sprawa spadkowa. Spadkobiercy właściciela nie chcą się zdać na rozstrzygnięcie sądowe.

Republika kartonowa

Działalność firm eksmiterskich to część zaplecza polskiego rynku mieszkaniowego. Bez tej brutalnej branży rozregulowany i podatny na procesy spekulacyjne polski rynek mieszkaniowy nie funkcjonowałby.

– Władze państwowe wypierają problem, w ogóle nie klasyfikując „biznesu" firm eksmitujących jako działalności przestępczej, niebezpiecznej dla obywateli. Sprawy czyścicieli są coraz bardziej medialne i nie brakuje prób ich nagłośnienia. Jednak bez poważnego potraktowania problem przybierze na sile. Trzeba uświadomić funkcjonariuszy policji, że mają do czynienia nie ze „sporem cywilnym", tylko z zastraszaniem pojedynczego człowieka przez zbirów wynajętych przez majętnych mocodawców. Przedstawiciel władz państwowych lub samorządowych musiałby zebrać funkcjonariuszy na szkoleniu z ustawy o prawach lokatorów. Bez sygnału z samej góry ani policjanci, ani prokuratorzy nie będą chcieli się zajmować takimi „błahostkami" jak wtargnięcia – zwraca uwagę Szczepański.

– Żyjemy w dość schizofrenicznej rzeczywistości – dodaje. – Realną władzę polityczną ma ten, kto ma kapitał. Prawo stanowią ludzie, którzy rozporządzają wieloma nieruchomościami na wynajem, a nie ci zmuszeni wynajmować mieszkanie od kogoś. Polska Ustawa o ochronie praw lokatorów to przykład dobrego prawa zabezpieczającego interesy najemców. Co z tego, skoro praktyka działania administracji i policji jest przyjazna ludziom, którzy mają pieniądze i władzę i którym lepiej nie wchodzić w drogę?

Policjant na służbie pragnie przede wszystkim spokoju. W policji od lat są olbrzymie wakaty. Funkcjonariusze narzekają, że muszą odpowiadać na wezwania dotyczące naruszenia miru domowego, podczas gdy brakuje patroli do interwencji w sprawach ciężkich pobić, wypadków czy napadów nożowników. Sytuacje, gdy na patrol trzeba czekać trzy godziny, nie należą do odosobnionych. Obywatel domagający się podjęcia działania jest zatem wrogiem sfrustrowanego i zmęczonego policjanta.

Zdaniem prawnika Łukasza Bińkowskiego, który w działalności społecznej i zawodowej zajmował się sprawami lokatorskimi, opieszałość policji może wynikać z oportunizmu organów państwa oraz opacznego rozumienia regulacji prawnych: – Społeczny odbiór prawa własności jest taki, że to właściciel ma pełnię praw, a lokator zamieszkuje nieruchomość dzięki dobroci właściciela. To obraz daleki od faktów, ale funkcjonariusze egzekwujący prawo też przecież są tylko ludźmi kierującymi się stereotypami.

Polski sen

– Firmy eksmitujące często chcą sprawiać wrażenie, że reprezentują organy państwa, władzę publiczną czy służby porządkowe. Niektóre podmioty, jak np. eXmiter jako Windykator.online, widnieją w Krajowym Rejestrze Sądowym i działają legalnie na podstawie przepisów o prowadzeniu działalności gospodarczej. Formalnie zajmują się obrotem nieruchomościami oraz windykacją należności czy działalnością detektywistyczną (ustalaniem danych osób zadłużonych i tworzeniem list takich osób). Ale działania mające zniechęcić lokatorów do dalszego zamieszkiwania nieruchomości to już szara strefa prowadząca nieraz do działań przestępczych – podkreśla prawnik.

Firmy czyścicielskie tak jak inne podmioty muszą aktywnie pozyskiwać klientów. Stylizacja na służby państwowe jest więc związana z pozyskiwaniem mocodawców, podobnie jak roztaczanie wizji swojej skuteczności. Jednak zdaniem prawnika czyściciele uderzają nie tylko w lokatorów, naruszając ich prawa i brutalizując rynek najmu, ale też w samych właścicieli nieruchomości, którzy mogą ponieść odpowiedzialność karną w związku z działaniami niezgodnymi z Kodeksem karnym. W świetle prawa eksmisje może przeprowadzać sąd i komornik.

Klientów tymczasem nie brakuje. W ostatnich latach coraz więcej osób ma wolny kapitał. Osoby fizyczne nieprowadzące wcześniej zawodowej działalności związanej z rynkiem nieruchomości coraz częściej chcą w niego inwestować oszczędności i czerpać z niego dochody. Lobbyści utrzymują, że rynek ten pozwala na czerpanie praktycznie nieograniczonych zysków. I właśnie tacy inwestorzy są najczęstszymi klientami czyścicieli. Duże podmioty mogą

Firmy eksmitujące często chcą sprawiać wrażenie, że reprezentują władzę publiczną czy służby porządkowe.

eprasa.pl 233aac792f

sobie pozwolić na dłuższy okres windykacji czy dłuższy proces sądowy. Jest to wkalkulowane w ryzyko prowadzenia działalności gospodarczej. Osoby prywatne nie chcą lub nie mogą sobie pozwolić na straty, podejmują zatem drastyczne działania.

– Obok zapotrzebowania społecznego do popularyzacji usług czyścicieli przyczyniła się pandemia COVID-19 oraz towarzyszący jej zakaz przeprowadzania eksmisji komorniczych.Uzasadniała go nadzwyczajna sytuacja zdrowotna i gospodarcza. Jednak niszę szybko zapełnił dziki rynek. Właściciele zaczęli poszukiwać wszelkich możliwości odzyskania pieniędzy i nieruchomości. Kolejnym powodem jest powszechne nabywanie lokali wraz z lokatorami na licytacjach komorniczych. Nabywcy chcą wówczas jak najszybciej pozbyć się lokatorów, niepotrzebnych z punktu widzenia działalności flipperskiej, po to, by sprzedać nieruchomość po atrakcyjnej cenie – wyjaśnia Bińkowski.

Przemoc nie lubi świadków

W mediach społecznościowych na profilach firm eksmisyjnych panuje klimat linczu. Komentujący wręcz zachęcają eksmiterów do stosowania metod na granicy prawa. W ich przekonaniu czyściciele walczą z „patologią".

– Przemoc regulowana w Kodeksie karnym nie polega jedynie na stosowaniu siły fizycznej. To także uporczywe nękanie, nachodzenie danej osoby, zmuszanie do podejmowania określonych działań czy wreszcie nielegalne eksmisje. Stwierdzenie, że firmy eksmitujące nie stosują przemocy, to klasyczny automarketing – mówi prawnik.

Polskie przepisy zawierają narzędzia pozwalające na szybkie ukrócenie działalności czyścicieli. Problem w tym, że prawo niejednokrotnie jest martwe, a pobłażliwy stosunek policjantów do eksmiterów ułatwia te zawody w przeciąganiu liny. Im bardziej eksmiterzy utwierdzają się w przekonaniu, że od strony prawnej nic im nie grozi, tym brutalniejsze metody stosują.

– Zgodnie z prawem policja powinna wylegitymować sprawców najścia i poinformować ich, że wszystkie działania windykacyjne muszą podjąć na drodze sądowej, a następnie spisać protokół i poinformować natrętów, że za nielegalne kontynuowanie takich działań zostaną pociągnięci do odpowiedzialności karnej. Jeśli doszło już do przestępstwa, funkcjonariusze powinni podjąć czynności prowadzące do wszczęcia postępowania przygotowawczego mającego na celu postawienie zarzutów (np. gróźb karalnych czy uporczywego nękania). Lokator ma pełne prawo żądać od policjanta ochrony. Ma również prawo dalej bezpiecznie zamieszkiwać lokal. Właściciel, wynajmując lokal, zrzeka się części swoich uprawnień dotyczących własności. Unaocznia to zderzenie prawa własności z prawami lokatora. Lokator ma więc pełne prawo do obrony koniecznej, łącznie z zastosowaniem siły do przywrócenia utraconego prawa posiadania. Zakres takiej samoobrony określają przepisy Kodeksu cywilnego i przepisy karne – tłumaczy Bińkowski.

> W świetle prawa eksmisje może przeprowadzać sąd i komornik.

W przypadku konfrontacji z eksmiterami najważniejsze są determinacja i stawianie policjantom konkretnych wymagań, by wymóc na nich podjęcie czynności służbowych. Trzeba odwoływać się do przełożonych mundurowych, ich odpowiedzialności karnej i dyscyplinarnej jako funkcjonariuszy publicznych. Zalecane jest legitymowanie pracowników służb, robienie im zdjęć, żądanie spisania protokołów, składanie wniosków do protokołów, kierowanie oficjalnych pism do przełożonych funkcjonariuszy w związku z niepodjęciem działań. Poszkodowani mają też prawo do nagrywania ingerencji, która stanowi działanie publiczne.

Zdaniem Łukasza Bińkowskiego, by prawo nie było bezzębne, potrzebna jest interakcja między organizacjami lokatorskimi a politykami odwołującymi się do idei rozwijania budownictwa komunalnego, w celu wywierania presji na samorządy i funkcjonariuszy policji.

– Niestety, wykonanie takiego planu to twardy orzech do zgryzienia – przyznaje Adam Szczepański. – Politycy, którzy dostrzegają problem, muszą zdobyć większość, aby mieć warunki do działania.

Maciej Ostrowski



eprasa.pl 233aac792f

Tu był bastion polskości

Rozmowy prof. Janusza Zawodnego z generałami Tadeuszem Borem-Komorowskim i Władysławem Andersem

Prof. Janusz Zawodny – politolog i historyk, profesor amerykańskich uniwersytetów, powstaniec, badacz zbrodni katyńskiej, aresztowany przez Niemców w 1944 r., pozostał na Zachodzie. Przeprowadził cykl rozmów dotyczących powstania warszawskiego. Są one zdeponowane w Archiwum Akt Nowych i wydrukowane w wydanych przez „Przegląd" dwóch tomach „Zakłamanej historii powstania".



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Gen. TADEUSZ BÓR-KOMOROWSKI

– generał dywizji, dowódca Armii Krajowej, pseudonimy: „Bór", „Lawina", „Znicz"

Panie generale, jakie było założenie powstania warszawskiego?

– To było kontynuowanie „Burzy". Z liczeniem na to, że Rosjanie pod wpływem impetu i strat z konieczności zajmą Warszawę.

Na jakich podstawach gen. Monter oparł swój meldunek, że natarcie Rosjan na Warszawę jest faktem? (...)

– Ja się wypytywałem o podstawy meldunku. Monter mi powiedział, że miał te informacje „od wysuniętych patroli, które były na przedpolu". Monter meldował zgodnie z sytuacją. Niech pan spojrzy na „Sowiecką Historię Wojny". Natarcie na Warszawę wyszło.

Czy gen. Monter rzeczowo, a raczej pesymistycznie, czy optymistycznie przedstawiał gotowość materiałową oddziałów AK do akcji?

– Proszę pana, ja Montera nie będę dezawuował. O to najłatwiej. On oceny dawał rzeczowo, ale niech pan zważy na rozdział broni między oddziały i taktykę natarcia na umocnione obiekty i punkty, to inna historia. Co było ciężkim punktem oporu dla naszych oddziałów, to było łatwym celem dla jednego działa przeciwpancernego, jeżeli Rosja by weszła.

Czy były robione na pana naciski, aby akcja w Warszawie zaczęła się wcześniej? Jeśli tak, to przez kogo?

– Naciski i presje były. Przez niektórych członków Sztabu AK. Rzepecki i Okulicki, szczególnie Okulicki był za tym. Jednak ja nie miałem [generał podkreśla tonem głosu i powtarza], ja nie miałem wystarczających dowodów natarcia na Warszawę. Dopiero natarcie sowieckie na Warszawę było momentem do wydania rozkazu na akcję wewnątrz miasta. Tylko koordynacja z zewnątrz z natarciem wewnątrz mogły zapewnić zwycięstwo. Proszę pana, były ciągle wysiłki zapewnienia tej koordynacji bojowej. Jednak wszystkie radiostacje i dowódcy AK na Wschodzie byli poaresztowani przez Sowietów. Poza tym rząd w Londynie politycznie czynił, co powinien i mógł.

Panie generale, dlaczego gen. Sosnkowski, wiedząc o sytuacji w Londynie i w Warszawie, nie wracał do Londynu z Włoch mimo żądania prezydenta?

– On wyjechał, aby tu nie być [w Londynie], o tym ciężko mówić. Jego stosunki z Mikołajczykiem i kwestia powstania miały z tym związek. To, że wyjechał, to jest

eprasa.pl 233aac792f

bajka. W porównaniu z tym, że nie wrócił, jak prezydent zażądał. To jest problem. Sosnkowski powinien przewidzieć, że walka o Warszawę przerodzi się w powstanie. No i jak – dopiero po 8-10 dniach Rosjanie właściwie zadecydowali los powstania.

Czy Rettinger miał jakiś wpływ na sztab AK lub na decyzję o powstaniu?

– Nic podobnego, żadnego wpływu na decyzję o powstaniu nie miał. Nawet mowy na ten temat z nim nie było. Myśmy mówili o sytuacji politycznej wewnętrznej w kraju, ale nigdy o powstaniu.

Dlaczego pan generał nie zdecydował o wcześniejszej kapitulacji?

– Czekałem na lepsze okoliczności. Bezwarunkowo się poddać – to nie. Ja liczyłem, że Rosjanie zajmą Warszawę, od chwili kiedy oni podjęli ofensywę na Pragę. No, a później ich stanowisko się uwypukliło.

Powstanie było jednym z największych wysiłków społeczeństwa na przestrzeni wielu lat.

Czy pan generał wiedział i kiedy dokładnie dowiedział się o tym, że alianci w Teheranie już oddali ziemie wschodnie Związkowi Sowieckiemu. To był listopad 1943 r.?

– Ja się dowiedziałem o tym już po powstaniu, w obozie jeńców. Instrukcje Naczelnego Wodza dawały jakieś oddźwięki, ale bez szczegółów. Z chwilą wybuchu w Warszawie, stanowczo stwierdzam, nie wiedziałem, że już się alianci zgodzili na oddanie naszych ziem. O tym, że Rosja się ich domaga – tak, o tym, że już im to obiecano – nie.

Gdyby pan wiedział, że alianci już oddali ziemie wschodnie Związkowi Sowieckiemu i że alianci nie udzielą efektywnej pomocy walczącej Warszawie, zdecydowałby się pan skrócić walkę w Warszawie?

– „Burzę" bym kontynuował tak długo, jak Niemcy byli na naszych ziemiach, inaczej komuniści by nas posądzali o współpracę z Niemcami. Nie, walki bym nie skrócił nawet w Warszawie – bo myśmy nie byli przez Niemców uznani jako żołnierze przez długi czas – i byłaby rzeź.

Jak pan ocenia powstanie warszawskie z perspektywy 21 lat?

– Moim zdaniem, czy rezultat powstania był dla sprawy polskiej pożyteczny czy też szkodliwy, jeszcze za wcześnie to oceniać. To przyszłe pokolenia ocenią. Nawet jeśli jest przegrana – to taki wysiłek moralny i fizyczny zostaje w pamięci społeczeństwa. Z tego wynikają siły i wartości kulturalne i moralne, których bierne społeczeństwo nie mogłoby z siebie wykrzesać. Jak dalece walki AK w kraju wpłynęły na kształtowanie ducha i pozytywnych wartości narodu polskiego, tego my nie możemy ocenić w tej chwili. To jest moje, proszę pana, osobiste zdanie.

Jaki krytycyzm zabolał pana generała najbardziej?

– Tych ludzi, którzy w czasie okupacji byli w kraju i którzy powinni wiedzieć o ówczesnych warunkach i sytuacji, a przekręcają istotę rzeczy. Bo to, że komuniści pyszczą, albo zagranica, to ja rozumiem. [Tu generał zadumał się przez kilka minut. Widać było, że to, co chce powiedzieć, sprawia mu ból]. Zarzut Sosnkowskiego, zarzut nielojalności wobec Naczelnego Wodza i działanie wbrew rozkazom Naczelnego Wodza. To bardzo bolesne. Jemu to chluby nie przyniesie, a zaciemnia obraz. Wie pan, co mnie także bardzo bolało, to ci, co przyjmowali naszych żołnierzy AK jako podpalaczy Warszawy, nawet na Zachodzie.

Na Zachodzie? Czy może pan generał sprecyzować ten termin?

– Mam na myśli wypadki w dywizji pancernej oraz w II Korpusie.

Panie generale, jakie braki dotyczące historii powstania warszawskiego są najbardziej dotkliwe i co do tej pory nie było należycie opracowane przez historyków?

– Materiały sowieckie oraz niemieckie powinny być więcej użyte i cytowane. Dokładne opracowanie tematu: „Jaki był cel powstania", jest bardzo wskazane. Szczególnie sprostowanie złośliwych tendencji. Widzi pan, nie przegryziono różnicy między powstaniem warszawskim a powstaniem powszechnym. Powstanie było jednym z największych wysiłków społeczeństwa na przestrzeni wielu lat i miało wpływ na formowanie wartości ideowych. Ten aspekt wkładu powinien być także opracowany.

Pan generał pozwoli na moją prywatną opinię, patrząc na historię Warszawy na przestrzeni wieków: to bardzo bohaterskie miasto, z własną tradycją rozwiązywania problemów. Czy uhonorowano to miasto w jakiś sposób?

– Warszawa miała już nadane Virtuti Militari V klasy za 1939 r. Nie ma precedensu nadawania innych klas miastom. Ja osobiście odmówiłem przyjęcia Virtuti Militari II klasy już po wojnie.

Bardzo dziękuję panu generałowi za wywiad.

– Służę panu chętnie wszelkimi informacjami, kiedy one panu będą potrzebne.

Londyn, 17 maja 1963 r.

Gen. WŁADYSŁAW ANDERS

– generał dywizji, dowódca II Korpusu we Włoszech

– Mój punkt widzenia na Sosnkowskiego: Pobóg-Malinowski napisał o tym, jak to było, kiedy Sosnkowski przyjechał przed bitwą o Ankonę. Ja się z Pobogiem nie zgadzam. Pobóg pisze, że Sosnkowski przyjechał, „aby podnieść mnie i II Korpus na duchu". To jest nieprawda. W czasie wielokrotnych rozmów wyszło na jaw, że coś się w Polsce szykuje. Na pewno wiedzieli o tym Wiśniowski, Tokarzewski, Szyszko-Bohusz. Moim zadaniem było wpłynięcie na Sosnkowskiego, aby wydał rozkaz wstrzymujący „Burzę", bo ta akcja może przerodzić się w powstanie. Naciskałem na niego, aby powstania nie było. Sosnkowski twierdził, że to rząd miał

eprasa.pl 233aac792f

wydawać zarządzenia. Jednak Bór usłuchałby zdania Sosnkowskiego.

Ja wiem, dlaczego Sosnkowski wyjechał z Londynu. Dziwiłem się, że powstanie wybuchło, a on nie wracał do Londynu. Raczkiewicz miał do końca życia żal do Sosnkowskiego, że on w tym momencie nie powrócił do Londynu. Tłumaczenie Sosnkowskiego jest niewłaściwe. Ja go żegnałem w Rzymie, już po wybuchu powstania w Warszawie. On, zamiast do Londynu, pojechał widzieć się z Wilsonem. W raportach do prezydenta Raczkiewicza nie mówił o tym, że widział się z Wilsonem, ani też mnie o tym nie powiedział. Nawet wówczas, gdy był dymisjonowany, też nie wspominał o tym. Moim zdaniem, przeniesienie II Korpusu do Polski było niemożliwością bez uprzedniej zgody Churchilla. Sosnkowski nie namawiał mnie do buntu, ale wiedział, że ja byłem przeciwny układom z Bierutem i innymi polskimi zdrajcami ze Związku Patriotów. On chciał wycofać za druty II Korpus. Ja tego nie mogłem tolerować.

Jestem na kolanach przed Warszawą. Ale to było nieszczęście.

Czy powstanie było w dobrym momencie?

– Co do czasu wybranego na wybuch powstania, zaczyna się je wtedy, kiedy Rosja wydaje bitwę.

Co pan myśli o gen Okulickim?

– Okulicki występował tak ostro przeciwko Sowietom, że zmuszony byłem zdjąć go z czynności szefa sztabu w Rosji, bo bałem się o niego. Wysłałem go więc do Teheranu, by go ocalić. Po powstaniu wysłałem mu rozkaz: „Nie ujawniać się". Wtedy moralnie odetchnąłem, bo przecież pełniłem obowiązki Naczelnego Wodza i ja byłem odpowiedzialny za jego osobę. Okulickiego energia roznosiła po prostu. Jednak nie wszystkie jego decyzje były przemyślane.

Wracając do Sosnkowskiego. [On] nie dowierzał Rosji. Znał już skutki „Burzy" na wschodzie Polski, jednak nie powziął decyzji, brak mu było doświadczenia żołnierskiego. Kiedy doniosłem mu o Monte Cassino, to powiedział: „Panu się biały pióropusz śni". Przyjechał do Włoch, aby „podtrzymać mnie na duchu". Ja mam milion wad, ale na duchu nikt mnie nie potrzebował podtrzymywać. Wyjazd jego z Londynu był powodowany chęcią uniknięcia odpowiedzialności za powstanie. Pobóg pisze na ten temat, że to ja zaprosiłem Sosnkowskiego do Włoch. Tak, ale dlatego, że to on mnie poprosił o takie zaproszenie.

O powstaniu jako akcji politycznej: wojskowo powstanie nie miało znaczenia. Niemcy już przegrywali wojnę. Ja sugerowałem Sosnkowskiemu, aby przesuwać oddziały AK na zachód, aby ratować młodych, patriotycznych ludzi, aby nie oddawać ich na pastwę bolszewików. Trzeba też było porozumieć się z aliantami naprzód przed powstaniem. Taka akcja jak powstanie warszawskie, powinna była być omówiona najpierw.

Brygada Spadochronowa: „Głupstwo". Połowa ludzi w Brygadzie Spadochronowej to byli moi ludzie z Rosji.

Teheran: Ja dowiedziałem się o tym dopiero po wypowiedzi Churchilla.

Pańska opinia o Rettingerze?

– Rettinger? Był on bardzo związany z Anglikami, robił angielską robotę. Ja nie mam dowodów nielojalności w stosunku do mnie.

Pański „ciężki krzyż" vis-à-vis Sikorski i Sosnkowski?

– Ich tendencje: obydwaj chcieli rozparcelowania wojska. Ja uważałem przeciw. Że najmniejszą jednostką powinien być korpus, a i oni i Anglicy chcieli parcelować wojsko.

Panie generale, tak trudno zbierać materiały o powstaniu w Londynie!

– Prawda powinna być w pańskiej książce. Jestem na kolanach przed Warszawą. Ale to było nieszczęście. Ja wiedziałem, że tylko świństwo można oszukiwać. Nie spodziewałem się, że alianci będą aż tak dalece bez wpływu, ani też, że Niemcy będą do tego stopnia barbarzyńscy.

Co powinno być w książce prof. Zawodnego?

– To był kulminacyjny punkt powstania, „Tu był bastion polskości, cały świat musiał widzieć naszą wolę. To było przed Jałtą".

Londyn, 17 maja 1965 r.



eprasa.pl 233aac792f

Paweł Dybicz

Bitwa o bitwę pod Gruszką

„Nie będzie asysty honorowej Wojska Polskiego w czasie uroczystości rocznicy bitwy pod Gruszką. Armia wzięła pod uwagę opinię Instytutu Pamięci Narodowej, który wskazał, że w tym miejscu gloryfikuje się sowieckich dywersantów", doniosła „Rzeczpospolita". Bitwa pod Gruszką (29-30 września 1944 r.) była jedną z największych bitew partyzanckich. Liczące ok. 1,5 tys. osób oddziały składające się głównie z żołnierzy Armii Ludowej i radzieckich partyzantów wyrwały się z niemieckiego okrążenia, przy stratach wynoszących 50 zabitych i 70 rannych.

Płk Marek Jedynak, wiceprezes Związku Weteranów i Rezerwistów Wojska Polskiego, zwrócił się do dowódcy Garnizonu Kielce z wnioskiem o skierowanie wojskowej asysty honorowej do udziału w uroczystości 81. rocznicy bitwy. A wojsko zwróciło się do IPN. Ten wydał opinię, jakiej można było się spodziewać. Sprawa upamiętnienia tej bitwy nabrała wydźwięku politycznego.

W tekście „Rzeczpospolitej" policję historyczną reprezentuje dr Maciej Korkuć, naczelnik Oddziałowego Biura Upamiętniania Walki i Męczeństwa IPN w Krakowie. Tak, tak, ten sam, gloryfikator Kurasia „Ognia". To jemu dwóch synów żołnierzy AK spod Tatr zarzuca w liście do prezesa IPN manipulacje i selektywne, delikatnie mówiąc, wykorzystywanie materiałów źródłowych w opisie tego „wyklętego".

Posługując się logiką i terminologią IPN, zapytam: skoro premier Morawiecki mógł złożyć kwiaty na grobach członków Brygady Świętokrzyskiej, chociaż ci kolaborowali z hitlerowcami, dlaczego np. wicemarszałek Sejmu nie może złożyć hołdu walczącym pod Gruszką, którzy… kolaborowali z Sowietami?

Ale już na poważnie – przecież Armia Czerwona i jej partyzanci byli sojusznikami Ameryki i Wielkiej Brytanii, które nie tylko utrzymywały stosunki z rządami Sikorskiego i Mikołajczyka, ale też w niemałym stopniu zapewniały im byt.

W dość pokrętnym uzasadnieniu braku wojskowej asysty IPN-owcy powołują się na to, że w uroczystościach brali udział przedstawiciele państwa rosyjskiego, którzy mają co nieco na sumieniu. Ale nawet jeżeli to prawda, od kilku lat ich nie ma – od kiedy głównym organizatorem uroczystości rocznicowych jest Związek Weteranów i Rezerwistów WP.

Poległym pod Gruszką w walce z Niemcami należy się nasz hołd, bez względu na to, czy bitwa ta była należycie dowodzona i czy dawniej Moczar wykorzystywał ją w celach propagandowych.

Lewica nie może ulegać IPN-owskiej narracji, oddawać walkowerem walki o pamięć. I dlatego wszędzie musi dawać świadectwo tej pamięci – o ludziach, którzy walczyli z hitlerowcami. O tych, którzy mieli Polskę w sercu, a broń w ręku. Bo dzięki ich udziałowi w zwycięstwie nad Niemcami Polska istnieje w dzisiejszym kształcie. Nie tylko terytorialnym. ■

LISTY



Zatrzymać ludobójstwo w Palestynie

Oglądałam transmisję posiedzenia Zgromadzenia Ogólnego ONZ i właśnie tego zabrakło – ostatnim pytaniem Państwa Palestyny było odniesienie się Izraela do utworzenia niezależnego państwa palestyńskiego, ale reprezentanci Izraela nie odpowiedzieli na nie. (...) W mediach pojawiają się wypowiedzi, że Palestynie wielokrotnie proponowano utworzenie państwa, ale raz po raz były odmowy i Palestyna tego nie chce. Tym bardziej warto przedstawiać publicznie fakty i odnosić się do takich wypowiedzi. Celem, prócz jak najszybszego pokoju, jest oczywiście pilna pomoc humanitarna (...).

Brakuje mi wypowiedzi w ogólnodostępnych mediach pracowników organizacji humanitarnych (…) na temat konkretnych problemów (…). Nie wypowiadają się w mediach, za to IDF się wypowiada, że to ONZ ich powstrzymuje i Hamas strzela do transportów z pomocą. Z kolei w planach USA widzimy, że odblokowanie dystrybucji pomocy jest negocjowane jako część procesu pokojowego (...), wstrzymanie dystrybucji jest taktyką wojenną, co jest po prostu karygodne (...). Jakie ONZ ma możliwości, które jeszcze nie zostały użyte? Pojawiają się pojedyncze wypowiedzi, że mogą zostać zastosowane większe środki (…) – pytanie, dlaczego tak się nie dzieje. (…) Lekarze bez Granic oświadczyli, że wychodzą teraz z części Gazy, bo są nieustanne bombardowania, i zgłaszali, że przez to nie mają jak zaopiekować się pacjentami. Tragedia pogłębia się z dnia na dzień i nikt tam nie dociera, by pomóc.

Anna Czajkowska

Izrael eksterminuje Palestyńczyków

Społeczeństwa różnych krajów zaczynają protestować przeciwko ludobójstwu w Gazie. Równocześnie władze tych krajów są silnie związane z polityką imperialną USA, które popierają Izrael. Państwo amerykańskie zostało zbudowane na miejscu wymordowanych lokalnych ludów. To, co robi Izrael, mieści się w amerykańskiej kulturze eksterminacji. Dlatego USA popierają działania Izraela. Politycy europejscy widzą sprzeczność między postawami własnych społeczeństw a wymogiem związków politycznych z USA. W tej sytuacji decydują się na akt pozorny, jakim jest uznanie niepodległości Palestyny. Dzieje się to w czasie, gdy Izrael nie tylko likwiduje Gazę, ale także zajmuje inne enklawy zamieszkane przez Palestyńczyków.

Realnym przeciwstawieniem się działaniom Izraela byłoby wprowadzenie sankcji na wzór tych stosowanych wobec Rosji czy Iranu. Ale realnych działań nie będzie i kultura eksterminacji zwycięży. Palestyńczycy skończą jak Indianie w Ameryce. Ciekawe, czy powstaną filmy gloryfikujące eksterminację, jak to pokazują amerykańskie westerny.

Wiesław Żółtkowski

eprasa.pl 233aac792f

To nie samoobrona, to eksterminacja

Hiszpania zaostrza stanowisko wobec Izraela: ogłasza embargo na broń i zwiększa pomoc humanitarną

Tomasz Skowronek

Rząd Hiszpanii zapowiedział zastosowanie aż dziewięciu środków nacisku na Izrael w związku z ludobójstwem w Strefie Gazy. Premier Pedro Sánchez wezwał także społeczność międzynarodową do wykluczenia Izraela z udziału w imprezach sportowych.

Sankcje obejmą nie tylko embargo na izraelską broń, w tym anulowanie już zawartych kontraktów wojskowych z izraelskimi firmami, ale również zakaz wjazdu do Hiszpanii osób, które bezpośrednio brały udział w tym, co Sánchez nazwał ludobójstwem. Przedstawiciel hiszpańskiego rządu po raz pierwszy otwarcie użył słowa ludobójstwo w odniesieniu do działań Izraela w Strefie Gazy, choć – jak wspomniał – tak te zbrodnie opisują specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. okupowanych terytoriów palestyńskich Francesca Albanese i większość ekspertów.



Sankcje odpowiedzią na eksterminację w Gazie

Dekret dotyczący pakietu sankcji został ostatecznie zatwierdzony przez hiszpański rząd 9 września i wykluczył izraelskie firmy z przetargów publicznych. Embargo obejmuje: zakaz eksportu oraz importu broni, tranzytu paliwa oraz importu produktów i usług z terytoriów okupowanych.

Madryt bada obecnie sposoby na uniezależnienie hiszpańskiego przemysłu zbrojeniowego od izraelskich technologii. Dziennik „La Vanguardia" poinformował, że urzędnicy wraz z głównymi hiszpańskimi producentami uzbrojenia szykują plan zastąpienia izraelskich systemów objętych embargiem.

Jak powiedział szef hiszpańskiego rządu, oprócz wprowadzenia zakazu międzylądowań w hiszpańskich portach lotniczych zamknięta zostanie przestrzeń powietrzna dla samolotów przewożących „sprzęt wojskowy przeznaczony dla Izraela". Pozostałe sankcje obejmują wspomniany już zakaz wjazdu do Hiszpanii osób uczestniczących w ludobójstwie, wykluczenie produktów pochodzących „z nielegalnych osiedli w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu" oraz ograniczenie usług konsularnych dla hiszpańskich mieszkańców tych osiedli.

Madryt zwiększy też pomoc humanitarną: dodatkowe 10 mln euro trafi do Agencji Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie (UNRWA), a całkowity budżet dla Strefy Gazy wzrośnie w 2026 r. do 150 mln euro. „Naród żydowski doświadczył niezliczonych prześladowań, zasługuje na państwo i bezpieczeństwo. Ale co innego chronić swój kraj, a co innego bombardować szpitale i głodzić niewinne dzieci", powiedział Sánchez, podkreślając, że jego kraj od samego początku potępiał ataki Hamasu. W ostatnich miesiącach Hiszpania wzywała także inne kraje europejskie do wstrzymania dostaw broni do Izraela.

78% Hiszpanów za uznaniem Palestyny

Hiszpania uchodzi za najbardziej propalestyński głos w Europie. Według badania przeprowadzonego w maju 2024 r. przez Królewski Instytut Elcano 78% populacji jest zdania, że kraje europejskie powinny uznać suwerenne państwo palestyńskie. Inne, wcześniejsze badania, również wskazują propalestyński trend. Badanie Pew Research Center z maja 2023 r. pokazało, że spośród kilku objętych nim krajów to Hiszpania najsilniej popiera Palestynę. Tylko 12% obywateli otwarcie opowiedziało się za Izraelem, podczas gdy 31% – za Palestyną. Nawet po ataku Hamasu z 7 października 2023 r. 31% Hiszpanów popierało Palestyńczyków, Izrael zaś 23%.

W hiszpańskich miastach w wielu miejscach można zobaczyć graffiti nawołujące do ratowania Gazy i powstrzymania ludobójstwa. W kraju cały czas są organizowane wiece

eprasa.pl 233aac792f



Podczas Vuelta a España dochodziło do licznych demonstracji propalestyńskich. Protesty wywoływał udział grupy kolarskiej Israel-Premier Tech. Nz. blokowanie trasy 15. etapu, 7 września 2025 r.

i protesty wyrażające solidarność z Palestyną.

Ta solidarność była też widoczna w trakcie ostatniego etapu Vuelta a España – legendarnego wyścigu kolarskiego, zaliczanego razem z Tour de France i Giro d'Italia do wielkich tourów. Zawody od samego początku stały się areną propalestyńskich protestów, które wymusiły modyfikację kilku etapów, a nawet doprowadziły do wypadków wśród uczestników.

w centrum miasta. Na madryckiej Gran Vía, którą kolarze mieli przejeżdżać kilka razy w ramach kryterium ulicznego, demonstranci przewrócili barierki i wkroczyli na jezdnię. Niektórzy skandowali: „Bojkot Izraela!", a powietrzu unosił się zielony i czerwony dym. Według delegata rządu w Madrycie Francisca Martína podczas demonstracji aresztowano co najmniej dwie osoby, a 22 policjantów zgłosiło obrażenia.

Podczas propalestyńskich demonstracji w Madrycie aresztowano co najmniej dwie osoby, a 22 policjantów zgłosiło obrażenia.

Demonstracje trwały niemal codziennie – punkt kulminacyjny osiągnęły w czasie ostatniego, 21. etapu Vuelty – wyścig został trwale przerwany 56 km przed metą, gdy protestujący wtargnęli na trasę. Kolarze zostali zmuszeni do zejścia z rowerów, a kilka minut później kierownictwo wyścigu ogłosiło ostateczne odwołanie tego etapu.

Jednak po oficjalnym odwołaniu wyścigu jeszcze ok. 100 tys. demonstrantów kontynuowało protesty w Madrycie i starło się z policją

Premier Sánchez oświadczył „jasno i stanowczo", że ani Rosja, ani Izrael w żadnych międzynarodowych rozgrywkach nie powinny uczestniczyć, dopóki nie ustaną ich barbarzyńskie działania. Powiedział to w Kongresie Deputowanych, na spotkaniu socjalistycznych grup parlamentarnych, tuż po zawieszeniu ostatniego etapu Vuelta a España. Pedro Sánchez uważa, że jego zdanie podziela zdecydowana większość obywateli, niezależnie od tego, jak głosują: „To nie ma znaczenia, bo opowiadają się za zdrowym rozsądkiem, opowiadają się za obroną praw człowieka i prawa międzynarodowego, które jest podważane przez Rosję i Izrael". Dodał, że debata na temat wydarzeń, jakie miały miejsce podczas Vuelta a España, powinna się odbyć w każdym zakątku świata, co zresztą – jak zauważył – już się dzieje. Premier podkreślił, że Izrael nie powinien wykorzystywać żadnej platformy międzynarodowej do „wybielania swojej obecności".

Izrael oskarża Sáncheza

Izrael oskarżył premiera Hiszpanii o podburzanie do protestów. W poście na platformie X minister spraw zagranicznych Gideon Sa'ar napisał, że Pedro Sánchez przyczynił się do „podżegania propalestyńskiego tłumu", który zebrał się w Madrycie, aby zaprotestować przeciw udziałowi zespołu Israel-Premier Tech w najważniejszym wyścigu kolarskim w Hiszpanii. „Wydarzenie sportowe, które zawsze było powodem do dumy dla Hiszpanii, zostało odwołane", ubolewał Sa'ar, nazywając Sáncheza i jego rząd „hańbą dla kraju", a samego premiera antysemitą.

Minister spraw zagranicznych Izraela przypomniał również opinii publicznej, że Sánchez podjął działania mające na celu mobilizację demonstrantów kilka dni po tym, jak publicznie „ubolewał, że nie ma bomby atomowej, która mogłaby powstrzymać Izrael". Sa'ar najwyraźniej nawiązywał do przemówienia z 8 września, w którym Sánchez podkreślił mało znaczącą pozycję Hiszpanii na arenie międzynarodowej. Premier wspomniał wtedy, że „nie ma bomb atomowych, lotniskowców ani dużych rezerw ropy naftowej", w związku z czym jego kraj „nie może powstrzymać izraelskiej ofensywy".

FOT. SIPA/ EAST NEWS

eprasa.pl 233aac792f

Od Franco po Arafata

Zaangażowanie Hiszpanii w sprawy Palestyny wpisuje się w jej tradycję dyplomatyczną. Na taką postawę wpłynęło kilka czynników: osobiste relacje gen. Franco z afrykańskimi i arabskimi dowódcami wojskowymi w okresie francusko-hiszpańskiego protektoratu w Maroku (1912-1956), nostalgia w niektórych kręgach arabskich za Al-Andalus – częścią Półwyspu Iberyjskiego znajdującą się pod rządami islamskimi w latach 711-1492 – oraz niechęć frankistów do Wielkiej Brytanii i Francji, szczególnie żywa w Afryce i na Bliskim Wschodzie.

Hiszpania uznała Izrael dopiero w 1986 r., po przystąpieniu do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (EWG) – jako ostatnia w Europie. W okresie zaś, gdy Izrael pozostawał nieuznawany, rząd hiszpański nawiązał bliskie relacje z Organizacją Wyzwolenia Palestyny (OWP). Hiszpania zatwierdziła otwarcie przedstawicielstwa OWP w Madrycie w 1979 r. i gościła Jasira Arafata.

Po klęsce państw Osi (Niemiec, Włoch i Japonii) w II wojnie światowej Hiszpania została odizolowana dyplomatycznie – spotykała się z wrogością ze strony Wielkiej Brytanii i Francji, była wykluczona z ONZ i NATO. Do tej pierwszej organizacji dołączyła w grudniu 1955 r., do drugiej dopiero w maju 1982 r. Reżim gen. Franco, poszukując alternatywnych sojuszy, wzmacniał więzi z Ameryką Łacińską i światem arabskim, zwłaszcza z monarchiami Jordanii, Arabii Saudyjskiej i Egiptu. Monarchie arabskie zapewniały Hiszpanii niezbędne zasoby (ropę naftową, żywność) i wspierały jej wniosek o członkostwo w ONZ. Odgrywały również rolę pośredników, pomagając w rehabilitacji Hiszpanii w oczach USA i zakończeniu jej izolacji na arenie międzynarodowej. Król Jordanii Abdullah I stał się we wrześniu 1949 r. pierwszym przywódcą państwowym, który odwiedził Hiszpanię od czasu zakończenia wojny domowej.

> Według izraelskiego ministra spraw zagranicznych Gideona Sa'ara premier Sánchez przyczynił się do „podżegania propalestyńskiego tłumu".

Gniew Izraela

Za obecnym wsparciem Palestyny przez rząd w Madrycie stać może też inny czynnik. Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza (PSOE) premiera Pedra Sáncheza jest wspierana przez formację Sumar, zrzeszającą Zjednoczoną Lewicę (Izquierda Unida) – w tym Hiszpańską Partię Komunistyczną – oraz różne postępowe partie regionalne. Jej frakcja większościowa w parlamencie obejmuje również partię Podemos (rządzącą w latach 2020-2023, zanim odłączyła się od Sumar) oraz baskijskie i katalońskie partie separatystyczne. Wszystkie te ugrupowania na różne sposoby i na różnych poziomach wspierają palestyński opór przeciwko Izraelowi i wszelkie walki o dekolonizację.

Wicepremier Yolanda Díaz Pérez z Sumar także wyraziła radość z powodu ogromnej liczby demonstrantów wypełniających hiszpańskie ulice. „Społeczeństwo hiszpańskie nie toleruje normalizacji ludobójstwa w Strefie Gazy w kontekście wydarzeń sportowych i kulturalnych – napisała w poście na Bluesky. – Izrael nie może uczestniczyć w żadnym wydarzeniu".

Z kolei Sira Rego, sprawująca z ramienia tej samej partii urząd ministra ds. dzieci i młodzieży, z powodu działań wojskowych w Strefie Gazy nazwała Izrael państwem ludobójczym i wezwała Unię Europejską do zerwania wszelkich powiązań z Izraelem oraz nałożenia sankcji.

„Zgodnie z oczekiwaniami", jak komentował wszystkie te posunięcia konserwatywny portal El Español, Sánchez ściągnął na siebie gniew izraelskiego rządu. Tel Awiw szybko zareagował na słowa premiera o ludobójstwie w Strefie Gazy, nazywając hiszpańskiego przywódcę skorumpowanym i antysemitą, po czym zakazał wjazdu do Izraela dwóm wspomnianym ministerkom, Yolandzie Díaz i Sirze Rego – z których ta druga ma palestyńskiego ojca. Obydwie członkinie lewicowego ruchu Sumar wzywają do zaostrzenia sankcji wobec rządu Beniamina Netanjahu – dodaje madrycki portal.

Hiszpania za rządów Pedra Sáncheza to bez wątpienia najbardziej propalestyński głos w Europie. W czasach, gdy skrajna prawica (często sympatyzująca z Izraelem) zyskuje w Europie coraz większe wpływy, obrona sprawy palestyńskiej może być dla Sáncheza szansą na wyróżnienie się na geopolitycznej szachownicy.

Tomasz Skowronek

KSIĄŻKI



Piotr Zychowicz
Izrael na wojnie
100 lat konfliktu z Palestyńczykami
Rebis, Poznań 2024

W odwecie za atak terrorystyczny Hamasu 7 października 2023 r. Izrael utopił Strefę Gazy we krwi. Pod gruzami zginęło ponad 40 tys. ludzi. Dlaczego doszło do tej rzezi? Jaka jest geneza konfliktu między Izraelem a Palestyńczykami? Autor odpowiedzi szuka u źródeł syjonizmu. Pisze o pierwszych żydowskich osadnikach w Palestynie, o powstaniu Izraela i czystce etnicznej dokonanej na ludności arabskiej w 1948 r., o wojnie sześciodniowej w 1967 r., ekstremistycznych żydowskich osadnikach i palestyńskich zamachowcach samobójcach, o dwóch intifadach, „murze apartheidu" i zbrodniach okupacji. Wstrząsająca opowieść o jednym z najdłuższych i najkrwawszych konfliktów naszej epoki. *(es)*

eprasa.pl 233aac792f



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Szymon z wozu, Polsce lżej

Nie płakałem po papieżu, nie będę po Hołowni. Melodramatyczne okoliczności odchodzenia marszałka Sejmu z polityki nie są jakąś porywającą historią. Odchodzi z polityki ktoś, kto się do niej nie nadawał. W tym dramatopodobnym happeningu porusza jedynie tupet, który każe Szymonowi Hołowni po paśmie porażek politycznych plus kilku co najmniej kompromitacjach i z zerowym bilansem osiągnięć ubiegać się o stanowisko wysokiego komisarza ONZ ds. uchodźców. Jeszcze w marcu br. Hołownia głosował za przyjęciem ustawy ograniczającej prawo do azylu. W ocenie organizacji broniących praw człowieka (niekoniunkturalnie) ustawa ta jest niezgodna z konstytucją i prawem międzynarodowym, ale co tam, szczególarstwo…

W maju razem z większością sejmową Hołownia głosował za przedłużeniem rozporządzeń w tej sprawie. Od 10 lat polskie państwo nie zdaje egzaminu nie tylko z człowieczeństwa w kwestii sytuacji na granicy z Białorusią, ale też z przestrzegania prawa międzynarodowego, jego fundamentalnych standardów, a Hołownia jest jedną z twarzy tego procederu. Mówiąc najkrócej, nie wystarczy tzw. charytatywne zaangażowanie w organizację pomagającą dzieciom z Afryki, co robił w swoich fundacjach przed wejściem do polityki (albo może brutalniej – tak przygotowując sobie wejście do polityki), nie wystarczą zdjęcia z czarnymi dzieciakami i pluszakami. Czas próby nadszedł, kiedy sympatyczny, niespecjalnie wyróżniający się (oprócz katolickiego fundamentalizmu) prezenter komercyjnej telewizji wszedł do polityki w niejasnym projekcie politycznym. Niejasnym, bo do dziś nie wiemy, jaka grupa realnie go wspierająca pozwoliła człowiekowi znikąd (no wiem, wiem, z telewizji i dwukrotnie od dominikanów) wprowadzić kilkadziesiąt osób do parlamentu. Właściwie cała droga polityczna Szymona Hołowni jest wypełnieniem motta Lecha Wałęsy z najlepszych czasów: „Jestem za, a nawet przeciw". Nie wiadomo, czy w ostatnich czasach marszałek współtworzył jeszcze koalicję rządową, czy raczej przeciwnie.

Dzisiaj gorąco dziękuje za wsparcie w zabiegach o zagraniczną, globalną synekurę: „Ta funkcja nie była jeszcze pełniona przez Polaka i dziękuję prezydentowi Karolowi Nawrockiemu, premierowi Donaldowi Tuskowi i szefowi MSZ Radosławowi Sikorskiemu za to, że tak bardzo w ostatnich dniach zaangażowali się w tę sprawę, uruchamiając osobiste kontakty i całą naszą dyplomatyczną maszynę".

Doprawdy, posiadanie polskiego obywatelstwa i tożsamości prawdziwego Polaka to nie są żadne kompetencje, można nawet zaryzykować tezę, oceniając stanowisko rządowe i wyniki badania opinii publicznej, że w tej konkretnej sprawie jest dokładnie na odwrót. Jeśli idzie np. o izraelskie ludobójstwo dokonywane na Palestyńczykach, to Hołownia pobudził się tylko wtedy, kiedy Siły Obronne Izraela zamordowały polskiego wolontariusza.

W czasie, kiedy mimo wszystko oglądamy jakiś rodzaj przebudzenia i działania organizacji międzynarodowych wracających do respektowania zasad uniwersalistycznych, polski zmarginalizowany polityk usiłuje się podczepić pod tę energię ze swoją zaściankową, konserwatywną, koniunkturalną postawą.

Trzeba mieć nadzieję, że te informacje dotrą do władz ONZ i nie zostaną przypudrowane za sprawą osobistych kontaktów i wpływów polskich konserwatywnych polityków. Czasy dla uchodźców w skali globalnej idą bardzo trudne i nie są to czasy dla showmanów gotowych odegrać każdą dobrze płatną rolę. Potrzeba kogoś, kto realnie podejmie wyzwanie i zaangażuje się dla dobra tysięcy, milionów zmuszanych do ucieczki ze swojego miejsca na Ziemi.

Przekonanie, że nadaje się na to stanowisko, Hołownia wyrażał tak: „Nie trzeba nikomu tłumaczyć, jak ważne byłoby dodanie do tego ogromnego wyzwania polskiej i szerzej – wschodniej i północnoeuropejskiej perspektywy". Oj, trzeba, trzeba, szczególnie jeśli w realnych decyzjach politycznych zajmowało się stanowisko biegunowo przeciwne. „U podstaw istnienia UNHCR jest ochrona prawna uchodźców, a jej podstawowym narzędziem jest właśnie dostęp do procedur azylowych" – to główne zadanie agencji. Jej podstawowym dokumentem jest konwencja genewska. „UNHCR promuje podstawowe prawa człowieka oraz dba o to, aby nie odsyłano osób narażonych na prześladowania w ich krajach pochodzenia. UNHCR stara się zapewnić osobom starającym się o azyl dostęp do bezpiecznego terytorium oraz sprawiedliwych i skutecznych procedur azylowych. UNHCR stara się zapewnić akceptowalne i zgodne z międzynarodowymi standardami warunki recepcyjne, w tym zakwaterowanie i opiekę zdrowotną, dla nowo przybyłych" (OKO.press).

Można zatem w skrócie powiedzieć, że Szymon Hołownia tak się nadaje do funkcji wysokiego komisarza ds. uchodźców jak Andrzej Duda do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Za chwilę Hołownia będzie miał swój program w Kanale Zero, gdzie będzie bronił prawa do pushbackowania uchodźców na polsko-białoruskiej granicy – bo „wojna hybrydowa".

Tu nie ideał sięga bruku, tu konformizm i rozbuchane ego zderzają się z prawdziwymi dramatami ludzkimi. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 233aac792f

TAKI ZASZCZYT BY MI NIE ODPOWIADAŁ

Tajemnice Nagrody Nobla



Medal noblowski.

Jarosław Molenda

Kiedy przyznawana jest Nagroda Nobla, nigdy nie ogłasza się „krótkiej listy" najlepszych kandydatów. Decyzja jest ostateczna. Mimo popełnienia rażącego błędu lub pominięcia żadna nagroda nie została nigdy cofnięta, a werdykt nie został zmieniony, choć od czasu do czasu na światło dzienne wychodzą kulisy sporów wewnątrz Komitetów. Takie zasady budują autorytet Nagrody Nobla i jej ostateczność.

Ci, których uhonorowano, są na zawsze Wybranymi. Z jednej strony tak właśnie powinno być. Nigdy nie powinno się zaglądać za kulisy żadnego dobrego teatru. Jeśli już trzeba przyznawać nagrody za naukę i sztukę, co bywa dyskusyjne, powinny one pochodzić z góry. Fundacja Nobla zawsze potrafiła budować swój autorytet. Niewidzialność maszynerii potęguje majestat. Ta maszyneria jest tak skromna, że decyzje wydają się niemal pochodzić nie ze Sztokholmu, ale z ponadczasowego Królestwa Obiektywnego Osądu.

Fundacja Nobla kultywuje bardzo zdyscyplinowaną anonimowość, chociaż wybór laureatów to proces, w który zaangażowane są setki nominujących i oceniających z całego świata. (…) Do przecieków dochodzi niezwykle rzadko i najczęściej zdarzają się w tej wysoce niestabilnej kategorii zwanej, z niezamierzoną ironią, pokojową.

Komitet Noblowski rzadko wyróżnia znanych i często obecnych w mediach badaczy, takich jak wynalazca pigułki antykoncepcyjnej Carl Djerassi czy Patrick Steptoe, który doprowadził do narodzin Louise Brown – pierwszego dziecka urodzonego w wyniku zapłodnienia metodą in vitro. W 1978 r. nie było chyba wydarzenia, które by bardziej poruszyło opinię publiczną. Krążą plotki, że z tego samego powodu Nagrody Nobla nie otrzymali jeszcze geniusz biotechnologii John Craig Venter, były szef firmy Celera Genomics, oraz Szkot Ian Wilmut z Roslin Institute w Edynburgu, który wspólnie z Keithem Campbellem wpadł na rewolucyjny pomysł klonowania ssaków i w lipcu 1996 r. doprowadził do narodzin owcy Dolly.

„Kontrowersje dotyczące Nagród Nobla w dziedzinach nauk przyrodniczych – twierdzi Marcin Różycki – nie są tak częste jak w przypadku Nagrody Literackiej czy Pokojowej z uwagi na powszechne przekonanie, że rozwój nauki jest dobrodziejstwem ludzkości samym w sobie. Dopiero gdy nauka wkracza na nowe »tereny«, wymuszając odrzucenie często dogmatycznych przekonań ludzi, […] wystawia się na publiczną chłostę. Tego rodzaju sytuacja towarzyszyła rewolucyjnym badaniom nad przeprowadzeniem pierwszego zapłodnienia metodą in vitro oraz upowszechnieniem tej metody jako objawowego leczenia niepłodności. Ludźmi, którzy jako pierwsi doprowadzili do udanego poczęcia i narodzin dziecka tą właśnie metodą, byli Robert G. Edwards i Patrick Steptoe.

Żadna nagroda nie została nigdy cofnięta, a werdykt nie został zmieniony.

[…] W oficjalnym komunikacie prasowym dotyczącym przyznania Nagrody Nobla Edwardsowi czytamy: »Mimo że już wczesne badania były obiecujące, Rada Badań Medycznych postanowiła wstrzymać finansowanie kontynuacji tego projektu. Jednakże badania te kontynuowane były dzięki prywatnej donacji. Wzbudziły one żywą debatę etyczną, którą zresztą zainicjował sam Edwards. Kilku przywódców religijnych, etyków i naukowców żądało zaprzestania prac nad dalszymi badaniami, podczas gdy inni udzielali im poparcia«".

Edwards był porównywany do Frankensteina; nazywano go też nazistowskim doktorem. Było to w dużej mierze efektem powszechnego tabu towarzyszącego różnym kwestiom związanym z seksualnością człowieka. Mimo że narodziny pierwszego w pełni zdrowego dziecka urodzonego poprzez cięcie cesarskie po normalnie przebiegającej ciąży dokonały się już w 1978 r., Edwards został wyróżniony Nagrodą Nobla dopiero w roku 2010. Dr Patrick Steptoe, niestety, nie doczekał tej chwili.

eprasa.pl 233aac792f

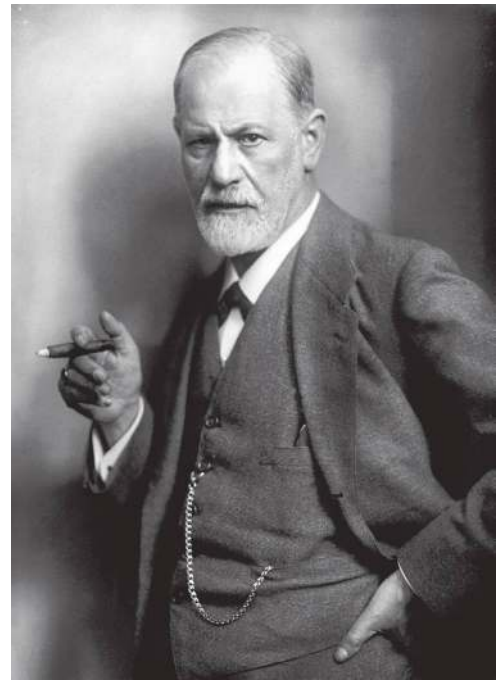
Mało kto nie słyszał o Sigmundzie Freudzie, a jednak nie otrzymał on żadnej z dwóch przyznanych Nagród Nobla w psychiatrii. Freud! Tymczasem nauka powinna oznaczać dążenie do poznania we wszystkich możliwych dziedzinach. Komitet Noblowski nie traktuje jednak wszystkich obszarów danej dziedziny jednakowo. Przykładem może być właśnie psychiatria, która w praktyce staje przed zamkniętymi drzwiami do Nagrody Nobla. A przecież koncepcje Sigmunda Freuda należą do kluczowych modeli poznawczych.

Był nominowany kilkakrotnie, choć podobno sam Freud twierdził: „Taki zaszczyt by mi nie odpowiadał". Jednak w 1936 r., kiedy skończył 80 lat, Romain Rolland i Thomas Mann, wówczas obaj nobliści w dziedzinie literatury, starali się wzbudzić zainteresowanie nim Sztokholmu. Einstein został poproszony o nominowanie Freuda do Nobla w dziedzinie medycyny, ale odmówił, twierdząc, że nie uważał psychologii za odpowiednią do tej nagrody.

„Jest zbyt pewne – konstatował Freud – że nie dostanę żadnej Nagrody Nobla. Psychoanaliza ma kilku dobrych wrogów wśród autorytetów, od których zależy przyznanie nagrody, i nikt nie może oczekiwać ode mnie, że będę się trzymał, dopóki nie zmienią swoich poglądów lub nie wyginą. Dlatego też, chociaż pieniądze byłyby mile widziane po tym, jak naziści wykrwawili mnie w Wiedniu i z powodu ubóstwa mojego syna i zięcia, Anna i ja zgodziliśmy się, że zrezygnuję z Nagrody, a ona z podróży do Sztokholmu, aby ją odebrać".

Freud w tym samym liście podał inny powód, dla którego po Hitlerze nigdy nie zostanie uhonorowany przez Szwedów. Wątpił bowiem, aby oficjalne kręgi zdobyły się na tak prowokacyjny werdykt. Freud zapomniał, a może wolał zapomnieć, że Fundacja Nobla otwarcie sprowokowała nazistów zaledwie kilka lat wcześniej i znacznie poważniej, przyznając Pokojową Nagrodę Nobla w 1935 r. niemieckiemu dziennikarzowi Carlowi von Ossietzky'emu.

Prof. Julius Wagner-Jauregg, laureat Nobla w 1927 r., choć był uznawany za przyjaciela Freuda, w autobiografii wydanej po śmierci zarzucił mu, że to Jean-Martin Charcot, francuski psychiatra z połowy XIX w., tak naprawdę stworzył psychoanalizę, a Freud wyłącznie podniósł jego idee. Charcot był znany z tego, że zyskał wielką sławę, wywołując napady histerii poprzez hipnozę. Podobno Wagner-Jauregg powiedział też, że psychoanaliza Freuda nie zasługuje na Nobla w dziedzinie medycyny, lecz w dziedzinie literatury.



„Jest zbyt pewne – konstatował Freud – że nie dostanę żadnej Nagrody Nobla".

Historyk Robert Kohler zauważa, że „medycy biochemicy byli nagradzani za odkrywanie nowych witamin lub hormonów, a nie za rozwiązywanie dużych problemów biologicznych". Jednak badania nad witaminami i hormonami nie mogły nie wywołać większych problemów. Witaminy zostały odkryte w 1890 r. przez holenderskiego lekarza Christiaana Eijkmana, a częściowo potwierdzone przez brytyjskiego fizjologa Fredericka Hopkinsa. Nagrody Nobla w tym przypadku stają się nieco splątane. To Hopkinsowi niesłusznie przypisano główną zasługę za wyjaśnienie odkrycia Eijkmana. W 1912 r. uogólnił wskazówki Eijkmana i innych w teorię „dodatkowych czynników żywieniowych", których potrzebuje organizm, ale nie potrafił zidentyfikować substancji, o którą chodziło.

Jednak również w 1912 r. polski biolog Kazimierz Funk odkrył i wyodrębnił pierwszą witaminę B_1. Funk jest twórcą samego terminu „witamina". I chociaż Eijkman i Hopkins nie udowodnili tak naprawdę zasady działania witamin, a główne odkrycia Hopkinsa leżały w tym, co nazywał „metabolizmem pośrednim", Hopkins i Eijkman otrzymali nagrodę w dziedzinie medycyny w 1929 r. Kazimierz Funk oczywiście nigdy nie został laureatem Nobla.

W 1913 r. Nagrodę Nobla otrzymał Belg Charles Richet z Francji za odkrycie anafilaksji: pierwsza dawka szczepionki może uratować, ale druga dawka może wstrząsnąć organizmem i spowodować jego śmierć. Odkrycie Richeta w pewnym sensie zapoczątkowało badania nad alergiami, termin ten ukuto w 1906 r., a anafilaksja pozostaje aktualna – reakcje alergiczne stanowią problem w powszechnym stosowaniu antybiotyków. Słynny test Wassermanna na kiłę jest oparty na teście Richeta, ale otwarte uznanie tego było nie do pomyślenia, gdyż Wassermann był Niemcem, a od zakończenia I wojny światowej minęło zbyt mało czasu.

W 1952 r. Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny przyznano Selmanowi Waksmanowi za odkrycie streptomycyny. Był to drugi słynny antybiotyk po penicylinie, szczególnie skuteczny w walce z gruźlicą. W wykładzie noblowskim oraz w kilku książkach i artykułach Waksman zawsze przedstawiał się jako jej jedyny odkrywca. Jednak fakty, odzyskane z archiwów przez prof. Miltona Wainwrighta z wydziału biologii molekularnej na Uniwersytecie w Sheffield w Anglii, pokazują, że Waksman nie był odkrywcą, prawdopodobnie nawet nie był współodkrywcą. Ten zaszczyt przypadł dawnemu doktorantowi Waksmana, Albertowi Schatzowi.

FOT. DOMENA PUBLICZNA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 233aac792f

Ani Fundacja Nobla, ani Waksman nie wspomnieli o Schatzu… W reakcji na to pominięcie prezydent ówczesnej uczelni Schatza (National Agricultural College w Doylestown w Pensylwanii) poskarżył się Komitetowi Noblowskiemu. Ich odpowiedź brzmiała następująco: „Bardzo żałujemy, że część informacji zawartych w pańskim liście nie była dostępna dla członków wydziału, ponieważ nie została opublikowana w żadnym czasopiśmie naukowym. Może pana zainteresować fakt, że wielu amerykańskich kolegów… zasugerowało nazwisko dr. Waksmana, chociaż żaden z nich nie zaproponował doktora Schatza".

Na słynnym zdjęciu nr 51, zrobionym przez Franklin, widać kształt helisy. Franklin ukrywa to zdjęcie, opóźniając tym samym badania w Londynie. Zmarła na raka w 1958 r., co uwolniło Komitet od bardzo dużego kłopotu, jakim jest ograniczenie do maksymalnej liczby trzech laureatów.

Jak wiadomo, Nagrody Nobla nigdy nie są przyznawane pośmiertnie. Rozmowy na temat życia i dzieła Rosalind Franklin często krążą wokół tej jednej kwestii, której rozstrzygnięcie jest niemożliwe: czy gdyby nie zmarła na nowotwór jajników w wieku 37 lat, otrzymałaby w 1962 r. Nagrodę Nobla wspólnie z Jamesem Watsonem i Francisem Crickiem?

Do przecieków dochodzi niezwykle rzadko, a zdarzają się niestabilnej kategorii zwanej pokojową.

Komitet jak zwykle umył ręce i zastosował taktykę chowania głowy w piasek. A tymczasem już w 1950 r., dwa lata przed przyznaniem Waksmanowi Nagrody Nobla, „New York Times" opublikował artykuły o pozwie Schatza przeciwko Waksmanowi, a następnie artykuł o wygranej Schatza w procesie – ze szczegółami dotyczącymi ugody pieniężnej. To, że kolejny raz Komitet Noblowski był nieświadomym instrumentem, nie przysparza chwały ani jemu, ani jego nominującym. Znowu zwyciężył konserwatyzm, głupie zasady i układy.

Chyba najsławniejszą i najbardziej nagłośnioną w mediach Nagrodą Nobla było wyróżnienie w dziedzinie fizjologii lub medycyny przyznane w 1962 r. Francisowi Crickowi, Jamesowi Watsonowi i Maurice'owi Wilkinsowi „za odkrycia dotyczące molekularnej struktury kwasów nukleinowych i ich znaczenia dla przekazywania informacji w żywym materiale". Lawrence Bragg, kierownik Laboratorium Cavendisha, gdzie pracowało dwóch noblistów, opisał odkrycie w kategorii eksplozji, która na zawsze zmieniła oblicze biochemii.

W Londynie strukturę DNA metodą krystalograficzną badała też stażystka Jocelyn Franklin, której szefem był Wilkins. Niestety, stosunki między nimi nie układały się dobrze.

Zdaniem Rachel Swaby, autorki opracowania „Upór i przekora. 52 kobiety, które odmieniły naukę i świat", trzeba założyć, że prawdopodobnie nie. Taki wniosek wydaje się uzasadniony, ponieważ bez wątpienia jej dokonania traktowano nie całkiem sprawiedliwie. W opinii Jamesa Watsona, autora publikacji „Podwójna helisa", nie można było jej uznać za poważną rywalkę w próbie rozpoznania struktury kwasu dezoksyrybonukleinowego. Ba, Watson opisuje stażystkę w seksistowski sposób. Przedstawia ją jako „Rosy" (choć tej zdrobniałej wersji swojego imienia wprost nie znosiła) i jako kobietę, która „mogłaby się nawet podobać, gdyby wykazała choć niewielkie zainteresowanie kwestią swojego wyglądu".

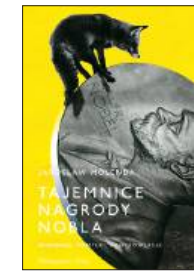
Watson opublikował swoją „Podwójną helisę" w 1968 r. Tytuł sprzedał się w milionie egzemplarzy i został przetłumaczony na prawie 20 języków. Większość wcześniejszych naukowych relacji unikała wszystkiego, co trąciło subiektywizmem. Przemawiał naukowiec, rzadko osoba prywatna. Wspomnienia Watsona były inne: „opowiadał wszystko". Książka przedstawiała osobistości świata nauki, a niektóre, jak Rosalind Franklin, zostały potraktowane karykaturalnie.

Czytając teraz ponownie wspomnienia Watsona, można się zastanawiać, czy emocje, które wzbudziła, były uzasadnione. Na przykład „Nobel Dreams" Gary'ego Taubesa, szczegółowa relacja o tym, jak Carlo Rubbia dostał nagrodę z fizyki, sprawia, że relacja Watsona wydaje się wręcz powściągliwa. Ale w 1968 r. jego książka ewidentnie trafiła w czuły punkt zakazanego tematu. Tak żarliwe pragnienie Nagrody Nobla było po prostu niedopuszczalne.

W połowie ubiegłego wieku polio siało postrach jeszcze większy niż dziś koronawirus. Ludzkość od tego lęku uwolnił Jonas Salk, za co kilkakrotnie umieszczano go na listach stu najwybitniejszych uczonych wszech czasów, a nawet wśród stu najbardziej znaczących postaci ostatniego tysiąclecia. W dodatku swojej szczepionki nie opatentował, oddał ją ludzkości za darmo. „W nagrodę" nie dostał Nobla, przypadł on Johnowi Franklinowi Endersowi za dokonanie odkrycia, że wirus polio namnaża się w tkankach zwierzęcych, co przyczyniło się do stworzenia szczepionki przeciwko chorobie Heinego-Medina.

Pierwszą skuteczną szczepionkę martwą-inaktywowaną, domięśniową zastosowano na dużą skalę w Stanach Zjednoczonych w 1954 r., kiedy to podano ją 1,8 mln dzieci. Szczepionkę opracował zespół pod przewodnictwem Jonasa Salka. Przed wprowadzeniem szczepień w 1952 r., który był najgorszym okresem w historii Stanów Zjednoczonych, odnotowano niemal 58 tys. zachorowań, z czego 3145 osób zmarło, a 21 249 doznało porażeń różnego stopnia. (…)

Jak podkreśla autor opracowania o historii polio, David M. Oshinsky, stale krążyły pogłoski, że Jonas Salk lub Albert Sabin (tak naprawdę Abram Saperstejn, urodzony w Białymstoku) mogą otrzymać Nagrodę Nobla. W przypadku Sabina plotki te pojawiały się przez większość jego życia.



Fragmenty książki Jarosława Molendy *Tajemnice Nagrody Nobla*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2025

eprasa.pl 233aac792f

Glogery 2025

Nagrody dla najwybitniejszych kontynuatorów dzieła Zygmunta Glogera



Laureaci Glogerów 2025: (od lewej) Krzysztof Kuźniewski, Joanna Koźmińska (za dr Katarzynę Waszczyńską), Łukasz Paweł Ruch, Witold Długozima, Krzysztof Skłodowski, który odebrał nagrodę w imieniu Magdaleny Wołowskiej-Rusińskiej, dr Tadeusz Skoczek i prof. Julian Gembalski. Hala Kultury w Łomży, 26 września 2025 r.

W listopadzie br. mija 180. rocznica urodzin, a w sierpniu przypadała 115. rocznica śmierci Zygmunta Glogera – wybitnego historyka, regionalisty, etnografa i folklorysty. W tę podwójną rocznicę kapituła 36. edycji Nagrody im. Zygmunta Glogera postanowiła uhonorować dwóch najwybitniejszych kontynuatorów jego dzieła, którym została przyznana ex aequo nagroda pierwszego stopnia.

Pierwszy laureat to kompozytor, wirtuoz organów i profesor sztuk muzycznych Julian Gembalski, ceniony również jako badacz i projektant wielu instrumentów, czołowa postać polskiej organistyki, zdobywca kilkudziesięciu nagród i odznaczeń, w tym prestiżowych wyróżnień w dziedzinie kultury oraz na konkursach improwizacji organowej w Weimarze.

Drugą równorzędną nagrodę otrzymał dr Tadeusz Skoczek – wydawca, dziennikarz, medioznawca i dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, dzięki któremu zabytkowa zabudowa pałacu Przebendowskich-Radziwiłłów zyskała nowe życie, spełniając dziś wymogi nowoczesnej instytucji muzealnej.

Laureatką trzeciej nagrody została Magdalena Wołowska-Rusińska – autorka publikacji poświęconych roli kobiet w dziejach regionu. Od ponad 20 lat pracuje w Muzeum Okręgowym w Suwałkach, przyczyniając się do popularyzacji wiedzy na temat regionu i związanych z nim kobiet, szczególnie dorobku Marii Konopnickiej.

Wśród wyróżnionych znaleźli się: Łukasz Paweł Ruch – depozytariusz gwary warmińskiej, dr Katarzyna Waszczyńska – zasłużona etnolożka, wykładowczyni Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego, oraz Witold Długozima – twórca i opiekun Teatrzyku Żywego Słowa Logos w Łomży, który od 45 lat z oddaniem kształtuje kolejne pokolenia młodych miłośników poezji, a pod jego kierunkiem wychował się m.in. reżyser i aktor Piotr Domalewski, triumfujący w tym samym czasie na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

Tegorocznej gali, którą tradycyjnie już prowadził prezes stowarzyszenia prof. Ludwik Malinowski, towarzyszyły koncert studia wokalnego eMDeK działającego przy Domu Środowisk Twórczych MDK w Łomży, promocja książki i konferencja naukowa „Śladami Glogera. Regionalizm, ludowość, krajoznawstwo", z udziałem m.in. profesorów Ryszarda Kowalczyka, Tadeusza Aleksandra, Włodzimierza Pessela, dr. Jacka Kurka, a także animatorów kultury, badaczy i autorów artykułów, które zostały zakwalifikowane do druku. Głównym tematem tej pracy zbiorowej jest – zdaniem twórców – „ten, który tropił i dokumentował przeszłość", jak również ci, którzy stali się kontynuatorami jego idei.

Głównym wydawcą tegorocznego tomu poświęconego Glogerowi jako postaci wielowymiarowej jest Stowarzyszenie Stopka, które we współpracy z Instytutem Kultury Regionalnej i Badań Literackich im. Franciszka Karpińskiego realizuje to przedsięwzięcie wydawnicze od 30 lat. Za kształt i jakość tomu odpowiadał prof. Adam Dobroński, historyk i jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej regionalistyki. Projekt okładki oraz scenografię zapewnił malarz i grafik Stanisław Kędzielawski.

Stowarzyszenie Stopka, działające głównie w Łomży i obejmujące zasięgiem również rodzinne strony wielkiego Polaka, odgrywa rolę kustosza jego pamięci. Taka jest też formuła corocznych spotkań glogerowskich – mają charakter wspólnotowy, utrzymany w duchu patrona.

Natalia Jankowska

FOT. TOMASZ SZKLANY

eprasa.pl 233aac792f

Tajemniczy prezes ZUS

Jest oczywiste, że osoba kierująca Zakładem Ubezpieczeń Społecznych ma olbrzymi wpływ na funkcjonowanie tej instytucji. Ale w tym przypadku ważniejsze są zasady, na jakich owa instytucja funkcjonuje.

Po pierwsze, jest patologią, że ci, którzy płacą składki, nie mają żadnego realnego wpływu na kształtowanie władz ZUS. Moim zdaniem obecni i byli płatnicy składek powinni być równymi akcjonariuszami Funduszu Ubezpieczeń Społecznych SA, bo tam są zbierane pieniądze. A FUS powinien mieć ZUS jako spółkę córkę. Na zasadzie Kodeksu spółek handlowych akcjonariusze wybieraliby radę nadzorczą spośród kandydatów spełniających wysokie wymagania określone w regulaminie wyborów.


Zbigniew Derdziuk
tajemniczy prezes ZUS
KOMPETENCJE NIEJASNE, ZADANIA ROZMYTE, POZYCJA NIEPODWAŻALNA

Po drugie, według GUS zobowiązania wobec systemu emerytalnego wynoszą 5 bln zł, a według byłej prezes ZUS „tylko" 3 bln zł. Na tym tle niezwykle denerwujące jest, że w kolejnych budżetach państwowych widnieje pozycja dotacja dla ZUS, a w rzeczywistości jest to spłata niewielkiej części zobowiązań lub części odsetek.

Po trzecie, z powyższego wynika, że premier, który odpowiada za budżet i powołuje prezesa instytucji, która ma największe należności od budżetu, ma największy w Polsce konflikt interesów.

Po czwarte, ZUS jest największą instytucją finansową w Polsce, a wszyscy ubezpieczeni mają indywidualne konta emerytalne. Powstaje więc pytanie, dlaczego pójście na emeryturę zależy od jakiegoś ustawowo określonego wieku emerytalnego, a nie od kwoty zgromadzonej na indywidualnym koncie emerytalnym i od decyzji zainteresowanego. Na przykład ktoś mógłby iść na emeryturę po przepracowaniu jednego miesiąca.

Z tych przykładowych powodów kluczowe znaczenie ma demokratyczny wybór władz FUS i ZUS.

Paweł Zieliński

Gdzie biją serca Polaków i Niemców?

Polaków – nadal w ukryciu i milczeniu, jak Rycerz Giewontu i krzak róży w chocholim przebraniu. Bo przecież nie we wsłuchanych w łatwą i płynącą potokiem ciągle tę samą, natrętną jak giez patriotyczną mantrę (narodowcy, może z drobnymi wyjątkami, wbijają się w dumę najmniejszym kosztem – werbalnym i sztandarowym, w czyny niebogatym). Nie w ludziach o chorobliwej ambicji władzy i małych charakterach, pełnych zawiści i przewrotności, psujących wszystko, do czego się wezmą. Już tylko w resztkach tragicznie dziesiątkowanej postszlacheckiej i chłopskiej inteligencji z jej ofiarnością, godnością i skromnością. Rzadko w mediach. Są dziś słyszalne w mieszkańcach prowincji wielkich i małych miast, pobudowanych wsi, w nosicielach żywej pamięci – i w tych ludziach u władzy, którzy nie zatracili zdolności słuchania ich pulsu. Widać ślady ich działalności w wielkich budowlach i kameralnych domach, szlakach komunikacyjnych, w zadbanej przyrodzie, czystych i sprzyjających życiu lasach i rzekach, wskrzeszanym rzemiośle, regionalnych muzeach, heroicznie broniących się reliktowych księgarniach i w bibliotekach z ich ofiarnymi i życzliwymi opiekunami, gdzie można dotknąć książki i wsłuchać się w szelest jej stronic. Poznawać żywą historię, podziwiać dokonania przodków i zamyślać się nad ich błądzeniem (poznawał kraj wędrownik polski po bezdrożach Krzysztof Koehler). Na pewno nie w zagłuszających wszystko, jak osławione dawne brzęczyki, migotliwych smartfonach.

A Polaków i Niemców? W pamięci miejsc, które od nich przejęliśmy, na równi z naszą pamięcią o ziemiach, które oddaliśmy Białorusinom, Litwinom i Ukraińcom. We wspólnej pamięci historycznej, dostojeństwie Akwizgranu i Spiry, w przyjęciu polskiej korony z rąk cesarza rzymskiego. We wzniosłości chrystianizującej się mitycznej Europy Parsifala i Wagnera. W minnesangu, poetyckich laurach dla Henryka Prawego. Uniwersalistycznych ideach Karola V z „Żelaznej korony" Hanny Malewskiej, późniejszej kierowniczki Biura Szyfrów Armii Krajowej. W przejęciu się Iwaszkiewicza wizjami Stefana Georgego i śmiałością myśli Henryka Sandomierskiego. W duchowości Palatynatu i Nadrenii, wbrew skłonnej do teatralnego patosu i lichego sentymentalizmu mentalności pruskiej. W samotności Hölderlina, marzycielstwie Novalisa i Schellinga, „Mickiewiczu" Uhlanda, pieśniach Schuberta i Schumanna, reformatorach niemieckości Heinem i Nietzschem, berlińskich kabaretach doby weimarskiej. W noworocznych koncertach direkt aus Wien. W tych piersiach niemieckich, w których wzbudził się głęboki żal z powodu sprzeniewierzenia się tej tradycji i dziś gotowych do jej kontynuacji.

Andrzej Lam

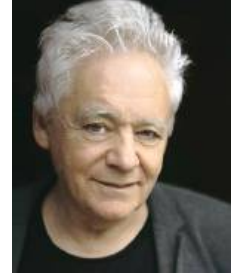
Kto rządzi szkołą?


Kto rządzi szkołą?

Najgorsze, że chyba nikt. Dyrektor wije się pod presją osoby kierującej wydziałem oświaty lub kuratora oświaty, wywija hołubce przed roszczeniowymi rodzicami, gimnastykuje się przed uczniami, bo guzik może im zrobić, uważa na dziennikarzy rządnych sensacji, chcących zaistnieć i komuś dowalić. Do tego stara się zorganizować zajęcia lekcyjne przy braku i absencji nauczycieli. Stara się śledzić kolejne zmiany oświatowe, by system mu się nie sypnął. Ot, codzienne problemy dyrektora. Nie wziąłem pod uwagę kontroli dokumentacji. Zwykłe problemy, tylko co dzień w innym układzie. A gdzie czas na zajęcie się sprawami papieru toaletowego itd.?

Krzysztof Szyd

eprasa.pl 233aac792f



Oko w oko Tomasz Jastrun

Wieje grozą

Szymon Hołownia wyobrażał sobie, że zbawi polską politykę i będzie mostem między wrogimi obozami. To będzie ta trzecia droga, którą pomaszeruje pierwszy ze sztandarem. Przy życzliwej mu interpretacji można napisać, że chciał dobrze, ale nie docenił, jak wrogie sobie są te obozy. Przy mniej życzliwej, jak ktoś napisał: „Hołownia zamiast instytucji stworzył scenę". Dla siebie. Chciał grać w inne karty niż te, które są na stole, i przegrał. Niebywała jest skala niechęci wobec niego ze strony liberalnej i chichot zadowolenia po prawej stronie. Nie docenił – polityk nie może tak błądzić – jak silny jest nasz lęk przed brakiem solidarności w koalicji, lęk uzasadniony. Stąd takie emocje.

A w finale okazuje się, że Hołownia odchodzi z polityki i stara się o stanowisko komisarza ONZ ds. uchodźców. Aby dostać nominację, musi mieć poparcie prezydenta. To tłumaczy, dlaczego marszałek od wyborów prezydenckich podlizuje się Nawrockiemu. Taki narcystyczny koniec przygody z polską polityką. Teraz niechęć do Hołowni zmienia się w nienawiść, jak do zdrajcy. Trzecia droga okazała się dla niego drogą na stanowisko w Genewie.

•

Spotkanie po siedmiu latach. Z. mieszka w Waszyngtonie. Pracował w Departamencie Stanu. Upływ lat widzimy najwyraźniej u dawno niewidzianych bliskich. I poruszenie, jak starzy są ludzie w naszym wieku. Andrzeja poznałem w 1973 r., zaraz po studiach, pracowaliśmy w „Tygodniku Kulturalnym", by szybko się przekonać, jak działa cenzura, ta na ulicy Mysiej w Warszawie, ta redakcyjna i w końcu, może najgorsza, autocenzura. U Andrzeja mieszkałem przez pierwsze tygodnie stanu wojennego, to był początek mojej rocznej odysei. Wciągnąłem go w konspirację, pojechał z jakąś tajną misją i wpadł w kocioł. Gdyby nie to zdarzenie, pewnie nie wyjechałby na stałe z Polski. Wpływamy na losy ludzi i ludzie wpływają na nasz los o wiele bardziej, niż nam się zdaje. Fascynują mnie takie sploty zbiegów okoliczności.

Andrzej mówi: „Mam wrażenie, że nie zdajecie sobie sprawy, co się dzieje w Stanach, atmosfera strachu i niepokoju o przyszłość. Agenci federalni łapią na ulicach podejrzanych, że są nielegalnie w Stanach, zakuwają ich w kajdanki, decyduje zwykle wygląd. W wielu miastach po ulicach chodzi Gwardia Narodowa. Trump, niby rozchwiany i zanurzony w bredni, ale konsekwentnie wprowadza ustrój autorytarny, teraz skupia się na pacyfikacji sądów i założeniu kagańca mediom".

Żona Z. dostała na tym tle nerwicy lękowej, panicznie się boi, że agenci załomocą do ich drzwi; mają podwójne obywatelstwo. Dla Trumpa wzorem zdaje się Orbán, więc nawet już pomstuje na Sorosa.

Andrzej funduje kolację, było nas pięcioro, płaci 1,5 tys. zł, takie czasy. Żegnamy się serdecznie i z małym wzruszeniem, bo gdybyśmy mieli się spotkać znowu za siedem lat, to dla niektórych z nas mogłoby być za późno.

•

Choroba naszego sądownictwa jest nieuleczalna, nie da się jej uleczyć w ramach demokracji, potrzebny byłby wstrząs rewolucyjny. Mówi tak bliski mi sędzia, dawny prezes Trybunału Konstytucyjnego. Myślę, że biedny Żurek jest w środku błędnego koła. Prezes miał więc rację, kiedy mówił, że sędziowie to kasta, ale leczył problem cholerą i znacznie pogorszył sytuację, próbując zrobić z sądów narzędzie do wprowadzenia systemu autorytarnego.

•

Adam Szostkiewicz pisze na Facebooku: „Demokracja jakby się znudziła, wyczerpuje się. U nas, w Ameryce i w Europie. Spora część młodszych pokoleń woli radykałów na prawicy albo na lewicy. Bywa, że raz jednych, raz drugich. Tak sobie przepływają w wyborach od jednych do drugich i z powrotem, jakby nie widzieli większych różnic między liberalnymi demokratami a prawicowymi zamordystami udającymi konserwatystów. Co za zmiana! Ale tym razem jak senny koszmar. Bojówki i marsze faszystów na ulicach, jak w latach 30., milion głosów na antysemitę i nacjonalistę, nienawiść do Żydów i Ukraińców, piąta kolumna Rosji w Sejmie i internetach, bokser na Krakowskim Przedmieściu otoczony bezczelnymi, nawiedzonymi dyletantami, którzy małpują zespół wespół autorytarne zapędy ich waszyngtońskiego mentora".

Duch czasu jest liberalny, tylko zatrzasnął się w toalecie.

To wszystko prawda, ale jest duża część polskiego społeczeństwa, która uparcie głosuje za demokracją i za zdrowym rozsądkiem. Polska dynamicznie rozwija się gospodarczo. Duch czasu jest liberalny, tylko zatrzasnął się w toalecie, prędzej czy później z niej wyjdzie. Jak powiedziała mi kiedyś Szymborska z serdeczną krytyką moich mrocznych tekstów: „Nie opłaca się być pesymistą". Wziąłem to sobie do serca i teraz dostaję za to po głowie przez stan rzeczy. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 233aac792f

Wojownicy i rezerwiści

Tylko Legia nie wygrywa w Europie

Wojciech Kuczok

Legia to stan umysłu. Megalomania i arogancja niweczą potencjał sportowy i finansowy. Kibice są przekonani, że tytuł mistrza Polski powinien być nieprzechodni i do końca świata nieodwołalnie należeć do ekipy z Łazienkowskiej. To, że Legia już od czterech lat tytułu nie zdobyła, w Warszawie uznaje się za niedopuszczalne, za spisek sił nieczystych, błąd w matriksie, hańbę, porutę i zniewagę uczuć religijnych. Żyleta bez względu na miejsce drużyny w tabeli Ekstraklasy śpiewa swoją najpopularniejszą pieśń bojową, zaczynającą się od słów „Mistrzem Polski jest Legia…", a potem dokłada mantrę: „Niepokonane miasto, niepokonany klub", bo kibice Legii nie uznają innych wyników, dla nich tabela, w której Legii nie ma na czele, jest nielegalna jak sejmowa komisja śledcza dla Ziobry. Presja na mistrzostwo jest obłędna – od Żylety siadam jak najdalej, ale nawet w sektorach rodzinnym czy prasowym panuje obłąkańcze ciśnienie na mistrzostwo.

Na meczach w europejskich pucharach fani Wojskowych nie mówią o niczym innym, dla nich brak tytułu jest jak utrata niepodległości. OK, fajnie się pokazać w Europie, ale mistrzostwo po prostu MUSI wrócić. Przy Łazienkowskiej zainteresowanie sukcesami zagranicznymi jest takie jak na Nowogrodzkiej – najważniejsze, żeby rządzić w kraju, reszta świata ma znaczenie, tylko jeśli może przyczynić się do tego. Tyle że piłkarsko dzieje się inaczej – drużyny grające w fazie grupowej europejskich pucharów nie wygrywają Ekstraklasy, bo nie dają rady grać jednocześnie na dwóch frontach.

Trener Edward Iordănescu musiał zatem otrzymać wyraźny sygnał od zarządu, że nie za Ligę Konferencji będzie rozliczany, tylko za tytuł. I ugiął się, we czwartek na turecki Samsunspor wystawił drugą drużynę, która w dodatku pierwszy i najpewniej ostatni raz w życiu zagrała w takim zestawieniu. Na efekty nie trzeba było długo czekać – już po dziesięciu minutach Legioniści przegrywali, bo drugorzędny obrońca Marco Burch, który w lidze nie zagrał od sierpnia ani minuty, dał się urwać holenderskiemu skrzydłowemu rywali.

Legia to stan umysłu. Megalomania i arogancja niweczą potencjał sportowy i finansowy.

To, że występuje legijna dwójka, było widać gołym okiem, chłopaki mieli dobre chęci, ale brakowało umiejętności i zgrania – to i tak spory sukces, że gospodarze mieli przewagę w posiadaniu piłki i nieustannie dążyli do wyrównania, które ostatecznie byłoby rezultatem sprawiedliwym. Słupek, poprzeczka, nieuznany gol, szczęśliwie zablokowana bomba w doliczonym czasie – Legia przegrała pechowo, ale na własne życzenie (czytaj: trenera i kibiców). Chcecie mieć mistrzostwo? OK, będziemy rotować składem – najlepsi grają w kraju, na Europę wystawiamy rezerwy, mamy szeroką kadrę, może się uda coś tam nawet wygrać ze słabiakami i urwać punkcik średniakom, żeby się przeczołgać do styczniowych play-offów, naprawdę wiele nie trzeba.

Dlaczego w takim razie ustalono wielokrotnie wyższe niż w Ekstraklasie ceny biletów? Znajomy, który musi mnożyć wszystko razy cztery (kibicuje z żoną i dwójką dzieci), ze łzami w oczach mówił, że go w tym roku na puchary nie stać. No i w sumie na tym wygrał, za to 18 tys. najwierniejszych lub najbogatszych kibiców (najniższa w sezonie frekwencja była bezpośrednim efektem drastycznej podwyżki cen) dało się nabrać.

Bramkarz turecki nosi swojsko dla mnie brzmiące nazwisko Kocuk, więc trzymałem za niego kciuki, ale zupełnie niepotrzebnie, gdyż Legia w ciągu półtorej godziny zatrudniła go tylko dwukrotnie.

W niedzielę w Zabrzu na boisku lidera „jak za dawnych lat" doszło do weryfikacji mocarstwowych planów – czy pozytywnej, jeszcze nie wiem, bo piszę tekst przed weekendem. Z całą jednak pewnością żaden polski klub nie ma tak silnych zmienników, żeby móc w komplecie zmienić graczy z pola i z powodzeniem startować w Europie. W Poznaniu zdają sobie z tego sprawę, więc z Rapidem Wiedeń zagrali najmocniejszym składem. No i kibice dostali w cenie biletu najwspanialszy koncert symfoniczny w tym sezonie. Chociaż Rapid to już nie potęga z czasów Hansa Krankla, dwukrotny finalista Pucharu Zdobywców Pucharów jest aktualnym liderem ligi austriackiej, rok temu dwukrotnie ograł krakowską Wisłę, strzelając jej osiem goli, a potem dotarł do ćwierćfinału tych rozgrywek – zatem nie w kij dmuchał.

Tymczasem Lech zaimponował zdumiewającą płynnością i finezją gry; Luis Palma, Taofeek Ismaheel i Mikael Ishak szli o lepsze w ośmieszaniu austriackich obrońców. I choć bramkarz rywali pomógł Lechitom w zdobyciu dwóch goli, zrehabilitował się, broniąc karnego – Lech mógł wygrać wyżej. W drugiej połowie zwolnił, a i tak wynik 4:1 z najlepszym tej jesieni klubem

eprasa.pl 233aac792f



Liga Konferencji, mecz Lecha z Rapidem w Poznaniu. 2 października 2025 r.

austriackim idzie w świat, a gra cieszy oko jak latem 2021 r., gdy przez covidowe eliminacje Ligi Europy Kolejorz szedł jak burza. Pamiętajmy, że latem Lecha dotknęła bezprzykładna plaga kontuzji, teraz z kolejnymi tygodniami do składu będą wracali ozdrowieńcy, którzy z nowymi nabytkami ustalą siłę drużyny na poziom pozwalający obronić tytuł. Psu na budę ekstremalna rotacja Legii.

W Sosnowcu Raków, jak to ma w zwyczaju, zamęczył przeciwników, przygnębił ich i zgnębił, w nieefektownym stylu pokonując lidera ligi rumuńskiej, Universitatea Craiova. Fajerwerków nie było, ale jest wynik – częstochowianie tradycyjnie podkręcili tempo w drugiej połowie i zrobili swoje – wygrali pewnie, kontrolując grę. Czasy, w których Raków grał finezyjną piłkę, minęły wraz ze zdrowiem Ivi Lópeza, najlepszego technika w drużynie. Tyle co wrócił po długotrwałej rehabilitacji, a znów musiał opuścić boisko z kontuzją. Marek Papszun lepi skład z wojowników, nie z artystów, Raków przypomina w tym trochę madryckie Atlético, które prowadzi Diego Simeone.

Notabene w ciągu kilku dni Los Colchoneros z drużyny w kryzysie sportowym (szeptało się już, że czas tego trenera dobiega końca, zmęczenie materiału etc.) zmienili się w bezlitosnych pogromców. Jak się wygrywa w derbach z Realem 5:2, a potem ładuje kolejne pięć goli w Lidze Mistrzów Eintrachtowi, można poczuć szwung i pewność siebie – Simeone nie tylko po raz enty rozwiał wątpliwości co do swojej pozycji w klubie, ale jeszcze tak natchnął swoją drużynę, że w mig stała się kandydatem do najwyższych laurów w Hiszpanii i Europie.

Największy hit ostatniej kolejki Champions League, potyczka Barcelony z PSG, miał zadziwiający przebieg. Przetrzebieni kontuzjami paryżanie zagrali w ofensywie rezerwowymi nastolatkami, wydawało się, że Barca ich pożre, bo już w pierwszej minucie Yamal zaczarował stadion dryblingiem, potem katalońska nawałnica niemal nie opuszczała połowy rywali, co zwieńczył gol Ferrana Torresa. Po pół godzinie Francuzi zaczęli dochodzić do głosu, a jak już doszli, to go nie oddali – gole Mayulu i Gonçala Ramosa w końcówce zadecydowały o wygranej paryżan. Luis Enrique znowu utarł nosa Hansiemu Flickowi; nam na pocieszenie został fakt, że cały mecz w bramce zagrał Wojciech Szczęsny i winy za żaden gol nie ponosi. Lewy wszedł jako zmiennik i niestety nie dał się zauważyć.

Wracając do naszych eksportowych ekip, Jagiellonia też wygrała, i to w zasadzie wszystko, co dobrego można powiedzieć o jej meczu z mistrzem Malty. Bronienie jednobramkowego zwycięstwa przeciw grającemu w dziesiątkę Ħamrun Spartans chluby nikomu w Białymstoku nie przyniosło. Drużyna Siemieńca ewidentnie nie doceniła rywali, zagrała niechlujnie i trochę pechowo (dwa nieuznane gole), ale ostatecznie zrobiła swoje, obyło się bez kompromitacji.

Poza Legią zanurzoną w snach o swojej wielkości nasze drużyny dołożyły zatem po komplecie punktów rankingowych, wciąż zmniejszamy dystans do pierwszej dziesiątki europejskich lig, ergo do gwarantowanego miejsca w Champions League dla mistrza Polski. Kto nim zostanie za dwa lata, bo wtedy najwcześniej taki bonus regulaminowy może nam się przytrafić, oczywiście nie sposób dziś przewidywać. Być może wszyscy nasi pucharowicze pracują właśnie na rzecz… Wieczystej Kraków. Beniaminek I ligi ma zaiste szeroką kadrę, skoro w końcówkach meczu wchodzą na boisko tacy goście jak Góralski czy Rafa López, właściciel hojnie sypie kasą, a jego drużyna mości się na miejscu premiowanym awansem do Ekstraklasy tuż za plecami Wisły. Stadionu sensownego nie mają, wszystkie mecze grają poza domem, ale nie widzę powodów, by mieli się zatrzymać w drodze na szczyt. Apetyt rośnie w miarę jedzenia. ■

Wynik Lecha 4:1 z najlepszym tej jesieni klubem austriackim idzie w świat, a gra cieszy oko.

FOT. ŁUKASZ GDAK/EAST NEWS

eprasa.pl 233aac792f

PRZYJEMNE OSWAJANIE CZASU

Nie wierzę w pogoń za czymś, co i tak nam ucieknie



Rozmawia Beata Biały

Czym jest spokój wobec upływu czasu? Czy to dar akceptacji, czy tylko iluzja, którą próbujemy sobie wmówić?

– Spokój… Czasem czuję, że jest we mnie od zawsze, jak cichy strumień płynący gdzieś pod powierzchnią. Innym razem muszę o niego walczyć, zagłuszać w sobie podszepty lęku. Ale spokój niewątpliwie pojawia się wtedy, gdy wiem, kim jestem, i nie szukam siebie w oczach innych.

A lęk przed przemijaniem? Czy naprawdę istnieje? (…)

– Nie wiem, czy to jest lęk przed przemijaniem samym w sobie, czy raczej przed świadomością, że nie zdążę tego wszystkiego przeżyć. A przecież nie da się mieć wszystkiego. Może to cała tajemnica, że wszystko, co nam się zdarza, jest dokładnie tym, co miało się zdarzyć.

Myślałam, że kiedy przemija uroda… Mówi się, że piękno może być przekleństwem, jeśli definiuje cię w oczach innych. A co, jeśli nagle zaczyna blaknąć? (…)

– Jeśli ktoś całe życie słyszy, że jest piękny, może mu się wydawać, że to jego jedyna wartość. A potem patrzy w lustro i widzi, jak czas powoli zabiera mu to, czym był dla świata. Ale to nie jest moje doświadczenie. Nigdy nie żyłam świadomością własnej urody. Byłam szczupłą dziewczynką, a z dojrzewaniem, kiedy zaczęło kształtować się moje myślenie o sobie jako kobiecie, przyszła nieproszona przemiana – ciało stało się pełne, biust zbyt duży na ówczesne standardy. Chowałam się w za duże swetry i koszule. Potem przez lata szczuplałam i zaczęło się pojawiać coraz więcej przychylnych komentarzy na temat mojej urody, ale już nie zdołały zmienić mojego postrzegania siebie.

Kiedy więc człowiek staje się wolny od tych wszystkich zewnętrznych ocen?

– Może wtedy, kiedy przestaje się przeglądać w oczach świata? Mój zawód raczej temu nie sprzyja. W teatrze przez lata widziałam siebie jako aktorkę charakterystyczną. Byłam

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 233aac792f

nabitą, pulchną babką, nie wchodziłam w role zjawiskowych kobiet, bo po prostu nie spełniałam warunków, nie kwalifikowałam się. I wtedy Izabella Cywińska, przyjmując mnie do swojego teatru, powiedziała: „Nawet mam dla ciebie rolę! Zagrasz piękną kobietę w »Świętoszku«". Nogi się pode mną ugięły. Poprzeczka została zawieszona poza moim zasięgiem. Mogłam pracować nad rolą, stworzyć postać, ale nie mogłam przecież fizycznie stać się kimś, kim nie byłam. I przez lata czułam ten rozdźwięk – między tym, jak mnie widziano, a tym, jak sama siebie postrzegałam. Kamera wprowadziła nową perspektywę – surowszą, bardziej obnażającą. Teatr, który nie operuje zbliżeniami, jest łaskawszy. A kamera? Kamera widzi cię, ogląda jak pod lupą. Tymczasem nadszedł czas, kiedy powłoka cielesna zaczyna marnieć, urody, jakakolwiek by była, zaczyna ubywać. I wiesz, co to we mnie zmieniło? Nic.

Zatem lęk przed upływem czasu nie polega na tym, że coś tracimy, ale na tym, że nie umiemy dostrzec, co zostaje?

– Pewnie na jednym i na drugim. Nawet jeśli nie traktowałam urody jako kapitału i wiem, że czas nie może mnie okraść z czegoś, czego nie posiadam, to przecież on i tak mi coś odbierze, choćby sprawność fizyczną.

Czyli klucz tkwi nie w zatrzymaniu czasu, ale w zgodzie na to, co przychodzi?

– On i tak wygrywa, więc może zamiast z nim walczyć, lepiej nauczyć się tańczyć w jego rytmie.

Jak to jest patrzeć w lustro i widzieć, jak czas zostawia na twarzy swoje ślady? Czy pierwsze oznaki starzenia są bardziej szokiem, czy może czymś, czego się spodziewałaś?

– Zaskoczyła mnie moja reakcja. Nie było szoku. Pojawiło się coś, czego się właśnie nie spodziewałam – jakaś czułość, ciepła pobłażliwość. Po prostu spojrzałam w lustro, uśmiechnęłam się i pomyślałam: „Ooo, a więc zaczęło się". Nie wiem, skąd we mnie ten spokój. Może to prezent od losu? Może sama na niego zapracowałam, nieświadomie? Wiem jedno – nie postrzegam tych zmian jako końca, lecz jako naturalny ciąg dalszy. Bo przecież to nie uroda definiuje mnie, nie ona jest moją walutą w tym świecie.

Czy lęk przed upływem czasu dotyczy tylko wyglądu? (...)

– Jeśli pytasz, czy boję się czasu – tak, boję się. Ale nie zmarszczek, nie siwych włosów. Boję się niedołężności, boję się, że kiedyś moje ciało mnie zawiedzie, albo umysł, że pewnego dnia obudzę się i poczuję, że już nie mogę tego, co jeszcze wczoraj mogłam. Uświadomiłam to sobie podczas pandemii. Zachorowałam na covid. Nie straciłam smaku ani węchu, ale – pamięć. I to mnie przeraziło.

Pamięć? Jak to?

– To nie było zwyczajne „przyszłam do kuchni i nie pamiętam po co". To było coś głębszego. Byłam wtedy w trakcie prób do „Marii Stuart". (...) Nigdy nie miałam problemu z nauką tekstu. Ale tym razem... mimo że, choć z trudem, wkułam go w domu i wiedziałam, że go znam, jednak podczas próby straciłam do niego dostęp. Musiałam z pomocą suflerki odszukiwać go w pamięci. Na następnej próbie, ponieważ powiązałam go z sytuacjami, powinno być już lepiej. Tymczasem okazało się, że mam w głowie pustkę. Tak jakby ktoś wykasował mi pamięć.

A potem przyszła próba wznowieniowa „Sonaty jesiennej", spektaklu, który graliśmy już dwa lata. To sztuka oparta na dialogu matki z córką i na monologach, jestem prawie cały czas na scenie. Nagle tekst w mojej głowie zaczęły zalewać białe plamy. (...) I wtedy pojawiła się panika. Nie tylko ta związana z wieczornym spektaklem, ale ta większego kalibru. A co, jeśli to nie chwilowe? Jeśli tak już zostanie? Jeśli nie odzyskam sprawności umysłu? A co, jeśli się to pogłębi?

> W teatrze można sobie poradzić bez wzrostu, figury, urody, bez pięknego głosu, nawet bez talentu, ale nie bez pamięci.

Czy to był moment, w którym pomyślałaś, że oto kończy się coś ważnego? Że może zawód, który kochasz, przestaje być możliwy?

– Widziałam starszych kolegów, których w takim momencie ratował tylko sufler w uchu. Widziałam strach w ich oczach, gdy nagle zapadła ciemność w głowie. Znam takich, którzy z tego powodu wycofali się z zawodu. Przede wszystkim z teatru. W teatrze można sobie poradzić bez wzrostu, figury, urody, bez pięknego głosu, nawet bez talentu, ale nie bez pamięci. Brak pamięci sprawia, że jako postać przestajesz istnieć.

Czy ten lęk wciąż w tobie jest?

– Pamięć wróciła, ale lęk pozostał. (...)

W „Zmierzchu bogów" bohaterowie nie chcą pogodzić się ze swoim przemijaniem. Myślisz, że w dzisiejszym świecie, nastawionym na młodość, można się zestarzeć z godnością? Czy zawsze będzie w tym jakaś nuta tragizmu?

– To chyba kwestia tego, jak postrzegamy swoje życie na linii czasu – czy jak gasnące światło, czy jak kolejne drzwi, za którymi wciąż jest

Danuta Stenka – w 1984 r. ukończyła Studium Aktorskie przy Teatrze Wybrzeże w Gdańsku (na deskach którego debiutowała w 1982 r. w „Betlejem polskim"). Przez kolejne cztery lata (od 1984 r.) występowała na scenie Teatru Współczesnego w Szczecinie. W 1988 r. przeniosła się do Teatru Nowego w Poznaniu, gdzie zaczęła się jej długoletnia współpraca z Izabellą Cywińską, a także pierwsze role w Teatrze Telewizji. W 1991 r. została aktorką Teatru Dramatycznego w Warszawie, a od 2003 r. warszawskiego Teatru Narodowego. Występuje gościnnie w spektaklach u takich reżyserów jak Grzegorz Jarzyna (TR Warszawa) czy Krzysztof Warlikowski (Nowy Teatr). Laureatka wielu nagród aktorskich, przewodnicząca Rady Fundacji Legalna Kultura.

eprasa.pl 233aac792f

coś do odkrycia. Bardzo mi się podoba zasłyszana niedawno wypowiedź Olgi Tokarczuk: „Okres między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką czy nawet siedemdziesiątką to czas wypłynięcia na szerokie wody. Już nie musimy funkcjonować na najwyższym poziomie: być bystrzachami w pracy, supermatkami, atrakcyjnymi seksualnie kochankami, które radzą sobie z tym wszystkim jednocześnie. Dla mnie to stan błogosławiony".

Czyli to, o czym mówiła Izabella Cywińska: „Mogę, ale nie muszę". A prawdopodobnie im bardziej nie muszę, tym więcej mogę. Starzeć się z godnością – brzmi pięknie, ale trochę tak, jakby trzeba było trwać w jakiejś sztywnej, wyniosłej postawie. A ja chciałabym się starzeć na luzie, „na fajnie". Tak, żeby lubić siebie. Żeby lubić to, kim jestem, gdzie jestem, jakie mam życie. Żeby czuć radość z tego, co mam, a nie tęsknotę za tym, co minęło.

Boisz się siebie starej?

– Nie, nie boję się siebie starej jako takiej. Boję się tego, co może mi przynieść los. Jeśli chodzi o zdrowie, o sprawność, o to, czy będę w stanie samodzielnie żyć. Czy pewnego dnia nie poczuję, że zaczynam znikać – najpierw dla świata, potem dla siebie. Boję się tego, że będę zdana na innych, że stanę się dla nich ciężarem. Tego, że zacznę gubić siebie, że przestaję być sobą, choć jeszcze tu jestem. Nie wiem, czy boję się śmierci, ale na pewno boję się procesu umierania.

Co jest gorsze: stracić sprawność fizyczną czy intelektualną? (...) Stracić pamięć czy stracić kontrolę nad ciałem – co jest gorsze?

– Nie wiem, czy coś może być bardziej przerażające, niż kiedy np. wyszłaś na zakupy do swojego sklepu i nagle znalazłaś się w zupełnie nieznanym ci mieście, na obcej planecie. Wyobrażasz to sobie? Stoisz na ulicy, wokół ludzie, świat, którego nie znasz, nie masz żadnego punktu zaczepienia. Nie ma żadnego drogowskazu, który pomoże ci wrócić. To musi być koszmar. To moje najgorsze sny – że jestem w miejscu, którego nie znam, nie wiem, jak się wydostać, nie ma nikogo, kto mógłby mnie odnaleźć. (...)

Zastanawiam się, czy aktorstwo to bardziej klątwa czy błogosławieństwo, jeśli chodzi o konfrontowanie się ze swoim przemijaniem. Oglądanie siebie na ekranie sprzed lat – to rodzaj nieśmiertelności czy pułapka? Ludzie cię pamiętają, porównują, mówią: „Kiedyś była taka piękna". Jak to jest?

– To o tyle szczególne doświadczenie, że odbywa się to publicznie. Przemijasz na oczach świata. Jeśli ludzie kojarzą cię z rolami z twojej młodości, mało tego, jeśli nadal mogą cię w nich oglądać, możesz sprawić im zawód, kiedy spotykają cię nagle jako starszą panią.

Ania Dymna opowiadała, że zdarza jej się usłyszeć na ulicy: „Ale się pani zestarzała!". Albo: „A co pani z sobą zrobiła?". (...) Jakby aktorzy mieli obowiązek zatrzymać czas. Ania Seniuk z kolei opowiadała mi, że jechała kiedyś taksówką, kierowca spojrzał na nią i również powiedział: „Ale się pani zestarzała".

– No cóż, niektórzy ludzie uważają, że skoro jesteś osobą publiczną, jesteś w pewnym sensie ich własnością, więc mają do ciebie prawo.

Czy można się na to uodpornić?

– Można to zjawisko przyjąć do wiadomości. Tyle.

Czy przemijanie jest bardziej okrutne w przypadku aktorów? Czy doświadczają go najsilniej, bo ich twarze zostają zatrzymane w czasie, choć rzeczywistość idzie naprzód?

– A to akurat wydaje mi się plusem tego zawodu – mimo że rzeczywistość idzie naprzód, oni, jako młodzi, nadal żyją, nadal możesz ich spotkać w ich młodości. Choć jednocześnie jeśli chodzi o rynek, starzenie się, zwłaszcza aktorek, nie jest w cenie.

Starzejąc się w zawodzie aktorki, patrzysz na młodsze koleżanki z zazdrością? Czy obserwujesz je i myślisz: „Ja też kiedyś taka byłam"?

– Patrzę, oczywiście, że patrzę! Ale to raczej spojrzenie pełne ciekawości. To też trochę tak, jakby przeglądać stare zdjęcia z wakacji – patrzę na nie i myślę: „Aha, no tak, pamiętam ten moment, byłam tam". Czasem zastanawiam się, czy będzie mnie bolało, kiedy młodsze koleżanki już ostatecznie zajmą moje miejsce, a ja znajdę się w poczekalni. Myślę, że to nie jest łatwe. Spotykałam aktorki, które nie umiały sobie z tym poradzić, traktowały młode dziewczyny jak armię najeźdźców. Zastanawiam się, jak będzie ze mną. Choć jest nadzieja, że się temu wymknę, bo kiedy patrzę na moje młodsze koleżanki, to nierzadko łapię się na tym, że sama do siebie się uśmiecham. Pewnie, że im zazdroszczę. Ale to jest, powiedziałabym, pozytywna zazdrość – taka, która nie boli, nie kąsa, nie odbiera radości. Zazdroszczę im świeżości doświadczeń, tego, że tyle jeszcze się wydarzy w ich życiu, tej fascynującej niewiadomej. Ale nie chciałabym zamienić się z nimi miejscami. Bo ja już jestem gdzieś indziej. I to „gdzieś indziej" daje mi coś, czego w ich wieku nawet nie dostrzegałam.

Człowiek ma swoje prawa. Bez względu na wiek.

Zawsze znajdą się tacy, którzy uwielbiają innym meblować życie.

Czyli nie gonisz rozpaczliwie za młodością? Nie próbujesz zatrzymać jej za wszelką cenę?

– Nie, nie za wszelką cenę. Bo nie wierzę w pogoń za czymś, co i tak nam ucieknie.

Czy dojrzałość wymaga odwagi?

– Zastanawiam się, czy to raczej nie młodość domaga się odwagi. To przekonanie, że wszystko można, że czas nie istnieje, że życie nie ma ograniczeń. Ale dojrzałość? Dojrzałość to spokój. To świadomość. To moment, w którym już nie musisz niczego udowadniać. Dojrzałość przynosi odwagę. Do tego, żeby przestać żyć oczekiwaniami innych.

eprasa.pl 233aac792f

Dojrzałość przynosi odwagę bycia sobą. Mówienia „tak" wtedy, gdy naprawdę tego chcesz. Mówienia „nie" bez strachu, że kogoś zawiedziesz. Do bycia wierną sobie, nawet jeśli oznacza to, że ktoś inny tego nie zrozumie. I chyba właśnie to jest największa siła dojrzałości.

Na co dziś masz więcej odwagi niż kiedyś?

– Na zauważenie siebie. Brzmi to banalnie, ale jest w tym coś rewolucyjnego, szczególnie dla osoby, która całe życie jest przekonana, że jeśli pojawia się jakiś problem, to ona jest za to odpowiedzialna. W każdej relacji. To ja muszę to rozwiązać, to ode mnie zależy czyjś spokój, czyjeś bezpieczeństwo. Im mniejsze mam zasoby, żeby temu podołać, tym większy towarzyszy temu stres. Dopiero teraz widzę, ile siebie oddałam, często na zupełnie nieważne rzeczy, ile siebie przez to zgubiłam, jak pozwoliłam się okradać. Miałam ogromne szczęście, że moi bliscy – mąż, teściowie, rodzice – pomagali mi, że zdejmowali ze mnie część ciężaru, że pozwolili mi uprawiać ten zawód bez wyrzutów sumienia, że nie zostawiali mnie samej z tym wszystkim. Ale to nie zmienia faktu, że to, czego sobie przez lata odmawiałam, to była moja uważność na samą siebie. Dzisiaj mam odwagę powiedzieć: „Ja też jestem ważna".

Zatem w pewnym sensie „Sonata jesienna" nie tylko dała ci rolę, ale stała się twoim własnym rachunkiem sumienia?

– Tak ją nazywam – mój rachunek sumienia i moja pokuta. Sławna pianistka odwiedza swoją córkę po siedmiu latach nieobecności i po raz pierwszy słyszy, jak wyglądało jej dzieciństwo w cieniu matki artystki. Odnajduję w tej historii sytuacje ze swojego życia. Ten spektakl, jak żywy organizm, cały czas mnie zaskakuje. Na 50. czy 100. przedstawieniu nagle słyszę jakieś słowo, jakieś zdanie, które uderza jak piorun i otwiera we mnie furtkę do nowej, nieoczekiwanej przestrzeni. Słyszę kwestie mojej scenicznej córki i mam wrażenie, że słucham własnego dziecka. I wtedy czuję, że to nie tylko teatr, że to moje życie, moje zaniedbania, moje własne pytania o to, czy naprawdę byłam obecna. To jest piekielnie trudna podróż. Trudna i wymagająca, ale bezcenna. W wymiarze zawodowym i osobistym.

Boisz się tych momentów, w których spektakl dotyka cię bardziej, niż jesteś na to gotowa?

– Nie, traktuję je jak odkrycia, niezwykle cenne dla mnie i dla spektaklu. Ta rola domaga się wejścia w nią głęboko. Jeśli się to udaje, jestem po spektaklu wykończona. Piekielnie wyczerpana.

A kiedy ci się nie udaje? Kiedy wiesz, że nie przeskoczyłaś tej poprzeczki, którą sama sobie zawiesiłaś?

– Jeśli na scenie ponoszę mniejsze koszty, płacę po zejściu ze sceny wyrzutami sumienia. Żałuję, że zmarnowałam to spotkanie, tę rozmowę z widzem. A przecież wiem, na jakim poziomie mogłaby się odbyć. Ten rodzaj skupienia czy natchnienia nie jest moją własnością, spływa na mnie albo i nie. Nie ja o tym decyduję. Natomiast to decyduje o jakości roli, spektaklu. I tej niewiadomej boję się najbardziej. Przed każdym spektaklem. (…)

Nie boję się siebie starej jako takiej. Boję się tego, co może mi przynieść los.

W „Portrecie Doriana Graya" Oscar Wilde pisał o desperackim pragnieniu zachowania młodości. Czy gdybyś mogła zatrzymać swój wiek na jednym etapie życia, zrobiłabyś to? Gdybyś miała wskazać najlepszy czas w swoim życiu?

– Nie potrafiłabym wybrać. Każdy czas ma pełen zestaw barw. Młodość, eksplozja kolorów – jaskrawa, ostra, czasem hałaśliwa, choć nie brakowało też subtelnego écru. Teraz kolory są spokojniejsze, jakby głębsze, bardziej nasycone, a czasem delikatnie przytarte. To już nie krzyk, raczej szmer, szept, miękkość aksamitu. Różne, ale równie piękne. Czy to jest pewność? Czy to już etap, w którym nie ma wątpliwości? Wątpliwości są zawsze. Dojrzałość nie daje ci gwarancji, że wszystko stanie się jasne. Raczej przynosi zgodę na to, że jasne być nie musi. A im więcej zgody na to, co było, co jest i co będzie, tym więcej spokoju. Gdybym zaprzeczała swojemu wiekowi, zaprzeczałabym samej sobie. Mój wiek to moja historia zapisana w ciele. Moje ciało opowiada moją historię. Każda zmarszczka, każda blizna, nawet napięty mięsień, który ciągle mi przypomina, że za bardzo czymś się przejmuję – to moje życie, to ja. (…)

Czy zgoda na to, co przynosi życie, to coś, co trzeba w sobie wypracować, czy coś, co przychodzi z wiekiem?

– Myślę, że jedno i drugie. Czas uczy akceptacji, ale nie wystarczy tylko pozwolić mu płynąć – trzeba świadomie tę zgodę przyjąć. W zawodzie nigdy nie miałam w sobie gorzkiego poczucia, że jakaś rola mi umknęła, że coś mnie ominęło. Nie mam oczekiwań, więc wszystko, co dostaję, traktuję jak niespodziankę, jak prezent. I chyba podobnie patrzę na życie. Nie mam wymagań wobec niego, nie tworzę sztywnych planów, które muszę zrealizować. Mam marzenia, ale one nie są koniecznością, przymusem. Kiedyś było we mnie więcej przymusu. Czułam, że ciągle coś powinnam. No właśnie, od niedawna uczę się używać tego słowa z umiarem. Coraz częściej łapię się na tym, że mówię „powinnam" i sprawdzam, czy rzeczywiście coś muszę, czy po prostu czuję się do tego zobowiązana, bo ktoś stawia mnie w przymusowej sytuacji. I coraz częściej odkrywam, że nie muszę niczego poza tym, czego sama naprawdę chcę. (…)

Czy dojrzałość ma swoje prawa, tak jak mówi się, że młodość je ma?

– Człowiek ma swoje prawa. Bez względu na wiek. Problem w tym, że zawsze znajdą się tacy, którzy uwielbiają innym meblować życie. Wymuszać, narzucać, oceniać… I prawdopodobnie najczęściej robią to ci, którzy nie potrafią odnaleźć się we własnym życiu. (…)



Fragmenty rozmowy z książki Beaty Biały *Kobiece gadanie*, Rebis, Poznań 2025

eprasa.pl 233aac792f

KURTYNA W GÓRĘ



Powrót króla

Do Teatru Komedia wrócił król komedii, jak w spektaklu nazwano Adolfa Dymszę. Uwielbiany w okresie międzywojennym, po wojnie odsunięty na boczny tor, piętnowany za występy w jawnych teatrach w latach okupacji, podpisywany na plakatach trzema gwiazdkami, triumfalnie objawił się znowu w filmie „Skarb", aby na powrót królować. Dziś niemal zapomniany, choć kiedyś prawie nie było polskiej komedii filmowej bez jego udziału.

Na małej scenie Teatru Komedia postać Dymszy przywołuje Dawid Dziarkowski. Nie przypadkiem unikam określenia „wciela się", bo Dziarkowski z dystansu przedstawia historię aktora, ważne chwile, poczynając od ostatniego etapu: wegetacji w domu opieki w Górze Kalwarii, gdzie przykuty do fotela zmaga się w myślach z przeszłością. Z jednej strony Dodek król, z drugiej zdrajca. Aktor przygląda się mistrzowi, czasem wypróbowując jego styl. Nigdy jednak nie sięga po pastisz czy parodię.

Monodram Wojciecha Ogrodzińskiego nie trzyma się linearnej formy opowieści, to raczej mozaika wspomnień i refleksji, przeplatanych sławnymi numerami Dodka, którymi podbijał serca widzów. Dziarkowski ukazuje ten żywioł – stepując, krzesze niemal iskry – ale to żywioł pod kontrolą, wspierany przez reżyserkę nienatrętnie dozowanymi efektami filmowymi i światłem.

To nie tylko nostalgiczne przypomnienie wybitnego komika, ale też dające do myślenia przedstawienie o losie artysty, o niebezpieczeństwach wyborów, których się dokonuje, o łatwych osądach i sławie, która może się zmienić w niesławę.

Tomasz Miłkowski

Wojciech Ogrodziński, „Król komedii", reżyseria Marta Miłoszewska, Teatr Komedia w Warszawie, premiera 20 września 2025

NA EKRANACH

Eddington,

reż. Ari Aster, prod. USA/Finlandia, już w kinach

W najnowszym dramacie, który premierę miał na festiwalu w Cannes, Ari Aster przygląda się politycznym skrajnościom. Szeryf Eddington Joe Cross (Joaquin Phoenix), antyszczepionkowiec sfrustrowany sytuacją spowodowaną przez pandemię, postanawia wziąć udział w wyborach na burmistrza. Aktualnie władzę w miasteczku



sprawuje Ted Garcia (Pedro Pascal), progresywny i lewicowy facet, rasowy polityk. Napięcia między tą dwójką doprowadzają do konfliktu, który prędzej czy później zakończy się rozlewem krwi. Obie postacie, stojące na antypodach, są tak skrajne, wręcz komiksowe, że ich starcie przypomina walkę Karola Nawrockiego i Rafała Trzaskowskiego. „Eddington" to wszystko, co chcielibyście wiedzieć o amerykańskim śnie. A przy okazji gatunkowa jazda bez trzymanki: mamy tu noir, dramat, a nawet western.

Jan Tracz

WYDARZENIE

Krakowskie Metamorfozy

10 listopada w TAURON Arenie Kraków spotkają się artyści reprezentujący różne pokolenia i style muzyczne. Na scenie pojawią się: Krzysztof Zalewski, Katarzyna Nosowska, Grzegorz Turnau, Mela Koteluk, Piotr Rogucki, Natalia Przybysz, Kasia Kurzawska, Dawid Tyszkowski,



Wiktor Waligóra, Kev Fox i Atom String Quartet. Usłyszymy utwory zaaranżowane specjalnie na ten koncert przez Andrzeja Smolika, dyrektora artystycznego widowiska. Smolik zapewnia, że będzie to niezapomniana muzyczno-wizualna podróż pełna nieoczywistych transformacji. W krakowskiej Arenie zostanie stworzona przestrzeń do międzypokoleniowej wymiany doświadczeń i energii – na scenie i wśród publiczności.

(rp)

MIĘDZY OKŁADKAMI



Jerzy Sałata

Wieś pachnąca wierszami

Olsztyn 2025

Jerzy Sałata, poeta z przygranicznych Bartoszyc, znów gości w tej rubryce i ciągle zasługuje na przydomek „następcy Kajki". Po pierwsze, jest cieślą z zawodu i całe lata pracował w tym fachu, po drugie, tematem jego poezji jest wieś. Pachnąca wierszami, choć Marek Koprowski, wnuk pisarza Jana Koprowskiego, w recenzji wewnątrz tomiku zauważa, że nad wierszami „unosi się zapach (!) gnojówki" – „przyjazna woń starego, dobrego nawozu naturalnego". W tym kontekście pisane sercem utwory Sałaty pozwalają wrócić do chwil spędzanych na wsi. Autor po lekcjach szedł z ojcem w pole, bo taka była codzienność w jego rodzinnych Rygarbach. I tak ją wspomina: „W końcu żniw / labirynty skib / kryją rżyska / czesane pługiem zmieniają w jesień / krajobraz z babami / malują drzewa gdzie / pagórek mojej wsi...". Drugi recenzent, Maciej Wilczek, wnuk pisarza Henryka Panasa, dostrzega w wierszach „wrażliwość, wspaniały sposób obrazowania i tę emanującą z każdej strofy siłę". A skoro wnukowie znanych pisarzy polecają tomik, musi być w nim niecodzienna uroda.

Marek Książek

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MACIEJ CZERSKI, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 233aac792f



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Chodzę spać z Kurami

Październik, przyszedł czas poważnej muzyki – w Tychach Auksodrone, w Warszawie Konkurs Chopinowski, a ja od tygodnia chodzę spać z Kurami. Poważne wygłupy dają złapać oddech, zwłaszcza że z każdą kolejną szopeniadą Polacy tracą rozum wskutek sportowego śledzenia zmagań pianistycznych, a mnie to Chopina obrzydza, mam w tym czasie szopenowski post, jestem jak Adaś Miauczyński, „też se mogę go puścić, jak będę miał nastrój, ochotę na Szopena, bo kocham Szopena, i słuchać", ale nie teraz, kiedy wszyscy powariowali.

Owóż, z Kurami się także budzę, bo Tymański i Deriglasoff reaktywowali skład, który nagrał najważniejszą płytę polskiej sceny alternatywnej po 1989 r. – „P.O.L.O.V.I.R.U.S.". Wychowałem się na tej szalonej, Zappowskiej z ducha zgrywie, parodiującej najpopularniejsze gatunki muzyczne, a po latach okazującej się najlepszym literacko zapisem „najntisów", pierwszej dekady III RP. O kulturowym znaczeniu tego wydawnictwa powstał w zeszłym roku świetny dokument „Najgłupsza płyta świata", w którym Olaf i Tymon zgodnie doszli do wniosku, że płyta okazała się większa od zespołu. Po z górą ćwierćwieczu wrócili do tej estetyki w równie wyrafinowanej dźwiękowo i równie gorzkiej tekstowo karykaturze rzeczywistochy polskiej A.D. 2025. Pogadałem z nimi (wywiad wkrótce w „Przeglądzie") m.in. o tym, czy żart jest jeszcze w ogóle możliwy w przestrzeni rozpiętej między bogoojczyźnianym patosem prawaków a nadwrażliwością lewackich bezbeków.

W „Uno Lovis Party" wsłuchuje mi się świetnie, bo Tymon i Olaf nie szczędzą starań, by dowieść, że tzw. ludzkość en masse jest w obłędzie, i znajdują skuteczną broń na ten obłęd, czyli ostrze satyry. Dawno się tak do mnie żadne piosenki nie przyklejały, co daje niebezpieczny efekt, bo teksty Tymańskiego, choć on sam twierdzi, że nieco złagodniał, wciąż są dalekie od parlamentarności. Chodzę więc po domu i podśpiewuję niewinnie refrenik: „A ja Tourette'a mam i chuj. Chcę dobrze, lecz wychodzi gnój" i nagle widzę wytrzeszcz zdumionego syna, który mnie zapytuje, czy aby na pewno się dobrze czuję.

Pomysłów kabaretowych panom nie brakuje, szczytowym osiągnięciem jest tu miejsce na solówkę w „Dziękuję Wam, Przyjaciele", gdzie z możliwości występu w utworze korzystają przez telefon kolejne indywidua z niejakim Apkiem na czele, który co prawda nie ma rąk ani nóg, ale wyrosły mu dwa pindole, więc wymiata nimi na wibrafonie. Z takich nieobyczajności panowie potem się tłumaczą i piosenkowo przepraszają, po drodze chłoszcząc ile wlezie płaskoziemców, lekomanów, kler, polityków, hejterów, dezinformatorów i kogo tam jeszcze. Kompozytorsko pakują po kilka gatunków muzycznych do jednego utworu, z gracją Duplantisa przeskakując z disco polo do metalu poprzez techno, ballady beatlesowskie, jazz, punk – a wszystko czynią z zegarmistrzowską precyzją. Mnie to zachwyca, Tymona uwielbiam od 30 lat za inteligencję i ADHD – kiedy mu zasugerowałem, żeby skrócił wywiad w autoryzacji, odpisał: „Wykastrujemy się jak skopcy Kondratija Seliwanowa".

Nawet niewinne esemeski otwierają umysł, bo przez tę obłąkaną sektę rytualnych rzezańców przypomniałem sobie także o chłystach i ich orgiastycznym radieniju, a stąd już całkiem blisko było do „Kąpieli diabła" Severina Fiali i Veroniki Franz, wybitnego filmu, który przemknął w ubiegłym roku przez kina nie dość zauważony, więc w tym miejscu go dla państwa nie omieszkam wyłowić. Duet reżyserski wyspecjalizowany w horrorze tym razem straszy bez pomocy sił nadprzyrodzonych, a źródłem grozy są XVIII-wieczne rytuały religijne na katolickiej wsi austriackiej. Tytuł oznacza ludowe określenie depresji czy tam melancholii, jak zwał, tak zwał, w każdym razie jeśli na nią zapadła w tamtym czasie kobieta zamężna, w swojej dysfunkcyjności była wykluczana przez społeczność i szykanowana. Uwaga, spoiler: głęboko wierzące, ergo bezgranicznie otumanione przez srogie kazania katabasów kobiety bały się odebrać sobie życie, aby z braku rozgrzeszenia nie zostać potępionymi na wieki. Dokonywały więc zabójstw, najczęściej na dzieciach, aby – w myśl katolickiej doktryny – uchronić ich dusze przed narażeniem na grzech, a sobie dać szansę na spowiedź przed egzekucją, rozgrzeszenie i zbawienie. Krew ściętej, a także jej rozczłonkowane części ciała były używane w rytuałach oczyszczenia.

Etnohorror austriackiego duetu sięga mistrzostwa osławionej „Czarownicy: Bajki ludowej z Nowej Anglii" Roberta Eggersa, a o jego sile stanowi fenomenalna Anja Plaschg, na co dzień kompozytorka i wykonawczyni znana jako Soap@Skin. Można posłuchać. „Tylko nie Siopena", jak mówiło dziecko w miniaturce Mirona Białoszewskiego.

■

eprasa.pl 233aac792f

Nie tylko jedna choroba

Zdrowie po 65. roku życia

Czy wielochorobowość zwykle zaczyna się po 60. roku życia?

– Tak. Ryzyko występowania chorób przewlekłych rośnie wraz z wiekiem. Rzadko spotykam pacjenta po 65. roku życia, który nie ma żadnych problemów zdrowotnych. Choroby najczęściej nie występują wtedy pojedynczo, ale współistnieją, tworząc skomplikowaną sieć zależności. Mówimy wówczas o wielochorobowości, a leczenie takiego pacjenta wymaga zupełnie innego podejścia niż w przypadku osoby młodszej, z jednym rozpoznaniem.

Które schorzenia są w grupie seniorów najczęstsze?

– Choroby układu krążenia. Nadciśnienie tętnicze to niemal epidemia, bo dotyczy ok. 12 mln Polaków. Jego konsekwencjami są: zawały serca, udary mózgu, niewydolność serca oraz zaburzenia rytmu. Równolegle mamy zaburzenia lipidowe – podwyższony cholesterol prowadzi do odkładania się blaszek miażdżycowych w tętnicach. Problem w tym, że zwężenia rzędu 50-70% mogą nie dawać objawów. Pacjent czuje się zdrowy, a proces chorobowy postępuje. Wystarczy pęknięcie blaszki i dochodzi do zawału.

Jakie inne choroby mogą się jeszcze pojawiać?

– Cukrzyca typu 2, której częstość rośnie wraz z epidemią otyłości, przewlekła obturacyjna choroba płuc (POChP), szczególnie u palaczy, ponadto nowotwory oraz choroby zwyrodnieniowe stawów i kręgosłupa, które ograniczają mobilność i obniżają jakość życia. Oprócz czynników biologicznych bardzo ważne są czynniki społeczne – samotność, brak aktywności, zły sen, zanieczyszczenie środowiska. To wszystko sprzyja chorobom i przyśpiesza proces starzenia. Dlatego dla pacjentów 60+ tak istotna jest adherencja terapeutyczna.



Prof. dr hab. n. med. ARTUR MAMCARZ
– kierownik III Kliniki Chorób Wewnętrznych i Kardiologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, członek zarządu Polskiego Towarzystwa Medycyny Stylu Życia oraz prezes Polskiego Towarzystwa Medycyny Holistycznej.

Co to jest adherencja terapeutyczna?

– To przestrzeganie rekomendacji, które w stosunku do pacjenta proponuje lekarz po wspólnym ustaleniu zasad diagnostycznych, a później terapeutycznych. Adherencja służy temu, by pacjent czuł się lepiej i mógł dłużej cieszyć się zdrowiem. Nie wystarczy, że osoba chora odbierze receptę i wykupi lek – kluczowe jest jego regularne stosowanie, przestrzeganie zaleceń dotyczących diety, aktywności fizycznej, redukcji masy ciała, rzucenia palenia itd. Niestety, wiele osób rezygnuje z terapii po kilku tygodniach, bo „czuje się lepiej", albo zapomina o niektórych lekach, szczególnie przy wielochorobowości.

Brak współpracy pacjenta z lekarzem prowadzi do nasilania się objawów i większej liczby hospitalizacji, a w konsekwencji do krótszego życia. Jest to ogromne wyzwanie edukacyjne i kulturowe, bo w Polsce wciąż panuje przekonanie, że jak coś nie boli, to nie trzeba leczyć.

Wielochorobowość wiąże się z przyjmowaniem wielu leków

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 233aac792f

naraz. Jak lekarze i pacjenci sobie z tym radzą?

– Rzeczywiście, seniorzy często zaczynają dzień od garści tabletek. Kardiolog przepisuje swoje, diabetolog swoje, a nefrolog jeszcze inne. W takim układzie łatwo o interakcje. Dlatego niezwykle ważna jest rola lekarza POZ, który koordynuje leczenie. Musi on ocenić, czy schematy się nie dublują, czy nie ma ryzyka powikłań.

Pacjenci, zwłaszcza starsi, czasem obawiają się skutków ubocznych szczepień. Czy słusznie?

– Zdecydowanie nie. Przecież każdy lek, nawet ten kupowany bez recepty, może wywoływać działania niepożądane. Różnica polega na tym, że w szczepieniach bilans korzyści i ryzyka wypada wyjątkowo pozytywnie. Weźmy jako przykład COVID-19. Była to największa akcja szczepień w historii medycyny – miliardy podanych dawek. Liczba przypadków ciężkich działań ubocznych była minimalna w porównaniu z liczbą osób, którym uratowano życie!

Podkreślam też zawsze, że im bardziej pacjent jest chory, tym więcej ma do zyskania. Dla zdrowego młodego człowieka infekcja to zwykle kilka gorszych dni. Dla 70-latka po zawale i z cukrzycą oznacza realne ryzyko śmierci.

Dlaczego półpasiec jest tak dużym zagrożeniem dla seniorów?

– Półpasiec, czyli reaktywacja wirusa ospy wietrznej, objawia się bolesnymi zmianami skórnymi i neuralgią, która może trwać miesiącami. U osób starszych bywa przyczyną utraty samodzielności. Co gorsza, pacjent koncentruje się na bólu i często zaniedbuje inne terapie, np. zapomina o lekach kardiologicznych.

Coraz więcej badań wskazuje, że szczepienie przeciwko półpaścowi może nie tylko zapobiec zachorowaniu, ale także spowolnić procesy otępienne i poprawić funkcje poznawcze. Szczepionki mogą więc chronić nie tylko przed infekcją, ale i przed pogorszeniem sprawności intelektualnej. Jest to dla nas nowa, fascynująca perspektywa.

Czy szczepionki dla seniorów są konstruowane inaczej niż dla osób młodych?

– Tak, niektóre zawierają bowiem adiuwanty, czyli substancje wzmacniające odpowiedź immunologiczną. Działają one jak „dodatkowy trening" dla układu odpornościowego. Dzięki temu szczepionki są skuteczniejsze w tej grupie wiekowej, w której naturalna odpowiedź organizmu jest osłabiona.

Kto powinien rekomendować szczepienia osobom starszym?

– Każdy lekarz prowadzący, niezależnie od specjalizacji. Onkolog, kardiolog, diabetolog, nefrolog – wszyscy powinni pamiętać, że pacjent nie jest tylko „jedną chorobą". Brak rozmowy o szczepieniach to błąd.

Wcześniej czy później zawsze wracamy więc do profilaktyki?

– Tak, ponieważ jest ona kluczem do celu, czyli do poprawy jakości życia. Także wtedy, gdy pacjent ma 65 lat i więcej. Profilaktyka oznacza przestrzeganie zdrowych nawyków przez całe życie: aktywność fizyczna, prawidłowy model żywienia, niepalenie tytoniu, dbanie o dobry sen, o dobre relacje z ludźmi. Jednym z filarów medycyny holistycznej są też szczepienia.

Jak w tym wszystkim postrzegać starość?

– „Śmierć jest przeznaczeniem nas wszystkich, a starość to przywilej niektórych" – to słowa prof. Jerzego Bralczyka. Pochwalę się, że wspólnie z prof. Bralczykiem i dr Janiną Kokoszką-Paszkot, diabetologiem i geriatrą, szykujemy książkę o starości, którą wymyślił prof. Bralczyk: „Choroba czy dar?".

Warto dbać o zdrowie, by te ostatnie lata były okresem dobrej jakości życia. Medycyna daje nam narzędzia – od leków po szczepienia i zdrowy styl życia. To my decydujemy, czy z nich skorzystamy. Bardzo do tego zachęcam.

Szczepienia stanowią najskuteczniejszą profilaktykę, są jednym z największych osiągnięć medycyny.

Ogromnym wsparciem są farmaceuci, którzy często są bardziej dostępni niż lekarze. Mogą prowadzić przeglądy lekowe, doradzać pacjentom i wychwytywać potencjalne błędy. W niektórych krajach od dawna są oni częścią zespołu terapeutycznego. W Polsce ten model dopiero się rozwija, ale widzę w nim ogromny potencjał. Opieka farmaceutyczna jest też bardzo cenna w kontekście szczepień dla seniorów.

Dlaczego osobom w wieku 60+ potrzebne są szczepienia?

– Ponieważ układ odpornościowy starzeje się razem z nami. Zjawisko to nazywamy immunosenescencją. Seniorzy gorzej reagują na infekcje, wolniej się regenerują, a choroby zakaźne częściej mają u nich cięższy przebieg. Szczepienia stanowią najskuteczniejszą profilaktykę, są jednym z największych osiągnięć medycyny. Gdybyśmy dziś je wycofali, średnia długość życia spadłaby o kilkanaście lat.

Które szczepienia zarekomendowałby pan seniorom?

– Przede wszystkim te przeciw COVID-19, grypie, pneumokokom, półpaścowi, a także przypominające szczepienie przeciwko krztuścowi oraz przeciwko RSV.

Dane epidemiologiczne z 2025 r. pokazują, że infekcji RSV było w Polsce więcej niż grypy i COVID-19 łącznie. Jest to wirus, który przez lata kojarzyliśmy z dziećmi, ale dziś widzimy, jak bardzo obciąża on seniorów.

Onkolog, kardiolog, diabetolog, nefrolog – wszyscy powinni pamiętać, że pacjent nie jest tylko „jedną chorobą".

Autoryzowany wywiad prasowy opracowany przez Stowarzyszenie Dziennikarze dla Zdrowia w ramach kampanii edukacyjno-informacyjnej „HEALTHY AGEING – długie życie w dobrym zdrowiu"; jesień 2025.

eprasa.pl 233aac792f

NIE MUSISZ SIĘ ZGADZAĆ NA PRZEMOC



W ośrodkach wsparcia ofiary odzyskują siłę, sprawczość i wiarę w człowieka

Paweł Jankowski

Według policyjnych danych w 2024 r. w Polsce wypełniono łącznie 59 174 formularze niebieskich kart. To nieco mniej niż w roku 2023 (62 170). Co ciekawe, trzy lata temu, gdy do Polski napłynęła fala uchodźców z Ukrainy, liczba niebieskich kart wynosiła 61 645, podczas gdy dwa lata wcześniej – 72 601. Mogłoby to sugerować do pewnego stopnia, że spowodowana obostrzeniami pandemicznymi izolacja społeczna była jednym z największych zapalników przemocy, skoro dochodziło do niej częściej niż w kolejnych latach, i to mimo napływu ludności. Pamiętać należy jednak, że niebieskie karty są tylko częściowym odzwierciedleniem zjawiska przemocy, które nie zawsze jest oficjalnie zgłaszane i ujmowane w statystykach.

W oficjalnych danych odnoszących się do przemocy domowej kobiety są wskazywane jako ofiary kilkakrotnie częściej niż mężczyźni. Inaczej sprawa wygląda w przypadku najbrutalniejszych form przemocy fizycznej, których następstwem jest pośrednio (pobicie ze skutkiem śmiertelnym) lub bezpośrednio (zabójstwo) utrata życia. W takich przypadkach – co pokazują dane z raportu „Czarna księga ofiar przemocy domowej w Polsce w 2021" – mężczyźni kilkakrotnie częściej niż kobiety byli ofiarami śmiertelnymi rodzinnych porachunków z przemocą w tle.

Punktem wyjścia każdej przemocy jest toksyczna relacja, cementem tej toksyczności natomiast przewaga sprawcy nad ofiarą. Przewaga, która – tak jak sama przemoc – może być fizyczna, psychiczna i systemowa. Czasami sprawca jest po prostu większy i silniejszy – ma warunki, by zadać fizyczny ból. Innym razem ofiarą przemocy, np. psychicznej, pada osoba, której brakuje asertywności i innych zasobów społecznych, takich jak wysoka pozycja socjoekonomiczna czy wsparcie rodziny.

Ofiary każdego rodzaju przemocy domowej mogą korzystać m.in. z pomocy w ramach specjalistycznych ośrodków wsparcia. Z ostatnich danych ze strony Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, pochodzących z 2022 r., wynika, że w każdym województwie znajduje się przynajmniej jeden ośrodek tego typu. W niektórych częściach kraju jest ich po kilka. Najwięcej, bo aż cztery, w Podkarpackiem.

Wielotorowa praca w takim ośrodku oznacza objęcie podopiecznego pomocą psychologiczną, pracą socjalną i poradnictwem prawnym. Pomoc przeznaczona jest dla osób przebywających tymczasowo w hostelu ośrodka, ale można też uczęszczać na zajęcia ambulatoryjne. Z pomocy tej korzystali lub nadal korzystają Łucja, Olena i Marek – klienci ośrodka wsparcia, w którym sam pracuję. Noszą inne imiona, jednak ich przeżycia to autentyczne historie i traumy będące doświadczeniem wielu ofiar przemocy.

Brak świadków wśród świadków Jehowy

Łucja wspomina dom rodzinny pozytywnie, jednak czuje, że czegoś mogło w nim brakować, choć nie umie wskazać, czego dokładnie. Rodzice żyli w zgodzie, ale jakby obok siebie. Być może dlatego jej mama zdecydowała się szukać wyższej formy duchowości i poczucia wspólnoty poza domem rodzinnym. Świadkowie Jehowy jawili się jako społeczność, która pomoże zapełnić bliżej niesprecyzowaną pustkę. Łucja i jej mama zaczęły regularnie uczęszczać na spotkania zboru.

Mijały lata, przyszła dorosłość. Na życiowej ścieżce Łucji pojawił się Tomek, również członek wspólnoty. Po jakimś czasie kobieta wiedziała już, komu ofiaruje serce i z kim podzieli się intymnością. Noc poślubna

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 233aac792f

przyniosła jednak kilka rozczarowań. Pierwsze miało miejsce wtedy, gdy Łucja poczuła ból, którego nie przewidziała. Drugie, gdy o bólu powiedziała Tomkowi, ale on nie chciał się wycofać. W ich historii do podobnych sytuacji dochodziło jeszcze wielokrotnie. Bo Tomek miał problem z wycofywaniem się, gdy popęd domagał się rozładowania. Przez pewien czas Łucja zaciskała zęby. Wierzyła, że dyskomfort należy stłumić dla bliżej niesprecyzowanego dobra ogólnego. Ale ból rósł, a wraz z nim strach przed poślubionym niedawno mężczyzną.

Łucja zdecydowała się szukać pomocy u wspólnotowej starszyzny. To domyślny organ rozwiązywania wielu problemów, które trapią świadków. Bo choć wspólnota jest – mimo regularnych wizyt u ludzi „ze świata" – środowiskiem hermetycznym, w jej obrębie granica między sprawami prywatno-rodzinnymi a wspólnotowymi pozostaje płynna. To zresztą specyfika wielu organizacji religijnych i świeckich, które wyraźnie oddzielają „nas" od „innych".

Tomka starszyzna pouczyła, że ma przywrócić równowagę życiu rodzinnemu i wystrzegać się uczynków, których Jehowa nie akceptuje. Łucja została wysłuchana i zapewniona o zrozumieniu, a przy tym wyraźnie poinstruowana, by poza wspólnotą – dla dobra tejże – tematu nie podejmowała.

Mijały miesiące, a Łucja nie przestawała odczuwać strachu przed Tomkiem, który nadal nie potrafił robić kroku wstecz. W pewnym momencie przemoc seksualną dopełniły ataki fizyczne. Siniaki na ciele Łucji pojawiały się niemal tak często jak zadawane sobie samej pytania: co robię nie tak, czy jestem dobrą żoną? Powinnam bardziej się starać? Jak pomóc mężowi? Poczucie winy – że jest złą żoną, bo przecież bez powodu jej nie krzywdził. I że doniosła na męża wspólnocie, narażając go na stresy. Wspólnota milczała, ona też zaczęła milczeć. W końcu życie rodzinne może wymagać poświęceń. Być może cena wcale nie jest duża, gdy gra toczy się o przetrwanie w Armagedonie…

Jak większość ofiar przemocy Łucja podjęła radykalne kroki dopiero wtedy, gdy sytuacja stała się nie do zniesienia. Kobieta zrozumiała, że musi walczyć o życie, które Armagedonem stało się już teraz. Pchnięta impulsem zdecydowała się szukać pomocy wśród światusów, jak świadkowie nazywają osoby spoza wspólnoty. Tak trafiła do ośrodka wsparcia dla osób doznających przemocy domowej. Dopiero tu zaczęła mówić więcej, a po czasie nawet integrować się z innymi osobami korzystającymi z pomocy. Mimo to kluczyła, bo jej zdolność opisywania traumatycznych zdarzeń wprost, bez usprawiedliwiania sprawcy, dopiero się rozwijała. Wyrażanie własnych myśli, przeżyć raz po raz było cenzurowane przez wciąż obecne poczucie winy i przekonanie, że wyrządziła swojemu mężowi i wspólnocie krzywdę. Wypłukiwanie takich przekonań to długi proces terapeutyczny.

Kobieta nie rozumie, dlaczego jej bliscy zawiedli. Wspólnota milczała, pośrednio lub bezpośrednio zachęcając ją do tego samego. Czy było to działanie wyrachowane? W przypadku niektórych osób ze wspólnoty zapewne tak. Ale przecież poznała tam wielu wartościowych szeregowych członków organizacji. Łucja domyśla się, że ich bierność napędzana była strachem. Nie ma do nich żalu, bo wie, że prawdopodobnie sama by milczała. Dzisiaj, już po opuszczeniu hostelu przy ośrodku, Łucja stara się układać życie na nowo. Odbudowała kontakt z krewnymi. Próbuje też odnowić relacje z niektórymi członkami wspólnoty, którzy – tak jak ona – również chcą bliskości i życia towarzyskiego. Niekoniecznie w ramach wspólnoty wyznaniowej.

Ja to już Polka jestem!

Olena trafiła do Polski jako dziecko, chwilę po tym, jak w jej rodzinnych stronach na wschodzie Ukrainy pojawiły się „zielone ludziki" Putina. O separatystycznych dywersantach Olena nie mówi wcale, jakby zapomniała. Jej rodzina wtedy stamtąd wyjechała, po prostu. Wyparcie? Albo nie była jeszcze na tyle świadoma, by widzieć i rozumieć dramat. Można jedynie spekulować.

Polskę uważa za nową ojczyznę, pokochała ją, choć miłość rodziła się w bólach i na początku bez wzajemności. Nagle trafiła do nowej szkoły, w której rozumiał ją wyłącznie młodszy brat. Oboje musieli stawić czoło nowej rzeczywistości, by nie zatonąć w morzu nastoletnich hormonów, typowych dla tego okresu. Bo czasem te hormony są zaczynem bardzo okrutnych, wykluczających zachowań rówieśników. Olena swoje odcierpiała, brat także.

W wieku 16 lat urodziła pierwsze dziecko, synka. O jego biologicznym ojcu nic nie mówi. Wyrwa w życiorysie. Pracownik ośrodka czasem chciał podjąć temat, ale ona nerwowo ucinała te próby, jak gdyby nie słyszała pytania. Nieco więcej wiadomo o ojcu drugiego dziecka – córeczki, która urodziła się cztery lata po starszym bracie. Właśnie ten drugi mężczyzna został wskazany jako sprawca przemocy, przez którą Olena tu trafiła.

Doświadczanie przemocy wśród mężczyzn to zjawisko niedoszacowane. Szczególnie gdy obrywa się od kobiety.

Osoby doświadczające przemocy lub będące jej świadkiem mogą poszukiwać wsparcia m.in. w Ogólnopolskim Pogotowiu dla Ofiar Przemocy w Rodzinie **Niebieska Linia, tel.: 22 824 25 01** (do fundacji), **800 12 00 02** (bezpłatny, dostępny całodobowo numer do konsultanta Niebieskiej Linii), **www.niebieskalinia.pl, www.niebieskalinia.info.**
Inne przydatne witryny dla ofiar przemocy:
cpk.org.pl – strona internetowa Centrum Praw Kobiet,
fundacja-fortior.org (tel.: 48 795 631 614).

eprasa.pl 233aac792f

Na początku wszystko wyglądało obiecująco. Nowy partner zdecydował się przysposobić również chłopczyka, który przyjął jego nazwisko. Sielanka mijała stopniowo. Zaczęło się od drobnych nieporozumień, które eskalowały w przemoc. Olena coraz częściej była bita, obrażana, poniżana słownie. W końcu przemocy doświadczył synek. Córki, jak Olena sama przyznaje, partner nie skrzywdził. Nie zdążył? A może po prostu biologiczne dziecko kochał bardziej? Może chłopca nie kochał wcale? Znowu pozostają spekulacje.

Wbrew współczesnym przemianom kulturowym 20-letnia kobieta – tak naprawdę jeszcze dziewczyna – ma już dwójkę dzieci. Wie, że przeszła wiele, część rzeczy pomija, o innych mówi beznamiętnie, jak o pogodzie sprzed tygodnia. Sprawia wrażenie kogoś, kto na wszelkie sposoby przekuwa problem w działanie. W rozmowie z pracownikami ośrodka z dumą podkreśla, jak wielu rzeczy nauczyła się w warunkach wymuszonej samodzielności. Olena, choć młodziutka, łączy macierzyństwo z pracą i nauką w szkole policealnej. Dorabia jako sprzątaczka, ale nie boi się pracy w sklepie, w magazynie. Wszędzie, gdzie się da. Podkreśla, że ukończenie szkoły policealnej nie jest jej ostatnim słowem na ścieżce edukacyjnej. Chętnie ukończyłaby jakieś kursy zawodowe.

– A wie pan, że ja i kran naprawię? I ściany pomaluję. Jak ten mój pijany spał, to ja przecież to robiłam. Bo robota w domu nie byłaby zrobiona… – opowiada mi z dumą, z uśmiechem, ale znowu ignorując traumatyczny aspekt wypowiadanych słów.

Gdzieś jednak ta duma przeplata się z tęsknotą za wymarzoną męskością. Tradycyjnie pojmowaną, gdzie to facet naprawia zepsuty kran. I maluje ściany farbą olejną, a nie krwią bliskich. Kiedy jest sprawczy, a nie nieprzytomny. I niechby się napił, jak lubi, ale z głową. I kochał dzieci. Tego Olenie brakuje, wierzy jednak, że najlepsze przed nią. Że tacy mężczyźni są, tylko ona źle wcześniej wybierała. Taką postawą stara się zarażać inne mieszkanki ośrodka. O emocjach rozmawiać nie lubi. – A po co? Jakbym ja tak siedziała i myślała, tobym niczego nie zrobiła – podsumowuje sprawną polszczyzną, uroczo doprawioną pozostałościami wschodniego akcentu.

Choć nie zapomniała korzeni ani języka, czuje się już Polką. Na Ukrainę nie wróci, zwłaszcza teraz, gdy zawierucha wojenna wyszła poza Krym, Donieck i Ługańsk. Pierwszą ojczyznę nadal kocha, ale chce spokoju dla siebie i dzieci. Pracownicy ośrodka obawiają się jedynie, że z tłumionymi emocjami i nieprzepracowanymi traumami może być jej trudno zbudować trwałe szczęście. Mówią jej o tym. Olena jednak nie ma wątpliwości – da radę.

Przemoc najczęściej trafia w tych, których szeroko pojęte zasoby są zbyt małe, aby skutecznie się obronić.

Zbyt silni, by dostać współczucie?

Doświadczanie przemocy wśród mężczyzn to zjawisko niedoszacowane. Szczególnie gdy obrywa się od kobiety, bo z takim problemem panowie rzadko zgłaszają się po pomoc. Jedni umniejszają przemocowe zachowania kobiet, drudzy obracają je w żart. Byle pokazać światu, że było, minęło. Są twardzi, więc spłynęło po nich. Nie ma co drążyć.

Ale są tacy, którzy potrafią przyznać, że cierpią. Marek regularnie odwiedza ośrodek wsparcia, gdzie korzysta z konsultacji ambulatoryjnych. W rozmowie z psychologiem nie boi się pokazać łez. Nie rozumie tylko, dlaczego jego niedawna partnerka tych łez nie akceptowała, skoro męska wrażliwość podobno jest dziś w cenie. Media i psycholodzy zachęcają mężczyzn do mówienia o emocjach, by nie popełniali masowo samobójstw i szukali pomocy. W 2024 r. na 4845 skutecznych prób samobójczych aż 4088 to samobójstwa męskie.

Dlatego Marek o emocjach stara się mówić, jednak z politowaniem ocenia standardy pomocy oferowanej przez państwo mężczyznom. Pogróżki, które była partnerka wysyłała mu po rozstaniu, zgłosił prokuraturze i policji. Twierdzi, że obie instytucje nie posunęły sprawy nawet o milimetr. Równolegle była partnerka poinformowała organy ścigania o gwałcie, jakiego miała doświadczyć z jego strony. Marek otrzymał zakaz zbliżania się do niej.

– Boję się. Kilka tygodni temu zostałem napadnięty w parku. Nie wiem, kim byli ci goście. Powiedzieli tylko, że są od niej. Zresztą już wcześniej wykrzykiwała, że jeszcze zobaczę, jak mściwa potrafi być – trzęsie się, relacjonując ostatnie wydarzenia.

Rzadko kiedy wychodzi z domu, boi się przypadkowego spotkania ze swoją eks w mieście, które nie jest metropolią. A przecież ma zakaz zbliżania się. Jeśli gdziekolwiek się rusza, to z przyjaciółką. Chce mieć choćby jednego świadka, że przypadkowe spotkanie naprawdę takie było. Na razie udaje mu się unikać takich sytuacji.

Marek wybaczył swojej byłej kobiecie karczemne awantury w domu i kilkakrotne zdrady. Chce zapomnieć o przeszłości i iść dalej. Przeszłość jednak co rusz kąsa teraźniejszość. Wyciszony nawet w czterech ścianach głos wciąż łamie się pod naporem żalu, niezrozumienia i bezsilności: – Dobrze, że mam tę przyjaciółkę, przynajmniej ona mi wierzy. I tutaj, u was, w ośrodku, też dobrze się czuję. I pogadać można…

Mimo wszystko wciąż ma obawy, że to nie wystarczy, by udowodnić niewinność. Marek, tak jak Łucja, Olena czy inne ofiary przemocy, bliskich ludzi wokół siebie ma niewielu. Przemoc najczęściej trafia w tych, których szeroko pojęte zasoby – w tym społeczne – są zbyt małe, aby skutecznie się obronić. Często dopiero terapia pomaga te zasoby zbudować.

Autor jest psychologiem, absolwentem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zawodowo zajmuje się pracą z osobami wykluczonymi i wspieraniem ofiar przemocy. Prywatnie szczęśliwy mąż i ojciec

eprasa.pl 233aac792f



SŁODKI SMAK ZDROWIA

Figi to kulinarny skarb

Chrystian Ślusarczyk

Wcale nie tak odległe są czasy, kiedy śmiałkowie zaczęli sadzić u nas winorośl z myślą o winie. Dziś winiarstwo w wielu miejscach ma się coraz lepiej, a rodzime wina powoli trafiają na sklepowe półki. Cóż, wraz ze zmianami klimatycznymi uprawa wielu roślin, które podziwialiśmy tylko w ogrodach botanicznych, staje się całkiem realna. Obok winorośli, brzoskwiń czy arbuzów coraz odważniej do uprawy wprowadzane są drzewa figowe.

Od balkonu do sadu

Figa to jedno z najstarszych drzew na świecie, jej uprawy są udokumentowane od ok. 2800 r. p.n.e. na obszarach Mezopotamii oraz w żyznej dolinie Nilu. Przez stulecia owoce pozostawały ważnym produktem spożywczym kuchni tej części świata. W mitologii figę uważano za symbol płodności, życia, obfitości i dar bogów. A według Talmudu Babilońskiego ścięcie drzewa figowego karane było śmiercią.

Figi można dziś uprawiać także nad Wisłą. Wbrew pozorom nie jest to tylko sztuka dla sztuki, bo możemy liczyć na całkiem pokaźne zbiory. Drzewka figowe wciąż jednak trudniej kupić niż sadzonki winorośli, ale ich braki w sieciach handlowych uzupełniają oferty w internecie. Ceny drzewek są bardzo różne.

W 2024 r. Turcja wyprodukowała 375 tys. ton świeżych fig.

40-centymetrowe roczne sadzonki znajdziemy już za 30 zł. Do najpopularniejszych figowców uprawianych w Polsce należą: Peretta (może rosnąć w chłodniejszych miejscach), Kadota (o wysokiej zawartości cukru), Brown Turkey (dojrzewa już w lipcu, a potem także w październiku) czy Firoma.

Choć na rynku pojawia się coraz więcej odmian mrozoodpornych, figi najlepiej radzą sobie w ciepłym środowisku, w miejscach słonecznych, na osłoniętych od wiatru stanowiskach południowych.

Jeśli ktoś znajomy ma drzewko figowe, łatwo możemy rozmnożyć roślinę poprzez sadzonki wierzchołkowe, najlepiej z młodych przyrostów. Wystarczy je odciąć i ukorzenić w wodzie lub nawet bezpośrednio w doniczce z mocno nawilżoną ziemią. Posadzone w doniczce figi powinny przezimować w dość chłodnym pomieszczeniu, np. na korytarzu czy w jasnym garażu. Figa, która przyjęła się w takich warunkach, ma większe szanse na skuteczne zimowanie nawet przy większych mrozach, sięgających 15 st. C. W naszych warunkach figa w okresie od grudnia do kwietnia na pewno zrzuci liście. W krajach śródziemnomorskich przez cały rok może cieszyć nimi oczy lub zrzucić je na bardzo krótko, np. na dwa tygodnie.

Da się też wyhodować figi z nasion, ale to wymaga ogromnej cierpliwości. Nasiona fig są maleńkie i nieraz mija kilka lat, zanim takie drzewo zacznie owocować. Jeśli nie zdecydujemy się na posadzenie figi w ogrodzie i postawimy na donicę, musimy pamiętać, że roślina wytwarza solidny system korzeniowy,

FOT. CHRYSTIAN ŚLUSARCZYK (2)

eprasa.pl 233aac792f

wymagający przesadzania do większych donic.

Figa zdecydowanie szybciej wybaczy nam chwilowe przesuszenia niż nadmiar wody. To samo dotyczy drzewek pozostawionych na zewnątrz. Przycinanie fig nie jest konieczne, ale jeśli zachodzi taka potrzeba, możemy bez obaw podcinać jej twarde gałęzie.

Uprawiając figowca w ogrodzie, nie musimy aż tak bardzo stresować się polską zimą. Młode rośliny możemy rzecz jasna zabezpieczać przed mrozem (np. różnymi agrotkaninami), ale i mimo mocno przemarzniętych głównych łodyg wiosną, nisko nad ziemią, figa wypuści świeże. W efekcie zimowych przemarznięć drzewko powoli będzie się zamieniać w spory krzew. Tak się dzieje nad Balatonem czy na południu Słowacji, gdzie figowe drzewa-krzewy mimo zimowego przemarzania całkiem nieźle owocują.

Naukowe podejście Turków

Dzisiaj światowym liderem w produkcji, eksporcie i jakości fig jest Turcja, która do sprawy od lat podchodzi w sposób naukowy. W pobliżu wsi Erbeyli w prowincji Aydın w południowo-zachodniej części kraju od 1938 r. działa Narodowy Instytut Badań nad Figą, jedyna taka instytucja na świecie! Początkowo instytut zaspokajał zapotrzebowanie lokalnych plantatorów na sadzonki różnych roślin. Wraz z narastającym problemem suszy zrezygnował ze wszystkich sadzonek z wyjątkiem fig. I zajął się nimi tak starannie, że dziś w instytucie zarejestrowane są 42 odmiany. Placówka prowadzi badania nad rozwojem nowych odmian poprzez hybrydyzację i mutacje, nad nawadnianiem i nawożeniem przy zmianach klimatu, stosowaniem tuneli suszarniczych oraz zwalczaniem chorób i szkodników.

Jak czytamy na stronie internetowej instytutu, według danych z 2024 r.



Turcja wyprodukowała 375 tys. ton świeżych fig. 55,89% (209 590 ton) wyprodukowano właśnie w Aydın. W latach 2017-2024 w Turcji odnotowano 14-procentowy wzrost powierzchni upraw tych owoców.

Najwięcej fig Turcy eksportują do Niemiec (41% produkcji). Na drugim miejscu od dłuższego już czasu plasuje się Rosja – w 2024 r. 11% tureckich fig trafiło na rynek rosyjski.

Suszone figi powinny się znaleźć w diecie dzieci oraz osób starszych – 100 g suszonych fig zawiera aż 162 mg wapnia.

Turecki instytut propaguje zdrowe żywienie z figami w roli głównej w opozycji do popularnych orientalnych słodkości. Bogate w przeciwutleniacze figi znane są z właściwości antyoksydacyjnych, korzystnego wpływu na zdrowie serca i kości, zawartości błonnika oraz magnezu, potasu i witaminy K. Wszystko to sprawia, że są polecane przez dietetyków. Suszone figi mają dużą wartość energetyczną i zawierają łatwo przyswajalne cukry proste, są więc wybornym pożywieniem dla sportowców i ludzi ciężko pracujących.

Mało kto wie, że kawa przygotowana z prażonych fig jest pomocna przy przeziębieniach, zakażeniach gardła, katarze, chorobach płuc i gorączce.

Drzewo figowe jest naprawdę mocne i wytrzymałe. Na stronie instytutu znajdziemy informację, że „w czasach wzmożonej aktywności sejsmicznej w wielu regionach Turcji, należy zlikwidować wszystkie drzewa figowe rosnące w bezpośredniej bliskości murów domów i kamienic. Ich system korzeniowy może niszczyć mury, fundamenty, a także inne elementy miejskiej infrastruktury".

Popularność fig wśród muzułmanów wynika z faktu, że są jedną z roślin wymienionych w Koranie.

Pożyteczny jak… osa

Figa to pod wieloma względami roślina niezwykła. W przypadku tych najbardziej jakościowych owoców możemy śmiało powiedzieć, że nie byłoby ich ani figowych przetworów, gdyby nie… osy! Bo to one odgrywają kluczową rolę w zapylaniu najsłodszych fig.

Jak podaje austriacki portal Josef Starkl Ogrodnik z Austrii (figi coraz lepiej czują się w ciepłej Dolnej Austrii), kwitnienie i zapylanie fig to problem złożony i niespotykany u innych roślin. Istnieje bowiem ok. 900 gatunków małych os odpowiedzialnych za zapylanie wielu gatunków fig. Dla osób interesujących się ogrodnictwem ciekawe jest, jak i czy w ogóle figa kwitnie. To, co uważa się za niedojrzały owoc, w rzeczywistości jest zamkniętą kapsułką z kwiatami w środku – coś jak kwiatostan wywrócony na lewą stronę. Drzewo figowe ma zatem problem: jak zapylić kwiaty, aby mogły wytworzyć nasiona, z których wyrosną nowe drzewa. Na szczęście figa dzięki mocnemu aromatowi przyciąga konkretny rodzaj zapylacza, niemal niezauważalną osę o wielkości maksymalnie… 1,5 mm. Te pożyteczne, „figotwórcze" owady znane są pod nazwą blastophaga. Warto zaznaczyć, że każda osa blastophaga zapyla tylko jeden gatunek fig. Maleńkie osy spotkamy tam, gdzie figowce od wieków rosną naturalnie, czyli w krajach śródziemnomorskich, w Indiach, w Azji Południowo-Wschodniej, w Indonezji, Afryce i Australii.

eprasa.pl 233aac792f

W naszych warunkach figi nie rosną naturalnie, dlatego nad Wisłą tego rodzaju os nie spotkamy. Nie jest to jednak powód do niepokoju. Pod względem sposobu zapylania wyróżniamy dwie grupy drzew figowych – Smyrna i Adriatyk. Odmiany Smyrna potrzebują do rozwoju i zapylania os, bez których opadną kwiaty, a nawet małe, zielone figi. Grupa fig adriatyckich rodzi się partenokarpicznie, czyli bez zapylenia. W naszym kraju zatem do uprawy w ogrodzie nadają się tylko drzewa figowe z grupy adriatyckiej. Jeśli kupujemy suszone owoce, to zapewne te zapylane większe figi z grupy Smyrna, często sprowadzane z Turcji.

Po prostu ambrozja

Figi możemy spożywać na wiele sposobów. Aż do później jesieni w sklepach większych sieci handlowych dostępne są dojrzałe figi. W ogromnej większości te miękkie, fioletowe owoce pochodzą z Turcji. Wybornie smakują bez dodatków. Smakoszy zachęcamy do spróbowania ich np. z serem gorgonzola i orzechami włoskimi. Różne odmiany fig suszonych, w tym z Turcji, kupić można niemal w każdym polskim sklepie przez cały rok. To bardzo dobrze, bo suszone figi powinny się znaleźć w diecie dzieci oraz osób starszych. A to ze względu na dużą zawartość wapnia, który odpowiada za mocne i zdrowe kości i zęby, pomaga chronić organizm przed osteoporozą. 100 g suszonych fig zawiera aż 162 mg wapnia!

Przetworzone dojrzałe figi w formie konfitur pochodzą z każdego zakątka śródziemnomorskiej Europy. Niemal nieznane są natomiast w Polsce zielone, jeszcze niedojrzałe figi w aromatyzowanym syropie. Taki delikates kupić możemy m.in. w Turcji czy na Bałkanach, na lokalnym bazarku albo prosto od gospodyni, która w ogrodzie uprawia figi. I wie (to nie takie proste), kiedy jest najodpowiedniejszy moment, by zieloną i już dość dużą figę zerwać. Będąc za granicą, zielone figi w syropie (większość przepisów sugeruje kilogram cukru na kilogram owoców) możemy przyrządzić też z owoców zebranych z dziko rosnących figowców. Przy zrywaniu owocu wydzielać się będzie mleczko. Początkowy kontakt z białą substancją powoduje niezbyt przyjemne uczucie swędzenia, ale mleczko to od wieków jest wykorzystywane w medycynie naturalnej.

W Polsce obok winorośli, brzoskwiń czy arbuzów coraz odważniej do uprawy wprowadzane są drzewa figowe.

W Europie Południowej, a nawet w Libii, z fig robi się aromatyczne wino. Oczywiście bardzo słodkie. Należy ono do najstarszych napojów alkoholowych na świecie – prawdopodobnie produkowano je już w VI w. p.n.e.

Chrystian Ślusarczyk



eprasa.pl 233aac792f

O co chodzi z tym dorszem?

Jak stał się dobrem narodowym i wizytówką Portugalii

Krzysztof Gierak,
Julita Kucińska



Portugalia to kraj winem i dorszem „płynący", a Portugalczycy są światowymi liderami w konsumpcji dorsza. Każdy z nich zjada rocznie 30-35 kg tej ryby. Przygotowują ją na wiele sposobów. Podobno jest ich tyle, co dni w roku, a niektórzy twierdzą, że nawet więcej. Popularność dorsza nie byłaby tak zaskakująca, gdyby nie fakt, że nie znajdziemy go u wybrzeży Portugalii. Dlaczego stał się zatem dobrem narodowym i wizytówką tego kraju?

Dorsz atlantycki występuje w zimnych wodach Oceanu Atlantyckiego, czyli głównie w jego północnej części. Dlatego początkowo znany był głównie wikingom – skandynawskim wojownikom zajmującym się żeglarstwem. To oni korzystali z licznych skarbów natury, jakie dawał im ocean. Suszyli rozcięte, pozbawione ości ryby na powietrzu w niskiej temperaturze. Ryby stawały się twarde i nie psuły się, dzięki czemu były chętnie zabierane na morskie wyprawy. Współcześnie w krajach skandynawskich nadal korzysta się z tego sposobu konserwacji, a tak przygotowane ryby nazywa się sztokfiszami.

W Portugalii spożywano dorsza już od XIV w. Nabywano go wówczas od Anglików i płacono za niego solą. Dopiero dwa wieki później zaczęto go sprowadzać na własną rękę. Wówczas – w do dziś nieznanych okolicznościach – Portugalczycy dotarli do odległych wybrzeży Nowej Fundlandii, gdzie natrafili na bogate zasoby dorsza atlantyckiego i postanowili zabrać go w drogę powrotną.

Niestety, podróż była zbyt długa, aby dało się transportować świeże ryby. Dorsz ze względu na niskie otłuszczenie świetnie nadawał się do konserwacji solą. Marynarze łowili te ryby, oczyszczali z wnętrzności i kroili na trójkątne kawałki. Następnie zamiast wywieszać je na powietrzu, obkładali dorsze grubą warstwą soli i umieszczali w drewnianych kadziach na statku. Na wybrzeżu ryby były myte, aby się pozbyć nadmiaru soli, i suszone do momentu odwodnienia. Traciły wówczas ok. 30% objętości. Kiedy były już tak wysuszone, że sztywnością przypominały deskę, oznaczało to, że konserwacja przebiegła pomyślnie. W takiej postaci można je było przechowywać bardzo długo, nawet bez lodówki czy zamrażarki. Tak oto powstał słynny *bacalhau*.

Początkowo dorsz był nazywany rybą dla biednych ze względu na jego dużą dostępność. Obfite połowy nie trwały jednak długo, gdyż Portugalczycy zostali wyparci z rejonów Nowej Fundlandii już pod koniec XVI w. *Bacalhau* jednak na stałe wszedł do ich kuchni, dlatego zaczęli dorsza importować. Jego cena wzrosła, a spożycie drastycznie spadło i *bacalhau* był dostępny tylko dla najbogatszych aż do XIX w. Sytuacja zaczęła się powoli zmieniać dopiero po 1885 r., kiedy to powstała Companhia de Pescarias Lisbonense. Zajęła się połowami dorsza, ale nie były one na tyle duże, aby zupełnie zrezygnować z importu.

Portugalczycy są światowymi liderami w konsumpcji dorsza. Każdy z nich zjada rocznie 30-35 kg tej ryby.

eprasa.pl 233aac792f

W XX w. Salazar postanowił uniezależnić Portugalię od wszelkich zagranicznych wpływów. Chciał m.in. zaopatrzyć kraj w żywność, w tym w dorsza. Wszakże był on już częścią kultury narodowej, a celem dyktatora było przywrócenie świetności Portugalii. W 1934 r. rozpoczął kampanię dorsza (*Campanha do Bacalhau*).

Salazar zachęcał do tworzenia spółdzielni zajmujących się połowami tej ryby. Początkowo wyławiano ok. 11% spożywanego dorsza. W latach 50. i 60. XX w. 70-80% konsumowanego dorsza pochodziło od tzw. *bacalhoeiros*, czyli lokalnych rybaków, którzy dostarczali go z drugiego końca oceanu. Po upadku dyktatury Salazara w 1974 r. kryzys przeżywało również rybołówstwo i Portugalia ostatecznie wróciła do importowania dorsza. Nie wpłynęło to jednak na spadek jego popularności, a wręcz przeciwnie, jest częścią tradycji, pojawia się na stole podczas najważniejszych uroczystości, np. Bożego Narodzenia.

Portugalczycy spożywają dorsza należycie przygotowanego. Najczęściej przechowuje się go w zamrażarce ze względu na zapach. W zależności od potrzeby wyjmuje się kawałki *bacalhau*. Myje się je pod kranem, umieszcza w misce i dodaje zimnej wody. Często odstawia się go do lodówki. Proces odmaczania trwa od 24 do 72 godzin w zależności od grubości kawałka. Im dorsz jest większy, tym dłużej trwa jego odsalanie, ale czas zależy też od smakowych preferencji danej osoby. Wodę wymienia się kilka razy podczas całego procesu.

W porównaniu z innymi rybami dorsz jest bardziej gumowaty, jakby włóknisty, i ma charakterystyczny posmak, który trudno dokładnie opisać. Niektórzy porównują go do smaku nieświeżej ryby, co rodzi częste nieporozumienia w restauracjach między turystami a kelnerami. Dorsza można ugotować, usmażyć, ugrillować czy upiec wedle uznania. Co ciekawe, gotowanie polega na włożeniu ryby do wrzącej wody i pozostawieniu jej na 15 minut przy wyłączonym palniku. Dla lepszego smaku dodaje się kawałki ze skórą i kośćmi.

Najczęściej tę rybę można zjeść w formie *bacalhau a brás*, czyli zapiekanki z suszonego dorsza. Chociaż jego wygląd nie zachęca, to w tej postaci smakuje bardzo dobrze zarówno mieszkańcom, jak i przyjezdnym. Danie przygotowuje się z ugotowanych kawałków dorsza, dodatkowo rozdrobnionych na mniejsze części. Dodaje się do niego chipsy ziemniaczane w kształcie cienkich paseczków, pokrojoną na kawałeczki cebulkę, jajka, sól i pieprz. Można również wrzucić czarne oliwki oraz posypać całość kolendrą bądź pietruszką. Niekiedy danie to porównywane jest do jajecznicy z dorszem.

Warto spróbować również *pastel de bacalhau*, czyli – w bezpośrednim tłumaczeniu – ciasteczka z suszonego dorsza. Jest to słona przekąska w formie pasztecika z masy ziemniaczanej, ryby, jajek i kolendry, smażonego na głębokim oleju.

W centrum miasta można odwiedzić również kilka historycznych sklepików, które specjalizują się w sprzedaży tej ryby, np. Rei do Bacalhau (Rua do Arsenal 56) i Pérola do Arsenal (Rua do Arsenal 94) czy Manteigaria Silva (Rua D. Antao de Almada 1). Zainteresowani historią *bacalhau* mogą odwiedzić również Centrum Interpretacyjne Historii Dorsza przy Praça do Comércio. Opowiada ono o wyprawach do Nowej Fundlandii i sprowadzaniu dorsza, który zawładnął podniebieniami Portugalczyków. Przy muzeum działa restauracja.

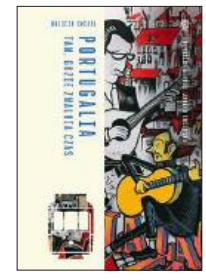
W ostatnich latach zaczęto również podawać świeżą rybę (*bacalhau fresco*). Suszony dorsz tak zmienił portugalską gastronomię, że nazwa *bacalhau* podświadomie kojarzy się z dorszem w formie wysuszonych płatów. Dlatego właściciele restauracji umieszczają w menu dodatkową informację, że jest to świeża ryba (*fresco* to świeży). Jednak w takiej formie podawany jest stosunkowo rzadko (5-10% dorsza spożywanego w Portugalii). Portugalczycy wolą tradycyjnie przed podaniem porządnie go posolić i wysuszyć.

Początkowo dorsz był nazywany rybą dla biednych ze względu na jego dużą dostępność.

Równie popularną propozycją jest *bacalhau a lagareiro*, czyli dorsz w oliwie z oliwek, podawany z pieczonymi ziemniakami, przygotowany w piekarniku. Jest to wyborne danie szczególnie dla miłośników oliwy z oliwek, gdyż ryba dosłownie pływa na talerzu obficie skropionym portugalską oliwą.

Dorsz króluje nie tylko w restauracjach. W Lizbonie znajdziemy wiele ciekawych miejsc związanych z tą nieprzeciętną rybą. Zaczęło się od trzęsienia ziemi w 1755 r., po którym handlarzy ryb przeniesiono na jedną z ulic – obecnie noszącą nazwę Rua dos Bacalhoeiros (ulica sklepów z dorszami). Na tej samej ulicy znajduje się słynny Dom Kolców (port. Casa dos Bicos). Ta nietypowa kamienica zwraca uwagę niecodziennym wyglądem. Zdobienie jej fasady przypomina kolce lub diamenty. Obecnie mieści się tam Fundacja José Saramago, a wcześniej znajdował się… magazyn *bacalhau*.

Historia pojawienia się dorsza w Portugalii jest niezwykle interesująca. Ale najbardziej intrygująca jest obsesja Portugalczyków na punkcie *bacalhau*. A zamiłowanie to przekazywane jest z pokolenia na pokolenie. *Bacalhau* jest pyszny. Przyjezdni często potrzebują więcej czasu, aby się z nim zaznajomić i go koniec końców polubić. Mimo specyficznego smaku warto dać mu szansę. Na pewno nie zawiedzie. Czemu? Przecież to *ofiel amigo*, czyli nasz wierny przyjaciel.

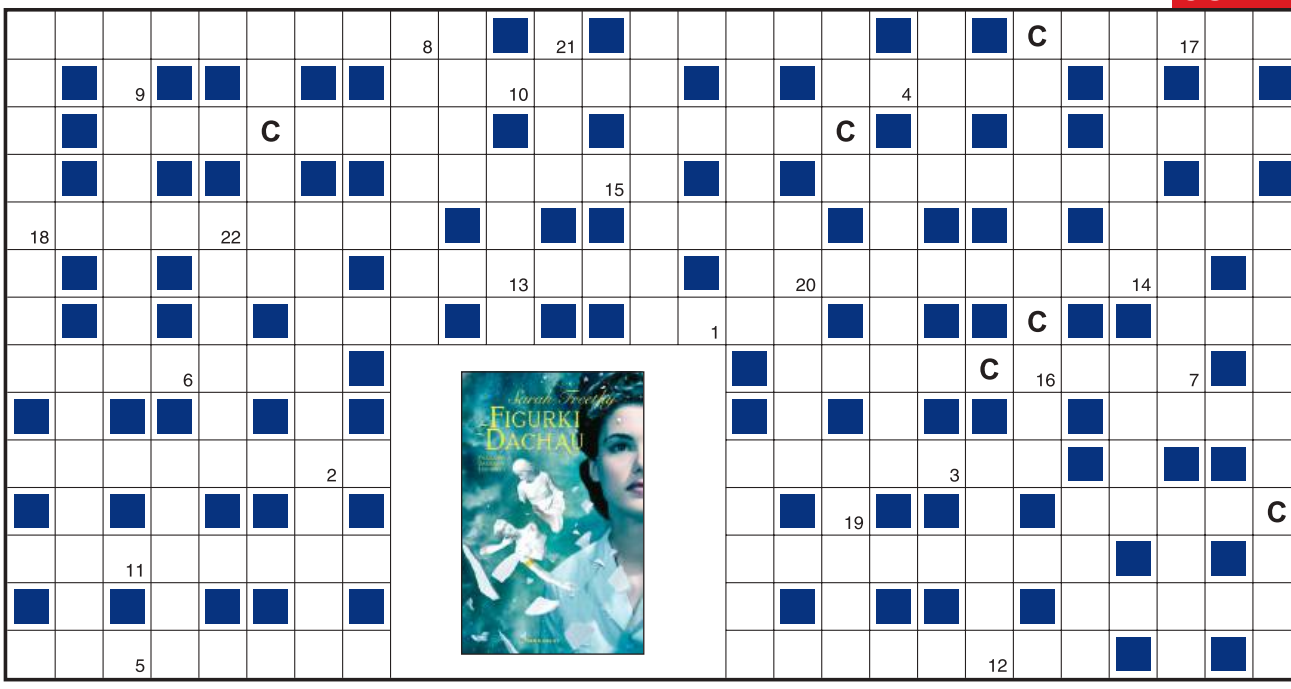


Fragment książki Krzysztofa Gieraka i Julity Kucińskiej *Portugalia. Tam, gdzie zwalnia czas*, Bezdroża, Helion, Gliwice 2025

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 233aac792f

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery C ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- niższy od mezzosopranu
- malajski atak szału
- odezwa, odwołanie się do uczuć
- „…o plotce” z „Cyrulika sewilskiego”
- Fred tańczący z Ginger
- Perykles był tam strategiem
- góry w Maroku, Algierii i Tunezji
- niebieszczący się w zbożu kwiatek
- po nie – do pełna
- maleńka bohaterka baśni Andersena
- Kurt z zespołu Nirvana
- myślenie tylko o sobie
- wystawiany do oglądania
- imię dziennikarza Zozunia
- pomieści dużo bigosu
- duński lekarz od metody barwienia bakterii
- grono, kolegium
- „…porywaczy ciał”, horror science fiction
- Yb wśród lantanowców
- żona Ozyrysa i matka Horusa
- muzyka Johna Coltrane’a
- futrzane przezwisko Dominika Tarczyńskiego
- Dagny, nim została Przybyszewską
- zderzenie wielu aut
- nasze Słońce jest żółtym
- jednostka temperatury
- rzecz realna, sprecyzowane pojęcie
- egipska grupa etnoreligijna
- o nieskazitelnym moralnie
- tracenie chęci działania, gnuśnienie
- mieszkaniec La Valletty lub joannita
- odstraszany od szafy bagnem
- na jedną samba Jobima
- instrument z piszczałek
- oby wilk był syty i ona cała
- o kimś niepoważnym lub dziwacznie ubranym
- Zimowy w Petersburgu
- „Czterej… i pies”
- otaczać nim – tworzyć łukowatą linię
- aparat do wyświetlania filmów
- „Błękitny…” w reżyserii George’a Cukora
- krawędź, brzeg, kant
- urządzenie do wytwarzania energii atomowej
- nikt nie wygrał ani nie przegrał
- automatyczna do nagrywania wiadomości
- zakupy jako spędzanie czasu (z angielska)
- linia tworząca zwoje
- deska do skoków do wody
- skacze o niej Duplantis
- gadule się nie zamykają
- dziecka do snu lub w płaczu przez matulę
- lasować je – łączyć z wodą
- rodzinna miejscowość Małysza
- królowa lub cesarzowa
- dawna miara powierzchni gruntu ornego
- …krakowski Albert zbuntowany przeciw Łokietkowi
- z bankomatu lub pobory
- szyb na śmieci w wieżowcu

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1242”. Do rozlosowania książki „Figurki z Dachau” ufundowane przez Wydawnictwo Marginesy. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 października 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1239” z nr. 38: *Nowy król to nowe prawa.*
Nagrody otrzymują: Zofia Jamroga ze Szczecina, Anna Kwiecińska z Warszawy, Włodzimierz Mytnik z Krakowa.

eprasa.pl 233aac792f

Hołownia rusza w bój

Marszałek Sejmu RP Szymon Hołownia ogłosił, że na ręce sekretarza generalnego ONZ Antónia Guterresa złożył aplikację na stanowisko wysokiego komisarza Narodów Zjednoczonych ds. uchodźców. Pytanie, czy ma szansę. To znaczy, czy ma szansę zdobyć większość na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

Hołownia uważa, że ma. To jasne – gdyby uważał inaczej, nie zgłaszałby swojej kandydatury. Ale dorzućmy do tego jeszcze jeden element. Otóż, jak sam przyznał, zabiegi o to stanowisko rozpoczął kilka miesięcy temu. I zyskał poparcie MSZ, premiera i prezydenta. To wiele wyjaśnia, dlaczego w ostatnich miesiącach zachowywał się tak, a nie inaczej. Te zabiegi były konieczne, gdyż za swoim kandydatem musi stanąć państwo i jego aparat. Polscy ambasadorowie we wszystkich krajach otrzymują instrukcje z centrali, że mają na rzecz kandydata lobbować, zabiegać o poparcie. Znaczenie mają też rozmowy na najwyższym szczeblu.

Warto zwrócić uwagę na fakt, że dotychczas stanowisko wysokiego komisarza było obsadzane przeważnie przez Europejczyków. Wyjątki były dwa: przedstawiciel Iranu (jeszcze cesarskiego) Sadruddin Aga Khan na przełomie lat 60. i 70., a w latach 90. pani Sadako Ogata z Japonii. Ale też dodajmy, że obecny wysoki komisarz Filippo Grandi jest zawodowym dyplomatą, całe życie zajmującym się sprawami uchodźców. A jego poprzednik António Guterres, obecny sekretarz generalny ONZ, to były premier Portugalii.

I jeszcze jedno: Polsce z trudem przychodzi wywalczenie dobrych stanowisk w instytucjach międzynarodowych. Jesteśmy w nich słabo reprezentowani także na średnim szczeblu, znacznie poniżej naszego potencjału. W latach III RP sukcesy odnieśliśmy w zasadzie dwa – Donald Tusk był przewodniczącym Rady Europejskiej, a Jerzy Buzek przewodniczącym Parlamentu Europejskiego. I tyle.

Na forum ONZ szło nam gorzej. W roku 1993 głosowanie na sędziego Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze przegrał niespodziewanie Krzysztof Skubiszewski. Było to tym bardziej zaskakujące, że Polska miała tradycję obecności w MTS, w tym dwóch prezesów: Bohdana Winiarskiego i Manfreda Lachsa. Dlaczego wtedy się nie udało? Z dwóch powodów: po pierwsze, nie działaliśmy zbyt energicznie, by kandydaturę Skubiszewskiego promować, po drugie – Polska przez kraje globalnego Południa postrzegana jest jako bezrefleksyjny sojusznik USA, więc sympatii nam to nie przysparza.

Bolesną, choć spodziewaną porażką była przegrana Włodzimierza Cimoszewicza w wyborach na sekretarza generalnego Rady Europy w roku 2009. Cimoszewicz przegrał z byłym premierem Norwegii, ważną postacią Partii Pracy, Thorbjørnem Jaglandem. I to zdecydowanie – 80 do 165 głosów.

Kiedy się wie, że szanse na wybór są niewielkie, można rękawicy nie podejmować. To przypadek Radosława Sikorskiego, regularnie wymienianego w grupie kandydatów na sekretarza generalnego NATO: w latach 2009, 2014 i 2024. Zwłaszcza w roku 2009 zrobiło się o tym głośno – wiadomo było, że zabiega, i że „stara Europa" jest przeciw. W końcu ogłosił, że nie jest kandydatem. Przeszło mu to przez gardło. A my możemy tylko chichotać, że gdyby dziś startował, „stara Europa" byłaby na tak, Ameryka Trumpa zaś na nie.

Tak zmienia się świat. I Radosław Sikorski.

Attaché



Aktor Gary Oldman został pasowany przez księcia Walii na Kawalera Orderu Imperium Brytyjskiego. Zamek Windsor, 30 września 2025 r.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 233aac792f







PENETRACJE

RAFAŁ SKĄPSKI,
BYŁY WICEMINISTER KULTURY I SEKRETARZ NARODOWEJ RADY KULTURY

Moim zdaniem tzw. konsultacje środowiskowe są w dużej mierze fikcją. Mniej więcej po 2005 r. zapanowała moda na zespoły eksperckie o utajonym składzie, które oceniają aplikacje twórców i organizatorów. Sążniste formularze składanych wniosków czytają nieznani z nazwiska eksperci. Wydawany jest werdykt, jeżeli pozytywny – to szczęście, jeśli negatywny – to w ogóle wnioskodawca nie ma możliwości rozmowy z nikim o swoim projekcie (ostatnio wyeliminowano nawet możliwość odwołania się). Dyrektorzy, pracownicy tych wielu nowo powstałych Narodowych Instytutów, o sporych budżetach, odsyłają do obiektywnych (?) wyroków owych bezimiennych ciał! Uważam, że te opiniujące obecnie komisje eksperckie, które de facto decydują o podziale środków, są tylko zasłoną i wyręką dla urzędników.

ANDRZEJ BARGIEL,
NARCIARZ WYSOKOGÓRSKI, HIMALAISTA

Długo byłeś na szczycie?

– Kilkanaście minut. Było już późno, wspinaczka trwała długo, bo brnęliśmy w śniegu, i musiałem szybko się zwijać. Widok i wrażenie wyjątkowe, Everest zatopiony w śniegu, spadło go 10 m; biało, nie dostrzegało się żadnej ingerencji człowieka. Niesamowite, że Everest tak może jeszcze wyglądać. Śnieg przykrył wszystkie śmieci, których jest tam przecież wiele, totalnie dziko. Niezwykłe doznanie, wyżej na świecie już niczego nie ma. Oczywiście rozwinąłem polską flagę, Dawa zrobił mi zdjęcie, uśmiechnąłem się, bo okazało się, że w kieszeni znalazłem całkiem niespodziewanie skarpetkę syna. Jak się ma małe dzieci, to okazuje się, że ich rzeczy mogą znaleźć się wszędzie. (…) Wchodziłem z Dawą, Szerpem, poręczowaliśmy drogę, by w razie pogorszenia pogody mieć odwrót. Jan Gąsienica-Roj, przewodnik i ratownik TOPR, odpowiadał za nasze bezpieczeństwo i zarządzał nami z poziomu obozu II. Ekwipunek stanowiły liny, śruby, sprzęt wspinaczkowy, system autoratownictwa, picie, jedzenie, płachty ratunkowe. Z nartami to ok. 12 kg.

MICHAŁ KWIECIŃSKI,
PRODUCENT FILMOWY, REŻYSER

Chopin w pana filmie ma twarz Eryka Kulma.

– Eryk wydawał mi się idealnym i jedynym twórcą tej roli. Ma osobowość, temperament i nieobliczalny talent. Notabene to Eryk mnie zainspirował, żeby zająć się tym projektem. Moim zdaniem jest najwybitniejszym aktorem swojego pokolenia. A na pewno aktorem z wielką, niepokorną osobowością. Unikat. Chce przekraczać granice. Przed rozpoczęciem zdjęć spędził cztery i pół miesiąca we Francji, w Alpach. Samotnie. To właśnie tam pracował nad rolą – dochodził do niej na swój, trochę mistyczny sposób. Grał utwory Chopina, online ćwiczył francuski, schudł. Wykonał ogromną pracę.

GRZEGORZ KOPACZ,
REPORTER

Czasem chodzi też o lojalność kolegów dziennikarzy. W 2014 r. Justyna Kowalczyk opowiedziała Pawłowi Wilkowiczowi (wówczas z „Gazety Wyborczej"), że poroniła i przeszła depresję. Do jej pogłębienia przyczynił się zawód miłosny. Najlepsza polska narciarka nie chciała powiedzieć, o kogo chodzi, ale dziennikarze wiedzieli. Ówczesny reporter TVP Sport Sebastian Parfjanowicz nie tylko jeździł za nią na każde zawody, ale też z nią mieszkał i odbierał jej telefon. Po tym, jak sprawa się wydała, został odsunięty od obsługiwania biegów narciarskich. Media pisały o nieszczęśliwej miłości wielokrotnej medalistki olimpijskiej, ale nazwisko bohatera romansu zachowały dla siebie.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA, KONFITURA POLITYCZNA

eprasa.pl 233aac792f

BRAKUJĄCE LITERY

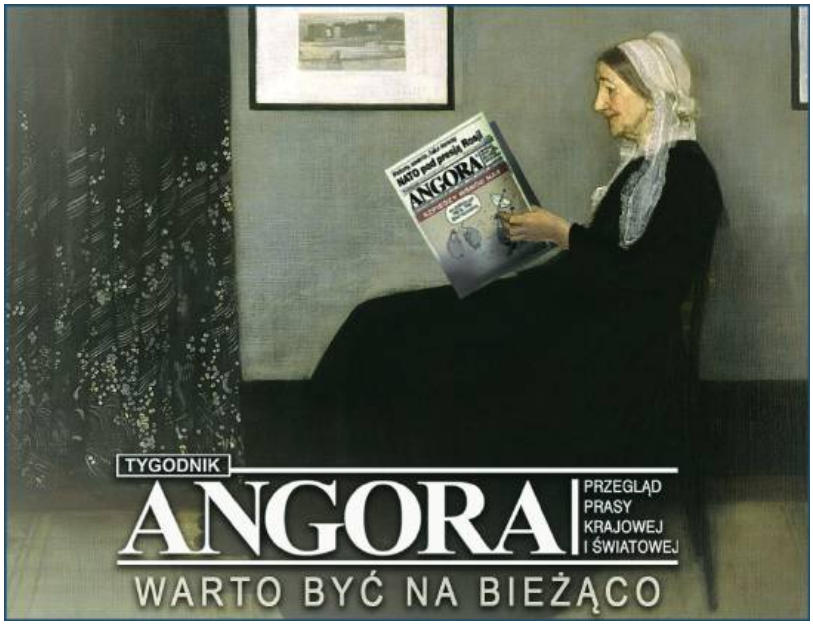
W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

ŻEAZNZSAYRZEWEJĄ

POHWŁAKAMSTKĘ

DSEBIEIEUIEKIES

ROZWIĄZANIA: ŻELAZNE ZASADY RZĄDZENIA, POCHWAŁA KARMI SZTUKĘ, OD SIEBIE NIE UCIEKNIESZ



Aby język giętki…

AGNIESZKA HOLLAND
NA FESTIWALU W GDYNI

Mam wrażenie, że wszyscy jesteśmy na Titanicu.

MAREK BOROWSKI O KONSTYTUCJI

Z 560 członków obecnego Zgromadzenia Narodowego jestem jedynym, który brał udział w pracach komisji konstytucyjnej nad obecną ustawą.

SŁAWOMIR DUDEK
O DZIURZE MORAWIECKIEGO

Nożyce dochodowo-wydatkowe coraz bardziej się w Polsce rozwierają. Taki model państwa nie funkcjonuje nigdzie na świecie.

SŁAWOMIR MIZERSKI
O EKIPIE NAWROCKIEGO

Eksperci uspokajają, że Marcin Przydacz i Adam Bielan to broń krótkiego zasięgu i niezbyt wysokiego lotu.

ANDA ROTTENBERG
O SZTUCE WSPÓŁCZESNEJ

Żyjemy w świecie, który jest w ciągłym ruchu. Nie ma czegoś takiego jak wieczny kanon.

KUBA WOJEWÓDZKI O JOANNIE KRUPIE

Została przyłapana na randce z Dominikiem Tarczyńskim, specem od szczujni i egzorcyzmów. Fajny duet. Oboje mówią językiem, którego nikt nie rozumie.

CEZARY ŻAK O ŻONIE KATARZYNIE

Nikt nie śpiewa tak jak ona. Po koncertach ludzie mówią: „Nie wiedziałem, że Sulejukowa śpiewa tak jazzowo, zabawnie, cudownie”.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

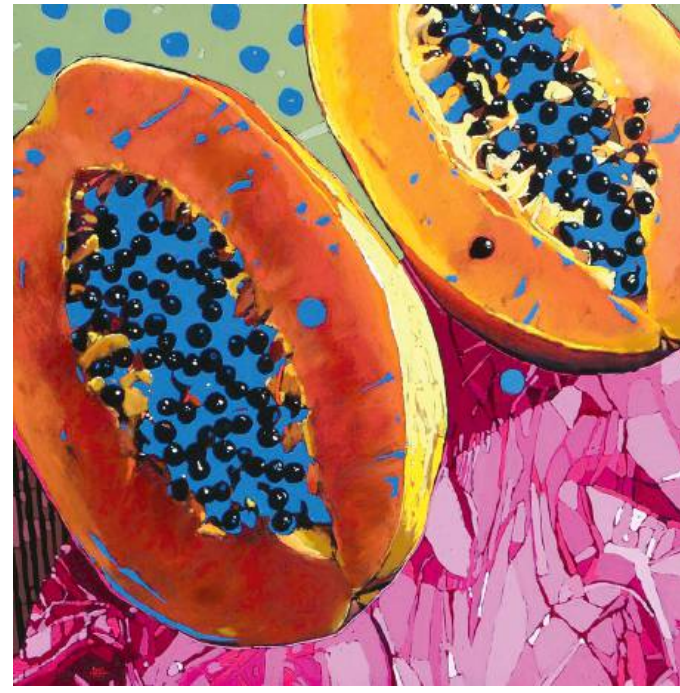
Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 233aac792f





Rafał Gadowski Zwierz i Przedmiot

Rafał Gadowski (ur. w 1973 r.) umiejętności kształcił w Europejskiej Akademii Sztuk w Warszawie oraz na ASP w Krakowie, gdzie w 1999 r. obronił dyplom w pracowni prof. Zbysława Maciejewskiego. Od lat konsekwentnie rozwija twórczość malarską, skupiając się na cyklach „Przedmiot" i „Zwierz". Jego obrazy cechuje intensywność barw, wyrazista gra światła oraz dbałość o detal. Inspiracje czerpie z codzienności – zwykłe przedmioty czy motywy fauny i flory przekształca w pełne ekspresji kompozycje. Jak sam podkreśla, interesuje go nie narracja literacka, lecz uchwycenie ukrytego porządku i energii rzeczywistości.

Galeria Sztuki Katarzyny Napiórkowskiej
Warszawa, ul. Świętokrzyska 32
do 9 października







FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 233aac792f













BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL | STODOLA.PL**

eprasa.pl 233aac792f

SEZON 2025/2026

REPERTUAR TCN

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM

MIODOWA 22/24
KASA TEATRU CZYNNA STACJONARNIE:
OD WT. DO PT. W GODZ. **15:00 – 19:00**
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA
W SOBOTY W GODZ. **15:00 – 17:00**
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA

MOŻNA SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z NAMI RÓWNIEŻ
TELEFONICZNIE: **662 155 960**
MAILOWO: **KASA@E-AT.EDU.PL**
OD WT. DO PT. W GODZ. **11:00 – 19:00**
W WEEKENDY W GODZ. **13:00 – 17:00**
TCN.AT.EDU.PL

COLLEGIUM NOBILIUM TEATR

PAŹDZIERNIK 2025

GODZINA WIDM
REŻ. MARCIN STAROSTA

03	04	
PIĄTEK 19:00	SOBOTA 19:00	SCENA GŁÓWNA

w.a.s.o.w.s.k.i. | FOTOPLASTYKON
REŻ. EWA KONSTANCJA BUŁHAK

07	08	
WTOREK 19:00	ŚRODA 19:00	SCENA GŁÓWNA

RÓZIA
REŻ. JACEK BRACIAK

17*	18	19	21	22	
PIĄTEK 19:30	SOBOTA 19:30	NIEDZIELA 19:30	WTOREK 19:30	ŚRODA 19:30	SALA IM. J. KRECZMARA

*PREMIERA

KOSMOS
REŻ. WALDEMAR ŚMIGASIEWICZ

24	25	
PIĄTEK 19:30	SOBOTA 19:30	SALA IM. J. KRECZMARA

WENUS W FUTRZE
REŻ. JULIA BANASIEWICZ, ADAM STASIAK

30	31	
CZWARTEK 19:30	PIĄTEK 19:30	SALA IM. J. KRECZMARA

Fot. Zuzanna Mazurek

Akademia Teatralna Warszawa

Patroni medialni: chilli zet, Przekrój, Polecamy nami mazowieckie

Partnerzy Teatru: kicket

eprasa.pl 233aac792f